WANDA RUTKIEWICZ

NA JEDNEJ LINIE

ISKRY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Spis treści

POWRÓT DO CZASU ZAPRZESZŁEGO

FOTOGRAFIE

PIERWSZY WYCIĄG

ZAPACH TATR

CZEREŚNIE W TACONNAZ

W KRAINIE TROLLÓW

„WYŻEJ” NIE ZNACZY „TRUDNIEJ”

ZNIKAJĄCY PUNKT

PRZEGRAĆ, ABY WYGRAĆ

GORYCZ SUKCESU

GÓRA PRZEKLĘTA

CZAS EVERESTU

Opracowanie graficzne
Janusz Barecki

Copyright © by Michał Błaszkiewicz i Ewa Matuszewska
Copyright for photographs © Michał Błaszkiewicz i Ewa Matuszewska
Copyright © by Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2010

ISBN 978-83-244-0252-6

Wydawnictwo ISKRY
ul. Smolna 11, 00-375 Warszawa
tel./faks (22) 827-94-15
iskry@iskry.com.pl

www.iskry.com.pl

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

POWRÓT DO CZASU ZAPRZESZŁEGO

Pierwsze wydanie *Na jednej linie* ukazało się w roku 1986, choć do pisania przystąpiłyśmy z Wandą w kilka miesięcy po zdobyciu przez nią 16 października 1978 roku Mount Everestu. Tak długi był wówczas cykl wydawniczy a i my nie potrafiłyśmy narzucić sobie rygoru, koniecznego przy pisaniu. Trochę tłumaczyły nas okoliczności – przeżyłyśmy stan wojenny, pierwszą wyprawę Wandy na K2, wyrzucenie mnie z redakcji za przynależność do NSZZ „Solidarność" i parę innych wydarzeń, mocno osadzonych w ówczesnych realiach politycznych i społecznych. Trzeba wspomnieć, że wspólne pisanie książki było dla nas obu zupełnie nowym doświadczeniem, mogącym zakończyć się całkowitą porażką pod każdym względem. Tak się nie stało. Narodziła się przyjaźń, dla mnie, mimo nieobecności Wandy, wciąż stanowiąca istotną wartość.

Wracam do początków tej przyjaźni, dzięki kolejnemu wydaniu *Na jednej linie*. Po wielu latach znów rozpoczęłam wędrówkę z Wandą od Gór Sokolich po Himalaje. Opowieść o górach i ludziach gór jest, mimo mojej pomocy, jej własną, pełną autentyzmu opowieścią. Czytelnik może poznać Wandę ze wszystkimi jej zaletami i wadami, czasem małostkową, czasem wielkoduszną, nie pamiętającą uraz, ale też potrafiącą ostro walczyć o swoje. W tej książce nie ma ani jednego słowa, którego by nie zaakceptowała (niekiedy po ostrych dyskusjach). Dlatego jako głęboko niesprawiedliwe odebrałam zdanie wbiogramie Wandy, zamieszczonym w *Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej* Zofii i Witolda H. Paryskich. Brzmi ono następująco: „W jej autobiogr. książce *Na jednej linie* (Wa, 1986) narracja została miejscami wyraźnie wypaczona przez niewłaściwą ingerencję autorską innej osoby". Widocznie znakomici znawcy Tatr nie znali na tyle dobrze Wandy, by przypuszczać, że ktokolwiek mógł ingerować w jej tekst w jakikolwiek sposób, a zwłaszcza niewłaściwie. *Encyklopedia* ukazała się w roku 1995, w trzy lata po zaginięciu Wandy, wtedy jakoś nie myślałam o sprostowaniu. Dziś,

choć zabrakło głównych bohaterów, czuję wewnętrzną potrzebę wyjaśnienia tej krzywdzącej nas obie sugestii.

Stając na szczycie Mount Everestu, Wanda wyruszyła w swą „Karawanę do marzeń", choć wtedy o tym jeszcze nie wiedziała, ani też nie myślała. Po Mount Evereście pozostało trzynaście ośmiotysięczników – to musiało pobudzać wyobraźnię. Korona Himalajów mogła stać się celem życiowym, zwłaszcza dla kogoś, kto całe swoje życie podporządkował górom. Od roku 1978 do 1991 Wanda zdobyła: Mount Everest, Nangę Parbat, K2, Shisha Pangmę, Gasherbrum II, Gasherbrum I, Cho Oyu i Annapurnę. Zaginęła przy próbie zdobycia swego dziewiątego ośmiotysięcznika, trzeciego szczytu Ziemi, Kangczendżongi, z 12 na 13 maja 1992 roku. Ale jej śladem poszły inne alpinistki, przekonane że w gronie zdobywców wszystkich ośmiotysięczników mogą się znaleźć również kobiety, co przed Wandą nie było takie oczywiste.

To, co Wanda rozpoczęła, zdobywając Mount Everest, zakończyła Koreanka Oh Eun-sun, 27 kwietnia 2010 roku zdobywając Annapurnę, swój czternasty ośmiotysięcznik. Jednak styl, w jakim osiągnęła Koronę Himalajów, budzi wątpliwości i każe się zastanowić nad takim sposobem obcowania z górami. Po pierwsze, do dziś nie ma oficjalnego potwierdzenia zdobycia przez Koreankę Kangczendżongi w roku 2009. Po drugie, środowisko alpinistyczne ma też zastrzeżenia co do wsparcia udzielanego jej przez profesjonalne ekipy. Towarzyszyli jej liczni Szerpowie, helikoptery, stacje telewizyjne, słowem prawdziwy, komercjalny himalajski show. Dla sponsorów jej wypraw zapewne cel uświęcał środki, wszystko inne było bez znaczenia.

Dla Wandy droga do Korony Himalajówbyła „Karawaną do marzeń". Czym stała się dla Oh Eun-sun? Sprawnie funkcjonującą firmą reklamową? Znakomicie przygotowaną i przeprowadzoną akcją, wktórej ona miała się t y l k o wspinać? Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Właściwie nie chcę na nie odpowiadać. Moje myślenie o alpinizmie ukształtowało się w zamierzchłej epoce, kiedy to ludzie szli w góry z wewnętrznej potrzeby, nie zastanawiając się nad tym, w jakiej kampanii reklamowej będą mogli „sprzedać" wspinaczkowe sukcesy. Dlatego też wracam do czasu zaprzeszłego ze smutkiem – że już minął, ale i z wdzięcznością – że był mi dany.

EWA MATUSZEWSKA
Zakopane, 13 maja 2010

RODZICE WANDY – ZBIGNIEW I MARIA BŁASZKIEWICZOWIE. PŁUGI ANY NA LITWIE

WALKI O PRZETRWANIE UCZONO JĄ OD NAJMŁODSZYCH LAT

ĆWICZENIE RÓWNOWAGI NA PLOCIE PRZED DOMEM WE WROCŁAWIU

SIATKÓWKA NAUCZYŁA WANDĘ GRY ZESPOŁOWEJ

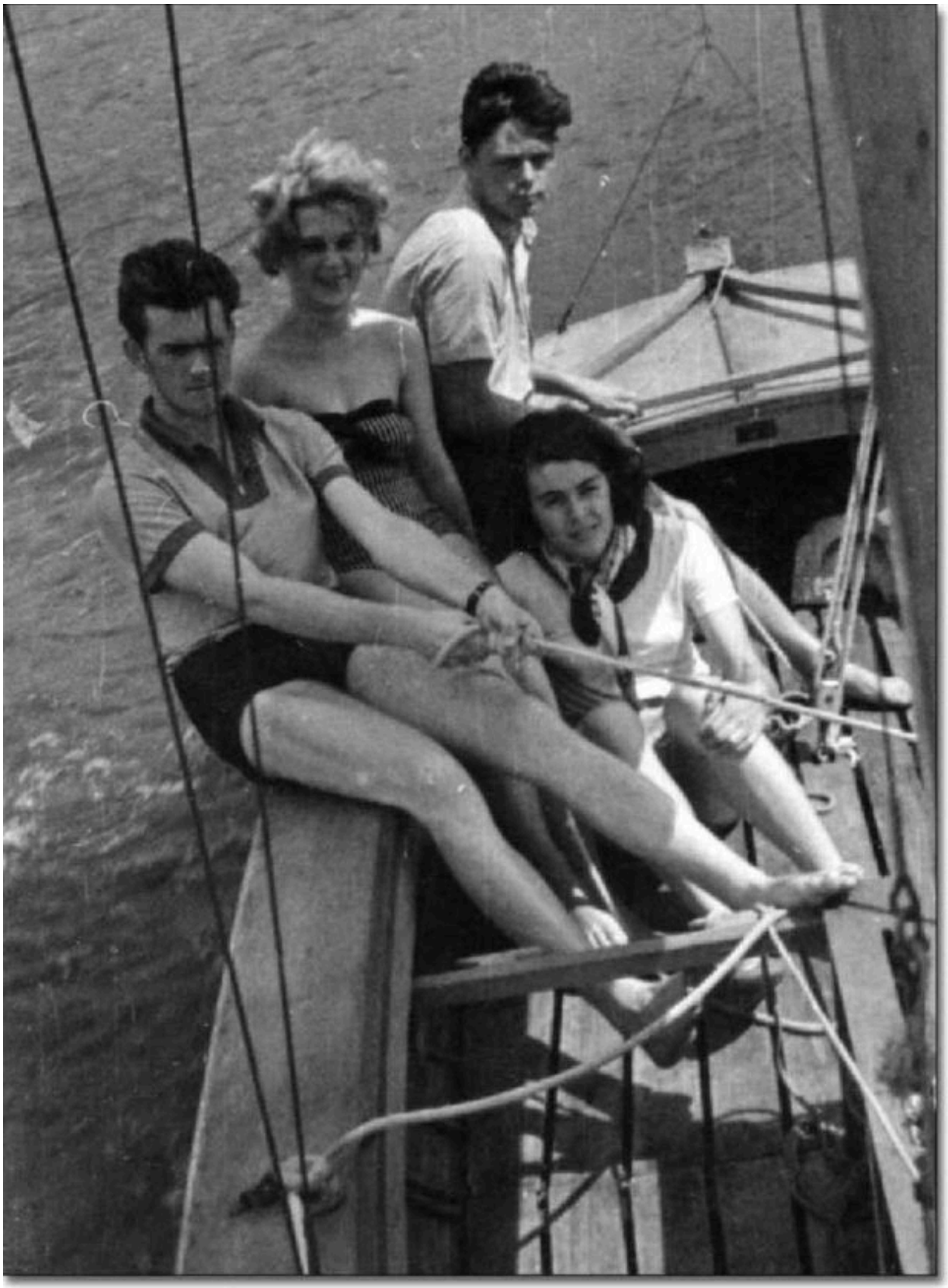

EPIZOD ŻEGLARSKI – NA POKŁADZIE OMEGI NA MAZURACH

DOBRZE JEST WCZEŚNIEJ POĆWICZYĆ W SKAŁKACH

UDAŁO SIĘ! TRENING W SKAŁKACH, CZYLI GÓRACH SOKOLICH

WSPINACZKA W SOKOLIKACH PRAWIE ZAWSZE SPRAWIAŁA JEJ RADOŚĆ

GÓRY TO NIE TYLKO WSPINACZKA. SZRENICA 1964 ROK

WYBÓR WŁAŚCIWEGO HAKA WYMAGA CHWILI ZASTANOWIENIA

NA GRANI W PAMIRZE

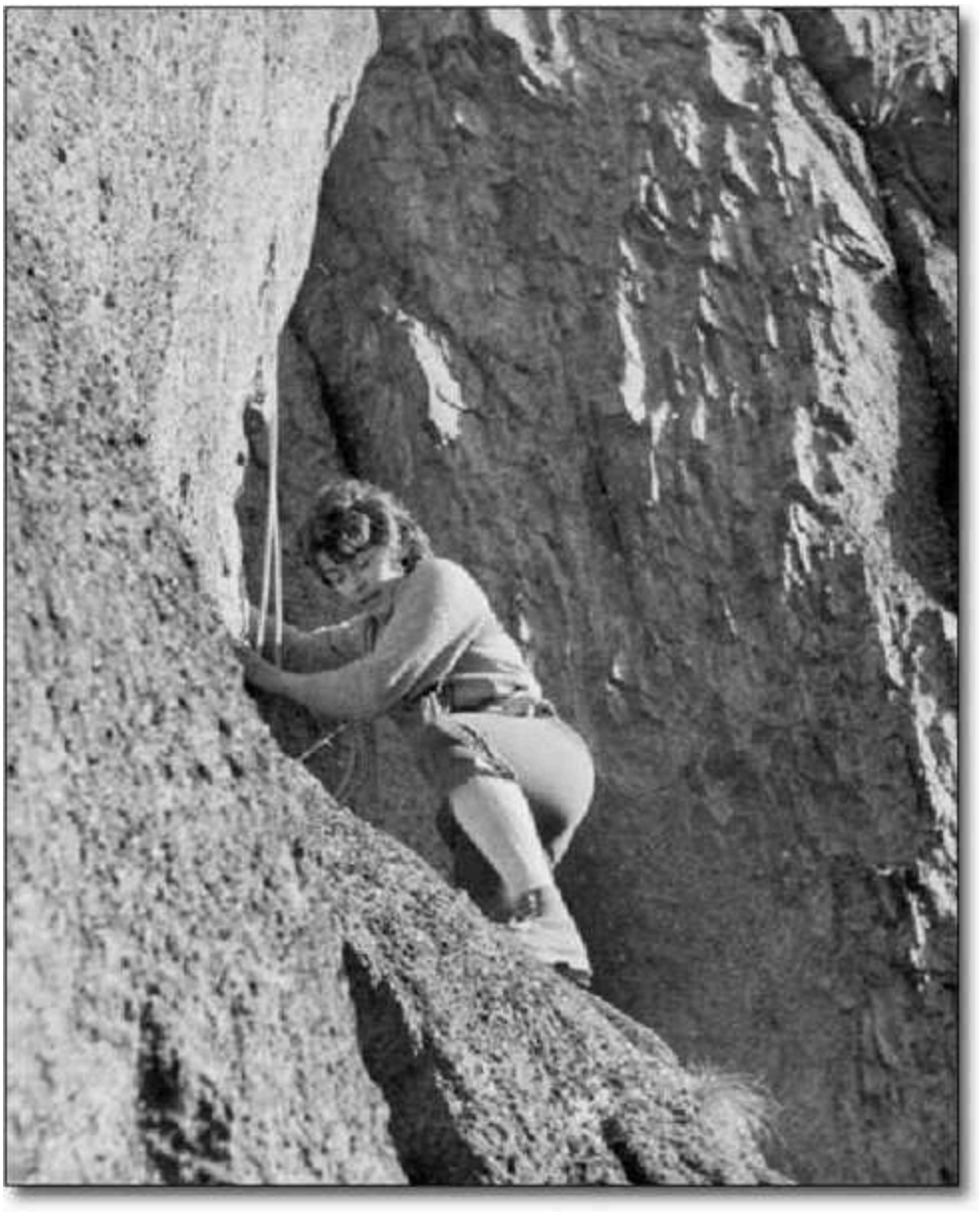

MY WSZYSCY Z TATR…

NA ŁĄCZCE W TACONNAZ. ALPY 1966 ROK

WYŚCIGI SAMOCHODOWE – Z MARCINEM OSIOWSKIM

W ALPACH FRANCUSKICH Z KRZYSZTOFEM CIELECKIM

„HOP, HOP, SZKLANKĘ PIWA!” – TOAST PO WYŚCIGU SAMOCHODOWYM

WANDA RUTKIEWICZ Z HALINĄ KRÜGER-SYROKOMSKĄ

PIK LENINA, 1970 ROK. OD LEWEJ ANDRZEJ ZAWADA, WANDA RUTKIEWICZ, WOŁODIA PROKOPIENKO

W ALPACH AUSTRIACKICH

WSPINACZKA NA EIGER. 1973 ROK

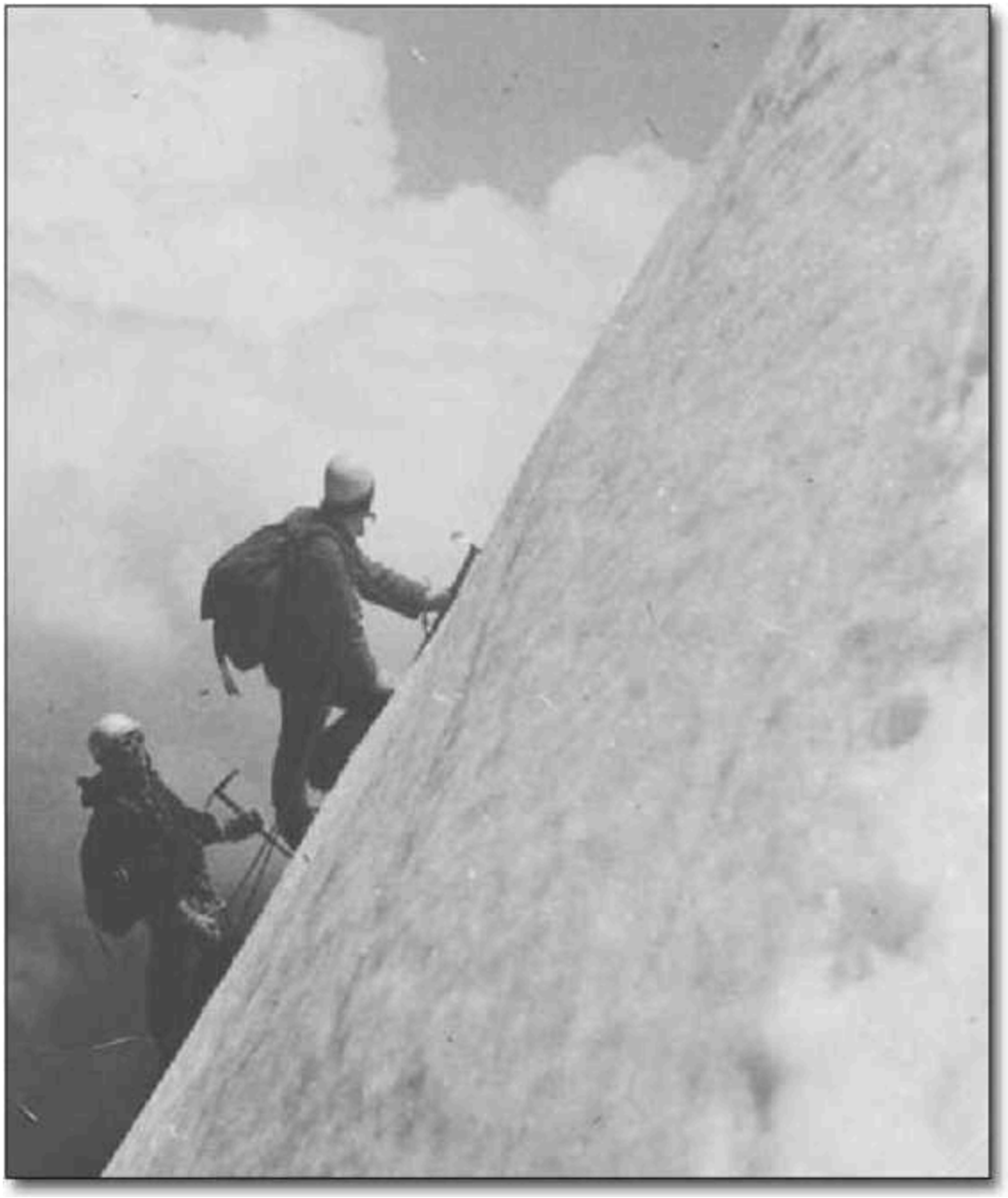

NA PÓŁNOCNYM FILARZE EIGERU. 1973 ROK

NA SZCZYCIE GASHERBRUM III. 1975 ROK. OD LEWEJ ALISON CHADWICK-ONYSZKIEWICZ, WANDA RUTKIEWICZ I KRZYSZTOF ZDZITOWIECKI

WSPINACZKA W ALPACH NA PÓŁNOCNEJ ŚCIANIE MATTERHORNU. 1978 ROK

KRYSTYNA PALMOWSKA NA MATTERHORNIE

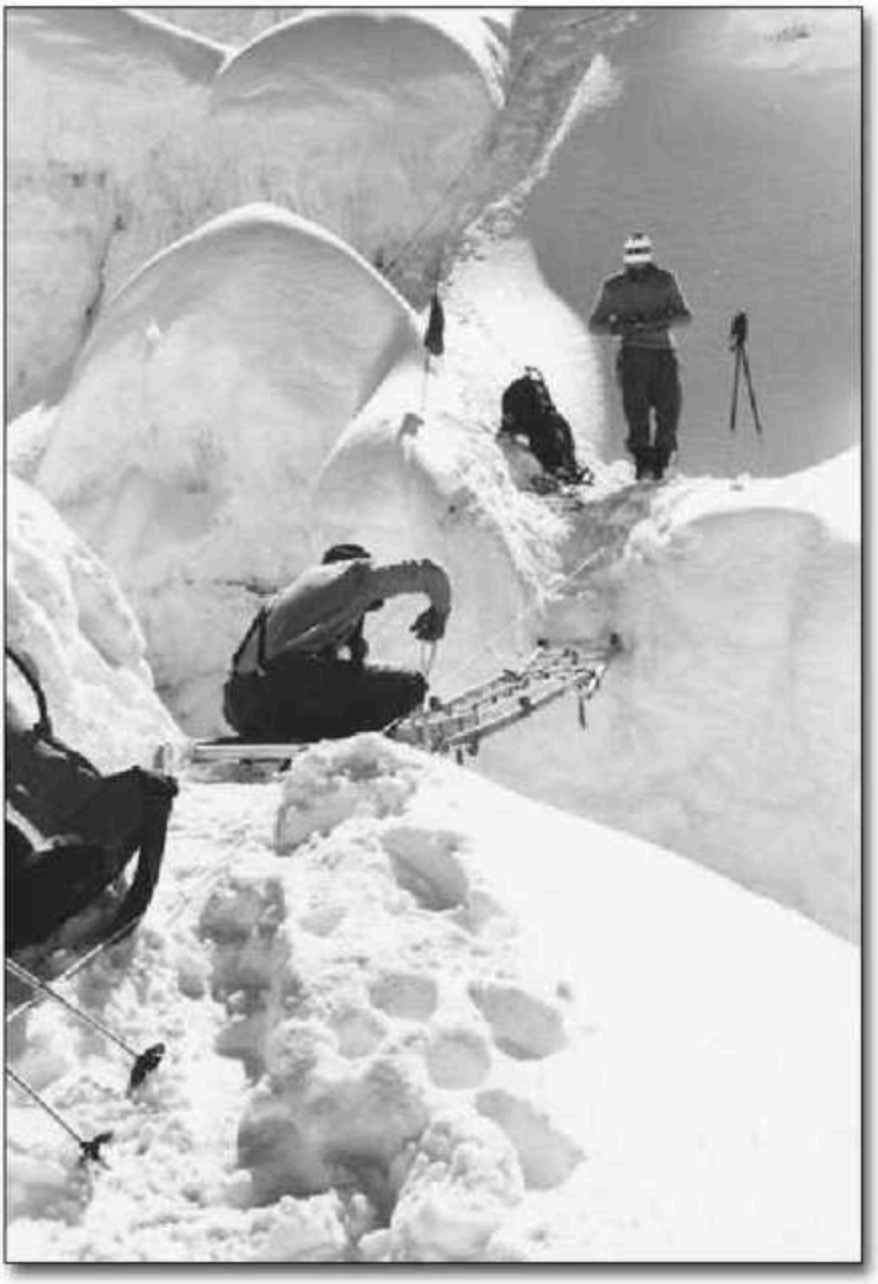

DROGA NA MOUNT EVEREST PRZEZ LABIRYNT LODOWCA KHUMBU 1978 ROK

WANDA NA NAJWYŻSZYM SZCZYCIE ZIEMI – 16 PAŹDZIERNIKA 1978 ROKU

PIERWSZY WYCIĄG

Kiedy rozpoczęłam wyczynowe uprawianie sportu, rodzice nie protestowali, zachwyceni jednak nie byli. Wyznawali zasadę, że sport – rozwijając organizm i kształtując osobowość – w życiu człowieka odgrywa bardzo ważną rolę. Ale nie sport wyczynowy. Zawody, rywalizacja, pogoń za wynikiem – te elementy sportu traktowali trochę pogardliwie. Niemniej odegrali dużą rolę w kształtowaniu moich pierwszych zainteresowań sportowych, szczególnie ojciec – żeglarz, strzelec sportowy i pływak. Z zawodu inżynier sanitarny, twórca siedmiu patentów z zakresu oczyszczania ścieków, do wszystkiego miał inżynierskie podejście. Potrafił zrobić prawie wszystko, a do czegokolwiek się zabrał, robił to znakomicie. Dwuosobowa hulajnoga, specjalne wiązania do nart, własnoręcznie skonstruowane buty z łyżwami, stojaki do skoku wzwyż – wszystko to było dziełem ojca.

Mieszkaliśmy we Wrocławiu, w Parku Szczytnickim. Uprawianie sportu w takich warunkach było łatwe. Zimą – łyżwy na stawie i narty na stokach wrocławskiego „Chimborazo” (wygasły wulkan, najwyższy szczyt w Andach Ekwadorskich, 6272 m), latem – skoki wzwyż, gimnastyka akrobatyczna na polankach parkowych i pływanie na basenach Stadionu Olimpijskiego.

W domu mieliśmy biblioteczkę, w której znajdowały się książki poświęcone prawie każdej dyscyplinie sportu, ale podręcznika alpinizmu nie było.

Pierwsze wyprawy górskie na Sobótkę, mającą „aż” 718 m, były przez ojca bardzo starannie organizowane. Chciał nas (miałam młodsze rodzeństwo – siostrę i brata) nauczyć zabierania właściwego ekwipunku na najłatwiejsze nawet wycieczki. Nic nas nie powinno zaskoczyć – zmiana pogody, przymusowy nocleg czy konieczność przyrządzenia posiłku. „Być przygotowanym na wszystko” – ta dewiza ojca utkwiła mi w pamięci bardzo mocno.

W pierwszych latach szkolnych chodziłam po górach dzięki harcerstwu. Trafiłam do znakomitej drużyny prowadzonej przez Danutę Wańkowicz oraz małżeństwo Danutę i Józefa Łukaszewiczów Urządzaliśmy piesze wyprawy po Beskidach – Wysokim, Niskim i Wyspowym. Poznawaliśmy kraj, ludzi, folklor. Na obozach harcerskich, stosując się do wskazówek druha – w „cywilu" matematyka – wszystko robiliśmy samodzielnie. Od rozstawiania namiotów, zbicia pryczy z żerdek i uplecenia ze sznurka posłania poczęwszy, aż do zbudowania glinianego pieca w ziemi.

Lata szkoły średniej to czas uprawiania wielu dyscyplin lekkoatletycznych – skok wzwyż, rzut oszczepem, pchnięcie kulą – w Międzyszkolnym Klubie Sportowym „Parasol", gdzie trenerem i wychowawcą młodzieży był inż. Roman Guderski. Wtedy również zaczęła mi się podobać siatkówka.

Tatry po raz pierwszy zobaczyłam najpierw z daleka – podczas wycieczki szkolnej, następnie zaś – po maturze. Grupka zaprzyjaźnionych osób z mojej klasy postanowiła uczcić zdanie matury wędrówką, na której trasie znalazły się również Tatry. To pierwsze z nimi spotkanie było dla mnie bardzo znaczące. Chodziliśmy po szlakach Hali Gąsienicowej, weszliśmy na Kasprowy Wierch, wreszcie pojechaliśmy do Morskiego Oka. Widok Morskiego Oka zafascynował mnie. Płaszczyzna stawu, nad nią ogromne szczyty i szum niepodobny do żadnego innego. Szum wiatru, drzew, potoku. Siedziałam na brzegu stawu, patrząc na góry i słuchając cichego plusku wody, obmywającej przybrzeżne kamienie.

Chciałabym tu pozostać – myślałam. Ale nie zastanawiałam się, w jaki sposób. Ot, pierwsze wrażenie. Być może były to doznania kogoś, kto w ogóle jest wrażliwy na formę. Niektórzy ludzie chodzą do kościoła przede wszystkim dlatego, że lubią nastrój, monumentalność, spokój, skupienie, muzykę organową.

I niewiele ma to wspólnego z prawdziwą wiarą. Może właśnie taki charakter miały moje ówczesne wrażenia znad Morskiego Oka – bardzo silne, ale bez większych konsekwencji w najbliższym czasie.

Na studiach, które rozpoczęłam w Politechnice Wrocławskiej, w dalszym ciągu uprawiałam lekkoatletykę, a także siatkówkę – grałam w AZS-ie wrocławskim. W roku 1961 zostałam powołana do kadry juniorek i wyjechałam z reprezentacją Wrocławia na zawody o Puchar Ziem Nadodrzańskich i Nadbałtyckich. Były to moje pierwsze międzynarodowe mecze. Również

tego roku startowałam w lekkoatletycznych mistrzostwach Polski klubów uczelnianych, na których zajęłam pierwsze miejsce w pchnięciu kulą.

Na meczach siatkówki często siedziałam na ławce rezerwowych, podziwiając te lepsze, przede wszystkim Marię Pankową-Śliwkową, kapitana polskiej drużyny na Igrzyskach Olimpijskich w Tokio, gdzie Polki zajęły trzecie miejsce. Wówczas nie stawiałam sobie za cel grania w kadrze narodowej, tak jak zaczynając wspinać się, nie myślałam o Evereście. Po prostu angażowałam się na tyle mocno, że osiągałam pewne sukcesy, które z kolei stawały się bodźcem do dalszych działań.

W pierwszych latach studiów, oprócz nauki, zajmowałam się jeszcze wieloma sprawami: sportem, fotografią, literaturą, wędrówkami po górach. Z ciekawości chodziłam też na wybrane zajęcia na innych kierunkach, które studiowali moi koledzy. Chciałam wiedzieć, o czym mówią na uniwersyteckich wykładach fizyki, astronomii czy prawa.

Poprzez środowisko studenckie poznawałam ciekawych ludzi o różnorodnych zainteresowaniach. Jednym z nich był Bogdan Jankowski, kolega z wyższego roku na Wydziale Łączności. Od kilku lat uprawiał wspinaczkę, w Tatry jeździł latem i zimą. Na soboty i niedziele wyjeżdżał wspinać się w Skałki, czyli Góry Sokole leżące w paśmie Rudaw Janowickich pod Jelenią Górą. Pewnego dnia zaproponował mi taki wyjazd w rewanżu za pożyczenie notatek z matematyki.

Pierwszy dzień w Skałkach przyniósł mi doznania, które osłabiły wszystkie dotychczasowe fascynacje. Odnalazłam coś dla siebie i wiedziałam, że przy tym pozostanę. Przeżyłam wówczas całą gamę uczuć: strach i radość z jego pokonania, skupienie i determinację, uwolnienie się od siły ciążenia, niezwykle silny kontakt z przyrodą, ze skałą, która była moim oparciem. Jej zapach, zapach ziemi w szczelinach skalnych, powietrza i lasu. I chwila wiązania się liną z partnerem, dająca poczucie bezpieczeństwa, gdyż jest on i lina. Potem byłam tam wielokrotnie instruktorem, szkoląc adeptów taternictwa. I za każdym razem patrzyłam na nich trochę z perspektywy własnych przeżyć podczas pierwszych wspinaczek.

Moimi partnerami na pierwszej wspinaczce w Skałkach byli Bogdan Jankowski i Władek Berwiński. Wspinaliśmy się na „Sukiennice” drogą, którą wykorzystuje się do zejścia. Wówczas mówiło się, że są to „Sukiennice drogą przez czołganie”. Później ten odcinek przechodziłam w maksymalnym odchyleniu od skały, co przy pierwszym przejściu nie przyszło mi do

głowy Wprost przeciwnie; kleiłam się do ściany, mając złudzenie, że jestem przez to bezpieczniejsza.

Po dotarciu na szczyt „Sukiennic” byłam rozczarowana, że koledzy po drodze nie wbijali w szczeliny haków. A ja tak bardzo chciałam pójść na drogę „hakową”! Sądziłam, że na drodze „hakowej” wspinający się wbijają haki i że jest ona wyższym stopniem wtajemniczenia. Tymczasem, choć rzeczywiście na trudnych wspinaczkach wbija się haki, to jednak we wspinaczce klasycznej służą one wyłącznie do asekuracji. Określenie „wspinaczka hakowa” zarezerwowane jest dla dróg, na których wspinający się korzysta z wbitych haków, używając ich jako chwytów i stopni. Wytłumaczono mi również, że okrągłe pierścienie z zamkami to nie klamry, lecz karabinki, i że wspinanie się po klamrach to zupełnie coś innego.

Po tych wszystkich wyjaśnieniach należało zjechać ze szczytu. Zjazdy w Skałkach są emocjonujące – przewieszony teren, brak kontaktu ze skałą. Jedynym oparciem jest lina, na której wisi się w powietrzu. Pierwszy w życiu zjazd z wysokości około 20 metrów to duże przeżycie!

Założyłam klucz zjazdowy, opasałam się liną, prowadząc ją przez lewe podudzie, prawy bark i plecy. Linę przed sobą trzymałam prawą ręką na wysokości twarzy, lewą – linę zwisającą z tyłu, sięgającą podnóża skały. Przez odpowiedni kąt opasania liną ciała miałam regulować szybkość zjazdu. Z góry asekurowano mnie drugą liną, co jest niezbędne przy zjazdach początkujących wspinaczy.

Po wejściu w klucz zjazdowy wysłuchałam instrukcji, co dalej robić. Miałam wychylać się stopniowo poza krawędź platformy szczytowej. W uszach mi szumiało, z trudnością rozumiałam, co do mnie mówią. To chyba najgorszy moment dla każdego początkującego wspinacza. A stojący na górze ponaglali:

– No, pochyl się! Zaprzyj się nogami o skałę!

– Nie klej się do ściany! Wyprostuj nogi! Odpychaj się nogami!

A mnie drżą ręce i nogi, serce uderza szybciej. Na koniec decyzja – zjeżdżam! Pole widzenia nagle się zmniejszyło. Przestałam bać się wysokości. Powoli opuszczałam się, prawie nie słysząc pokrzykiwań z góry. W pewnym momencie usłyszałam:

– Odchyl rękę do tyłu!

Posłuchałam. Zaczęłam zjeżdżać szybciej. Szybszy zjazd – szybsze przesuwanie się liny po ciele, powodujące oparzenia skóry. Czerwona pręga na

nodze od liny to rodzaj pasowania na taternika.

Na dole Skałki wydały mi się mniej straszne. Koledzy uznali, że już wystarczająco długo zajmowali się moją osobą i poszli wspinać się gdzie indziej. Postanowiłam rozejrzeć się trochę. Nieco na lewo od drogi, którą niedawno przeszłam, wypatrzyłam dosyć wysoki komin skalny. Pomyślałam, że spróbuję wspiąć się w nim choć parę metrów.

Wspinaczka w kominie jest prawie instynktowna i naturalna. W szerszej części komina zapierałam się plecami o jedną ścianę, stopami o drugą i podpierając się rękoma, przesuwałam się wyżej. Po około 10 metrach komin nieco się zwęził. Zamiast stóp klinowałam kolana. Jeszcze wyżej komin był tak wąski, że utknęłam w nim zaklinowana, nie mogąc zdecydować się na wyjście. Dalsza droga wiodła bowiem stromą ścianką skalną. Po kilku przymiarkach udało mi się ją pokonać. Stanęłam na małych stopniach. Mogłam przytrzymać się ręką, ale przede mną był następny trudny odcinek. Dowiedziałam się później, że w skali taternickiej jest on określany jako „nadzwyczaj trudny". Bez dobrych chwytów i stopni, mając pod nogami kilkanaście metrów otwartej przestrzeni, trzeba się wspiąć trzymetrową ścianą komina na łatwą już platformę podszczytową. Wycofać się tą samą drogą, którą tutaj dotarłam, nie miałam odwagi. Bałam się również pójść wyżej.

Długo nie mogłam zdecydować się na opuszczenie wygodnych stopni. Wspinałam się metr wyżej, ogarniał mnie strach i cofałam się. Odpoczywałam przed kolejną próbą, usiłując pokonać strach.

Spoglądając w dół, zobaczyłam naraz kilka uniesionych ku mnie, zaniepokojonych twarzy. Usłyszałam chór sprzecznych poleceń i retorycznych pytań:

– Złaź natychmiast!

– Nie, czekaj spokojnie, idziemy!

– Po jaką cholerę tam lazłaś?

Któryś z kolegów zaczął wspinać się, by zabezpieczyć mnie przed spadnięciem. Zdopingowana tym i rozzłoszczona skoncentrowałam się i raz jeszcze dobrałam się do piekielnej ścianki. Strach ustąpił. Nie myślałam, co będzie, jeżeli noga ześliźnie się z mikrostopnia, a ręce zaciśnięte na obłych wypukłościach ściany nie utrzymają ciężaru ciała.

Nareszcie! Znalazłam solidny chwyt! Szybko podciągnęłam się na rękach i znalazłam się w łatwym terenie. Szczyt był tuż. Zdobyty samodziel-

nie, mój własny!

Czy byłam odważna? Nie za bardzo. Za ówczesną odwagą, niewspółmierną do umiejętności, kryła się nieświadomość i brak wyobraźni. Ale radość po przejściu zaważyła na tym, że pozostałam przy wspinaczce, a nie przy poprzednio uprawianych sportach. Choć nie tylko radość…

Alpinizm, a właściwie taternictwo składało się dla mnie z trzech równorzędnych elementów: współtowarzysze, wspinaczka oraz przyroda, wśród której to wszystko się odbywało. Na pierwszym etapie wspinania najważniejsi byli ludzie. Ci, których poznałam w Skałkach, stali się dla mnie bardzo ważni. Panowała wśród nich atmosfera prawdziwej serdeczności, nowego otaczali od początku opieką, przyjmowali za swojego. Atmosfera rodzinna była bardzo typowa dla wrocławskiego środowiska alpinistycznego, które tworzyli niebanalni ludzie.

Na przykład Bogdan Jankowski, którego dewizą było, że cokolwiek robi, musi robić to dobrze, Adam Uznański – senior wrocławskich wspinaczy, długoletni prezes Wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego, Kazek Głazek – po uszy tkwiący w swej ukochanej matematyce, Tadeusz Zipser – architekt, Jacek Kolbuszewski – literat, autor wielu książek o górach, a także Janusz Fereński i Romek Bebak – prawnicy i grotołazi, którzy nie tylko znakomicie się wspinali, ale również wymyślali wspaniałe zabawy.

Klub Wysokogórski był może poważniejszy, grotołazi zaś odznaczali się nieposkromioną fantazją, ale obydwa środowiska przenikały się – tu i tam były te same osoby, panował też podobny styl zabaw i surrealistycznych dowcipów. Wszyscy pozostawaliśmy pod urokiem fantazji Piotra Wojciechowskiego, twórcy Podhalańskiej Akademii Wiedzy, autora szalonych sztuk, jak „Rower pancerny”, „Powrót docenta Pudyny” czy „Genialny wynalazek profesora Leclanche”, granych w prywatnych domach oraz w Piwnicy grotołazów. Piotr do dziś w swej poważnej twórczości nawiązuje do tamtych dni:

…Wspominam czas dawniejszy nieco, Wroclaw, studencką stołówkę na Szewskiejkiedy to pochyleni nad grulami i sosem półmięsnym radziliśmy, jak tu się fizycznie przygotować do sezonu jaskiniowego i wspinaczkowego, kiedy sesja egzaminacyjna mordercza, materiału do wkucia sterty, czasu mało. W bibliotece mózg puchnie, ale bicepsy flaczeją. Ktoś, kto potem w Podhalańskiej Akademii dochrapał się laurów i tytułów, wpadł na ideę „treningu ukrytegoniesiesz kajecik cieniutki – ale mięśnie grają przesadnie,

jakbyś dźwigał wór żelastwa; schylasz się, aby trampki zasznurować – schylasz się przesadnie, do zgrzytu kręgów,jakbyś chciał sobie ucho przydeptać; sięgasz po słoik ze smalcem na półce – tak sięgasz, jakby ta półka była w połowie północnego Filara Mięguszowieckiego…

Długie lata pozostawałam pod urokiem Skałek. Nie tylko dlatego, że mogłam się po nich wspinać, ale dlatego, że byli ludzie, z którymi tam jeździłam, swoista atmosfera – podobna trochę do tej z harcerstwa – po latach znów odnaleziona.

Wspinanie w Skałkach nie było celem samym w sobie, lecz jednym ze sposobów bycia ludzi ze sobą. Nasze sobotnio-niedzielne wyjazdy nie miały charakteru treningu. Był to pewien ceremoniał – robiło się trzy, cztery drogi, siedziało się nieco dłużej na górze, pogadywało… Był czas, by popatrzeć wokół, fotografować, a po zejściu nazbierać drewna na ognisko, sprawdzić, czy lis mieszka ciągle w jamie pod głazem. Potem następna droga, a po niej obiad. Wieczorami siadywało się na skalnym balkoniku i prowadziło długie rozmowy. Spaliśmy w kolebie pod ogromnym głazem, który przytykając do granitowej turni Sukiennic, tworzył naturalne schronienie, osmolone dymem ogniska i przeciekające nieco w czasie deszczu.

Potem to wszystko zmieniło się. W Skałki przyjeżdżało się, by zrobić co najmniej piętnaście dróg. Z jednej wchodziło się natychmiast w drugą, prawie nie rozwiązując się. Trenowano, pokonując tę samą drogę po kilkanaście razy, coraz szybciej, w coraz lepszym stylu.

Poprzednia celebracja stwarzała coś w rodzaju tradycji domu rodzinnego. Tylko że z domu rodzinnego zazwyczaj ucieka się. I ja uciekłam – bo chciałam więcej, trudniej, samodzielnie.

Powoli nabierał znaczenia drugi element stanowiący dla mnie o istocie alpinizmu – sportowe podejście do wspinaczki, które ukształtowało się poprzez wcześniejsze uprawianie innych sportów. Ten element musiał wystąpić, bym pozostała przy wspinaczce. Moje sportowe podejście do alpinizmu polegało na podejmowaniu coraz trudniejszych celów. Nieraz zastanawiałam się, czy radość po ukończeniu wspinaczki była inna niż po wygranym meczu siatkówki. W pewnej mierze jest podobna, nie tylko bowiem wynik jest ważny, liczy się też sama działalność, ruch, rywalizacja i niepewność wyniku.

W czasie ważnego meczu, podczas Pucharu Ziem Nadodrzańskich i Nadbałtyckich, weszłam na boisko i… zupełnie nie pamiętam, jak grałam. By-

łam jak w transie. Potem przez trzy kolejne noce „grałam” cały mecz, od początku do końca. Rano budziłam się tak zmęczona, jak gdyby wydarzyło się to naprawdę. Ze wspinaczką było trochę inaczej – przeżywałam ją przez wiele dni, ale na jawie.

Współdziałanie w zespole wspinaczkowym i drużynie siatkówki jest, wbrew pozorom, bardzo podobne. Wzajemna zależność i ta sama przyjemność płynąca z zespołowego działania. Ale koniec wygranego meczu jest sprawą umowną, związaną ze zdobyciem 15 punktów w ostatnim secie. Potem następuje zejście z boiska, szatnia z zapachem przepoconych ubrań, natryski i szybki powrót do codzienności. W górach koniec wspinaczki jest bardzo naturalny – jest nim szczyt. Dookoła nieograniczona przestrzeń, słońce, czasem wiatr i deszcz, czasem mgła. A my na szczycie, poprzez wysiłek i zmęczenie oczyszczeni i wolni, choć na chwilę stajemy się cząstką natury. I być może ten element kontaktu z naturą, przestrzenność alpinizmu, zaważył na mojej decyzji, kiedy nadszedł czas dokonania wyboru.

W 1964 roku rozpoczęłam pracę zawodową w Instytucie Automatyki Systemów Energetycznych we Wrocławiu, jednocześnie robiąc dyplom na uczelni. Zrobiło się krucho z czasem. Praca od 7.15 do 14.15, trzy razy w tygodniu trening i mecze siatkówki, a do tego jeszcze Skałki – zazwyczaj w soboty i w niedziele, kiedy to bardzo często odbywały się jednocześnie mecze. Nie mogłam więc jeździć w Skałki, gdy były rozgrywki A klasy, później II ligi. Były też zgrupowania reprezentacji młodzieżowej, powoływano mnie na mecze międzypaństwowe. W trakcie przygotowań do Igrzysk Olimpijskich w Tokio byłam jeszcze w kadrze olimpijskiej. Jednak na igrzyska nie pojechałam.

Właśnie wtedy zmieniono przepisy. Faworyzowały one zawodniczki wyższe, mające większe szanse przy bloku i przy ataku. Próbowałam nadrabiać skocznością, chytrością, ale wydawało mi się, że możliwości w siatkówce mam ograniczone. Osiągnęłam pewien poziom umiejętności, którego nie mogłam już przekroczyć.

Ostatni raz grałam w siatkówkę w reprezentacji Polski AZS na Uniwersjadzie w Budapeszcie w 1965 roku. Poza mną był już pierwszy wspinaczkowy wyjazd letni w Alpy, w roku 1964. Po Budapeszcie jeszcze sezon grałam we wrocławskiej Gwardii, po czym pożegnałam się z siatkówką wyczynową. Pozostał już tylko alpinizm, bardzo wówczas absorbujący, jak

wszystko na początku. Ale pierwsze kroki były poza mną, już coś udało mi się osiągnąć. Wiedziałam, ku czemu zmierzam.

Nastąpił wspaniały okres gromadzenia „dóbr” Jakże wtedy było ważne zdobycie kilku dobrych karabinków, lin czy haków! Jakie toczyły się dyskusje na temat sprzętu, sposobu wiązania liny, techniki wspinaczki. Ciuła się ten sprzęt, ciuła i ciągle jeszcze nie jest to. Później dobrego sprzętu jest więcej, ale szybko się niszczy. Jest się już dobrym wspinaczem, a sprzęt albo nie najlepszy, albo podniszczony. Najgorsze jednak czeka prawie każdego z nas – ma się wreszcie już ten wymarzony, dobry sprzęt, ale nie jest się już dobrym alpinistą!

Po letnich wspinaczkach w Skałkach poznałam zasady wspinaczki zimowej w Śnieżnych Kotłach, leżących między Łabskim Szczytem a Szrenicą w Karkonoszach. Skala trudności, ekspozycja, długie, kilkugodzinne dojścia, typowy wysokogórski charakter, zimą ogromne nawisy, lodospady, lawiny – wszystko to sprawia, że Śnieżne Kotły – wychodzące na grań żlebami 150-200 m wysokości – są etapem pośrednim między Skałkami a Tatrami. Jest to znakomity teren treningowy przed poważnymi zimowymi drogami tatrzańskimi dla wspinaczy ze środowiska sudeckiego. Również i ja w Śnieżnych Kotłach uczyłam się asekuracji przy użyciu czekana, posługiwania się rakami, śrubami, igłami lodowymi, rąbania stopni w lodzie.

Po indywidualnych wspinaczkach i bliższym poznaniu środowiska wrocławskich taterników wstąpiłam do ówczesnego Wrocławskiego Koła Klubu Wysokogórskiego jako członek-sympatyk. Po pewnym czasie zostałam członkiem-uczestnikiem. W następnych latach moją działalnością górską w dużej mierze kierował klub, nadając niejako urzędowy charakter moim inicjatywom.

I właśnie jako członek klubu, ze skierowaniem w garści, w lipcu 1962 roku pojechałam do „szkółki taternickiej” na Hali Gąsienicowej.

ZAPACH TATR

Należę do tych nielicznych wspinaczy, którzy zaczęli uprawiać taternictwo, prawie nie znając Tatr. Do taternictwa nie dochodziłam poprzez turystykę wysokogórską, ucząc się wspinaczki, poznawałam jednocześnie Tatry. Znałam je z map i przewodników, znałam sporo faktów z historii ich zdobywania, a także nazwiska najlepszych taterników i alpinistów, umiałam wymienić wszystkie szczyty w głównej grani Tatr, topografii uczyłam się z albumów.

Z pomaturalnej wycieczki w góry niewiele pozostało mi w pamięci, toteż po przyjeździe do Zakopanego nie bardzo orientowałam się, jak dojść na Halę Gąsienicową…

Do „Murowańca” przyszłam z ogromnym plecakiem: dużo jedzenia, maszynka benzynowa, paliwo, sprzęt wspinaczkowy i biwakowy. Zgłosiłam się do dyżurki GOPR-u, gdzie powiedziano mi, w której sali mieszkają „kursanci”. Długo stałam pod drzwiami pełna obaw: kogo i co tam zastanę? Nagłe szarpnięcie drzwi z tamtej strony nie pozostawiło mi wyboru – musiałam wejść.

„Kursanci” leżeli na łóżkach, odpoczywając po trudach pierwszych przejść. Nowa osoba zwróciła ogólną uwagę, co nie dodawało mi śmiałości. Posypały się pytania: kim jestem, czym się zajmuję, skąd się wzięłam? W obronę przed ciekawskimi wziął mnie jeden z instruktorów, Zbyszek Jurkowski:

– Dajcie jej spokój, niech dziewczyna rozpakuje się i odpocznie. Nie widzicie, jaka jest przerażona?

Szkółkę na Hali Gąsienicowej prowadził wówczas Michał Gajewski – pełniący obowiązki naczelnika GOPR-u, instruktorami zaś byli ludzie znani w środowisku taternickim; nazwiska niektórych związane są z historią taternictwa i alpinizmu w Polsce. Moimi bezpośrednimi instruktorami byli: „Szlachetny”, czyli Zdzisław Jakubowski, późniejszy etatowy kierownik

„Szkoły Taternictwa” na Hali oraz Ryszard Berbeka, brat bardziej znanego wśród alpinistów Krzysztofa.

Następnego dnia przeprowadzono sprawdzian naszych umiejętności. Prawie każdy miał już pewne doświadczenie wspinaczkowe, a przynajmniej powinien je mieć. Sprawdzian dotyczył nie tylko umiejętności posługiwania się liną, znajomości zasad asekuracji, ale również techniki wspinaczki. Cała impreza odbywała się na Żółtej Igle, tradycyjnym poligonie nowicjuszy. Dzieją się tam zazwyczaj rzeczy straszne, po latach wspominane jednak przez byłych kursantów z rozrzewnieniem.

Podchodzimy pod Żółtą Igłę. Opuszczamy szlak turystyczny i wchodzimy w piarg. Niepokój – nie obsunie się? Wydaje się, że każdy ruch na zboczu spowoduje ruszenie kamiennej lawiny. Pod Żółtą Igłą wiążemy się. Używaliśmy wówczas lin sizalowych. Nowe sprawiały nam wiele kłopotu, gdyż w czasie wspinaczki skręcały się w węzły koszmary. Trzeba było często rozplątywać tę „sałatę” i niewiele pomagał wcześniejszy zabieg prostujący – moczenie, a następnie suszenie napiętej, rozwieszonej między drzewami liny.

Związaliśmy się pod pachami węzłem tatrzańskim skrajnym. Nie były jeszcze używane wsporki, czyli taśmy lub pętle na uda, podwiązane do tego węzła. Przy wiązaniu się pod pachami liną lub specjalnym pasem w czasie upadku całe obciążenie szło na klatkę piersiową. Stosowano również wiązanie w pasie, ale przy tym sposobie asekuracji istniało niebezpieczeństwo, że środek ciężkości może przesunąć się i delikwenta obróci nogami do góry lub może nastąpić szarpnięcie tak silne, że spowoduje wewnętrzne obrażenia.

Po sprawdzianie pogrupowano nas w zespoły o mniej więcej wyrównanych umiejętnościach. Byłam w zespole z Witkiem Błońskim i Adamem Trzaską. Najczęściej chodziliśmy na drogi o stopniu trudności II lub III, czyli „dość trudno” lub „trudno”.

Na zakończenie kursu nagrodą dla najlepszych było wspinanie się na drogach o skali trudności IV i przejście „setki”. Jest to droga na Zachodnim Kościelcu – wschodnim żebrem od strony Zmarzłego Stawu.

Zazwyczaj ze schroniska wychodziliśmy około 7.30. Wspinaczki były krótkie: żebra Granatów – prawe, lewe i środkowe, grań Kościelców, grań od Niebieskiej Turni do Świnicy bez uskoku oraz Zawratowa Turnia. Wszystkie te drogi nie przekraczały skali trudności III. Przejście zachodniej

ściany Zadniego Kościelca, drogi trudniejszej, było dla naszego zespołu dużym przeżyciem, zwłaszcza że do trudności technicznych dołączyła się nagła ulewa, która zmusiła nas do pospiesznego wycofania się.

Wycofując się ze ściany, zostawiliśmy karabinek z pętlą. Karabinek ciężki, solidny, odkupiony od wspinacza z NRD. Sprzęt mieliśmy wówczas tak skromny, że strata jednego nawet karabinka wydawała się niepowetowana. Mieliśmy ich zaledwie trzy! Toteż następnego dnia wróciłam z Adamem na ścianę, by odzyskać naszą własność. Oczywiście, bez wiedzy instruktora, nie zabierając też liny, a jedynie pętlę. Wspięliśmy się na znaczną wysokość. W trudnym miejscu ogarnął nas nagle strach, niepozwalający pójść wyżej ani też zdecydować się na odwrót. Trochę to trwało, zanim z dużymi emocjami wycofaliśmy się w końcu do podnóża ściany.

To wydarzenie było dla mnie podwójnie pouczające. Pierwsza nauczka nastąpiła zaraz: na tym etapie umiejętności trzeba bardzo uważać przy podejmowaniu samodzielnych decyzji wspinaczkowych. Druga natomiast zaowocowała w kilka lat później, kiedy zostałam instruktorem; wiedziałam już, z własnego doświadczenia, że po „kursantach” można i trzeba spodziewać się wszystkiego.

Moje umiejętności wspinaczki zimowej, nabyte w Śnieżnych Kotłach, z których byłam tak dumna, nie wystarczały na Tatry nawet latem. Schodziliśmy z Przełęczy Kościelcowej ku Stawom Gąsienicowym po płacie śniegu. Czując się bardzo pewnie, chwytam mocniej w garść młotek i do roboty! Zdzisław Jakubowski ostrzega, bym uważała. Odkrzykuję dziarsko:

– Znamy to, znamy!

Ocieniony płat okazuje się jednak twardszy, niż myślałam, i zanim zdążyłam wyhamować młotkiem, zaczęłam zsuwać się w dół. Poleciałam zaledwie kilkadziesiąt metrów. Nic mi się nie stało. Ale do końca kursu słyszałam: „Znamy to, znamy!” Szkółkę ukończyłam z wynikiem zaledwie dobrym. Mimo oczytania w literaturze zaważyły braki w znajomości Tatr. Kurs kończył się egzaminem praktycznym, podczas którego – w tym samym zespole, w którym wspinało się w czasie kursu – należało w obecności komisji egzaminacyjnej przejść drogę na Żebrze Pietscha, wyprowadzającym na grań Fajek pomiędzy Żółtą Turnią a Granatami. Z trudnością można nazwać to drogą, gdyż gubi się gdzieś między piargiem a kosówką. Nie jest to formacja wybitna, ale za to bardzo dogodna do przeprowadzenia egzaminu, ponieważ komisja może dokładnie obserwować kolejne etapy

wspinaczki. Naszemu zespołowi ten egzamin przeszedł bezboleśnie. Staliśmy się taternikami.

Tuż przed rozpoczęciem naszego kursu na Hali Gąsienicowej wydarzył się tragiczny wypadek. 2 lipca 1962 roku zginął Jan Długosz, idol ówczesnego pokolenia taterników, czołowa postać krakowskiego środowiska, człowiek o niezwykłej osobowości, narzucający określony styl bycia i wspinaczek. Zginął na łatwej, wydawałoby się, zupełnie bezpiecznej grani Zachodniego Kościelca, w trakcie zajęć prowadzonych z komandosami. Obserwując wspinające się grupy, chodził po grani bez asekuracji, w terenie o skali trudności II.

Nie znałam Długosza osobiście. Był dla mnie jeszcze jedną postacią legendarną, choć współczesną. Może dlatego jego śmierć nie wywarła na mnie zbyt silnego wrażenia, mimo że przeszła tak blisko. Ale inną śmierć w górach, kilka lat wcześniej, przeżyłam mocno. Z taternictwem wtedy nie miałam jeszcze nic wspólnego.

Byłam studentką I roku. Naszym asystentem na zajęciach rysunku technicznego był Jerzy Biederman, młody, znakomity wrocławski taternik. 28 grudnia 1959 roku ze schroniska przy Morskim Oku wyruszył ze swym stałym partnerem Józefem Panfilem, z którym dokonał wielu wspaniałych przejść w Tatrach i Alpach, a towarzyszył im Marian Hensold. Mieli zamiar przejść filar północnej ściany Żabiego Szczytu Wyżniego. Po południu zaczął padać śnieg. Następnego dnia rano wszystkie zespoły powróciły do schroniska – oprócz zespołu z Wrocławia. Ekipa GOPR-u przedostała się do Doliny Żabich Stawów Białczańskich. Dolina była wypełniona świeżo spadłym śniegiem, nieskalanym żadnymi śladami. Tylko pod Owczą Przełęczą leżały zwały wielkiej lawiny…

Śmierć w górach wydawała mi się wówczas bohaterska i wzniośle tragiczna. Po raz pierwszy zetknęłam się ze śmiercią kogoś znajomego, kogo prawie codziennie widywałam. Trochę po młodopolsku myślałam, że góry za miłość do siebie każą płacić cenę najwyższą.

O Jurku Biedermanie pamiętaliśmy we Wrocławiu, ale pamięć tę przesłonił nieco jego brat Wojtek, który zaczął się wspinać dopiero po śmierci Jurka. Szybko stał się jednym z lepszych taterników środowiska wrocławskiego. Cieszył się ogólną sympatią, zwłaszcza starszych taterników, którzy ze względu na pamięć brata mieli w stosunku do niego trochę opiekuńcze uczucia. Ale Wojtek nie chciał i nie potrzebował opieki. Chciał się wspinać.

Bardzo często ocierał się o ryzyko, pokonując drogi „skrajnie trudne”. Wśród przyjaciół budził obawy, czym to może się skończyć. Skończyło się tragicznie w 1964 roku. Zginął w górach, których wciąż był spragniony, na zerwach Galerii Gankowej.

Po ukończeniu kursu na Hali Gąsienicowej, z „patentem” na samodzielne wspinanie, wyruszyłam do Morskiego Oka. Tam miał się mną zaopiekować jeden ze wspinaczy Koła Wrocławskiego, Longin Śliwiński. Obozował na „taborisku”, czyli polu namiotowym niedaleko schroniska, wraz z przyszłą żoną, Zosią.

Przed wyjazdem Adam Uznański przestrzegał mnie przed tym rejonem, który jest o wiele trudniejszy niż otoczenie Hali Gąsienicowej. Drogi wspinaczkowe w okolicy Morskiego Oka są na ogół długie i trudne, trzeba je pokonywać w towarzystwie wspinaczy doświadczonych, dobrze znających teren. Takimi partnerami stali się dla mnie Longin i Zosia. Przyjaźń z nimi przetrwała lata. Połączyły nas niemal więzy rodzinne, gdyż zostałam matką chrzestną ich synów, Rafała i Pawła.

W Morskim Oku od razu trafiłam w środowisko osób podobnych do mnie, mniej lub bardziej zaawansowanych, wśród których szybko znalazłam krąg bliskich przyjaciół. Między nimi był Jerzy Hirszowski, późniejszy partner na trudniejszych drogach. Tego lata przeszłam z Jurkiem północną ścianę Żabiego Konia. Tę drogę znałam z literatury, wydawała się bardzo trudna. Prowadziłam na niej, więc tym większą miałam satysfakcję z przejścia.

Potem przyszła kolej na Zamarłą Turnię, znaną z taternickiej literatury, owianą mitem trudności i tragedii. Drogę na Zamarłej przechodziłam z Jurkiem i jego ojcem. Ten sześćdziesięcioletni pan budził podziw, gdy w dobrym stylu pokonywał trudności w skali V, czyli „nadzwyczaj trudno”.

Tego samego dnia, po zejściu ze szczytu Zamarłej Turni, postanowiliśmy z Jurkiem przejść po raz wtóry ścianę, tym razem środkiem. Wspinaliśmy się bardzo stromymi, granitowymi płytami, mając przed sobą bezmiar gładkiej skały. Maleńkie stopnie centymetrowej szerokości nie stanowiły pewnego oparcia. Kiedy skończyliśmy wspinaczkę, było już ciemno. Nie mieliśmy latarek. Wyjście w ciemnościach z Pustej Dolinki, rozciągającej się u stóp południowej ściany Zamarłej Turni, łatwe nie było.

Wśród ogromnych głazów, nie mogąc trafić na ścieżkę, szliśmy bardzo długo do Morskiego Oka przez Świstówkę. Zmęczona, prawie zasypiałam

po drodze. Ale szłam. Przygotowanie sportowe sprawiło, że miałam nie tylko rezerwę sił, ale i umiejętność ich uruchamiania w razie potrzeby.

W 1963 roku nastąpiły już dwa wyjazdy w Tatry – lipcowy i wrześniowy – przedzielone zgrupowaniem siatkówki. Lipiec spędziłam na Hali Gąsienicowej, gdzie tym razem poznałam ludzi ze środowiska warszawskiego: Andrzeja Skłodowskiego, Iwonę i Jarka Sadowskich. Był również Jurek Hirszowski, Marek Sokołowski, Adam Uznański, Zosia i Longin Śliwińscy. Ten okres utkwił mi w pamięci jako bardzo miły i udany towarzysko. Po trosze czułam się taternikiem i miałam poczucie przynależności do środowiska.

Przejścia tego sezonu dodały mi pewności siebie. Poznałam zasady wspinaczek hakowych. Na pierwszej, a była to droga Paszuchy i Łapińskiego na wschodniej ścianie Mnicha, wiele nauczyłam się od Jacka Dyzmy Woszczerowicza, zaliczającego się do czołowych taterników młodego pokolenia. We wrześniu przechodzę pierwszą większą, poważną drogę, wymagającą sporych umiejętności. Przejście jej, na ówczesnym etapie rozwoju taternictwa, było dużym osiągnięciem. To północno-wschodnia ściana Mnicha, Wariant R.

Przy zdobywaniu Mnicha tą drogą po raz pierwszy użyto najnowocześniejszej techniki wspinaczkowej – specjalnymi przyrządami wywiercano w litej skale otwory, w których umieszczano odpowiednio przygotowane haki, zwane nitami. Dzięki tym hakom w 1955 roku Jan Długosz i Andrzej Pietsch pokonali niedostępne dotychczas fragmenty drogi. W lipcu 1962 roku Wariant R po raz pierwszy atakuje zespół kobiecy – z powodzeniem! Przechodzą go Halina Krüger-Syrokomska i Janina Zygadlewicz.

Moim partnerem na Wariancie R był Jerzy Krajski. Wspinał się już w Dolomitach i Alpach, ale i dla niego Wariant R stanowił pokusę. W schronisku nad Morskim Okiem nie mógł znaleźć partnera – jedni mieli tę drogę już za sobą, inni nie byli nią zainteresowani. Jacek Hanasiewicz, taternik z Krakowa, przedstawił nas sobie i polecił mnie Jurkowi jako partnerkę.

Ze schroniska wyruszyliśmy wczesnym rankiem i już około siódmej wchodziliśmy w ścianę trawersem do tzw. Półek Mnichowych, od których zaczynały się właściwe trudności. Pierwszy wyciąg na płytach prowadził Jurek. Doszedł do szczeliny w kształcie wielkiej litery M i założył stanowisko na dwóch tkwiących tam już nitach. Dochodząc do stanowiska, na któ-

rym Jurek siedział w szczeblach ławeczek, wpiętych karabinkiem do dwóch kawałków żelaza, wnitowanych w skałę na głębokość paru centymetrów, rozpoczęłam gimnastykę, chcąc go obejść. W czasie wspinaczki im dalej od siebie znajdują się partnerzy, tym jest bezpieczniej, gdyż więcej haków jest między nimi. Najniebezpieczniejszym momentem jest zmiana na stanowisku – na pionowej ścianie, bez chwytów i stopni, trzeba wyjść ponad asekurującego partnera, obciążając nity, na których on wisi.

Następny wyciąg, pod okapy, był mój. Po prostej początkowo wspinaczce hakowej, czyli wbijaniu kolejnych haków w szczeliny, przekładaniu ławeczek, stawaniu na nich i wbijaniu wyżej następnego haka, zrobiło się trudniej. Szczelina zaczęła zanikać. Pasowały do niej tylko krótkie, grube haki, ale i one nie bardzo trzymały. Stojąc na ławeczce, widzę naraz, jak pod moim ciężarem hak powoli wysuwa się ze szczeliny. Na szczęście nie do końca. Zaklinował się! Chcę jak najszybciej podejść pod okapy, gdzie będzie można dobrze wbić haki. Na razie delikatnie, bez gwałtownych poruszeń, wbijam następny hak, wieszam na nim drugą ławeczkę, staję w niej i dosięgam okapu.

Dalsza wspinaczka wymaga już sporej siły. Wbijam kolejno haki w skalny strop, z trudem balansując na wiszących ławeczkach. Na skraju okapu o wysięgu kilku metrów zakładam kolejne stanowisko asekuracyjne i ściągam Jurka. Mija mnie, idzie wyżej. Nie znamy zbyt dokładnie opisu drogi. Po kilkunastu metrach Jurek zakłada następne stanowisko, waha się, nie jest pewny, jak wspinać się dalej. Na dodatek zrobiło się mglisto. Gdy patrzyłam z dołu, spod okapu, wydawało mi się, że Jurek może wreszcie wygodnie stanąć na płycie skalnej, na której było stanowisko. Złudzenie.

W rzeczywistości płyta jest przewieszona. Często ulegaliśmy podobnym złudzeniom, kiedy brakowało pionowej skały jako linii odniesienia.

Wychodzę wyżej. Źle, nie tędy. Zmyliły mnie powbijane poprzednio haki. Wracam mocno wychylona od pionu, w przewieszonej skale, do stanowiska między okapami. Teraz Jurek rusza do góry. Chmurzy się, po chwili leje deszcz. Po godzinie dochodzę do Jurka w strugach deszczu, poganiana błyskawicami i grzmotami. Ten drugi, zwłaszcza kiedy się śpieszy, ma kłopoty z wybijaniem haków. Staram się robić to jak najszybciej, czasem zamiast w hak uderzam młotkiem w rękę.

Jurek siedzi na stromej, ale już nieprzewieszonej płycie. Dobija kilka haków. Stanowisko będzie bezpieczniejsze. Tkwimy na nim, wzdrygając się

przy błyskawicach i grzmotach, czekając, aż minie ulewa. Niestety, trwa. Kolejna błyskawica i nagły strach – po mokrej skale błyskawica sunie wprost ku nam! Dopiero po chwili przychodzi zrozumienie – to tylko światło odbite w wodzie płynącej szczeliną.

Od końca trudności dzieli nas jeden wyciąg liny. Żeby tylko wreszcie skończyła się ta burza!… Tam, gdzie teren jest już łatwiejszy, dostrzegamy naraz w górze chybotliwe światełka. Słyszymy nawoływania! To Jacek Woszczerowicz i Jurek Hirszowski, niespokojni o nas, zmobilizowali kolegów i wyszli naprzeciw Niosą ciepłe, suche rzeczy i herbatę. Spuścili dodatkowe liny i dalsza wspinaczka z górną asekuracją poszła szybko. Jednak dopiero w późnych godzinach wieczornych dotarliśmy do szczytu, a prawie o północy zeszliśmy do schroniska. Przemarznięci, zmoczeni, głodni i zmęczeni.

W starym schronisku wszystkie prycze były zajęte. Jacek położył się na stole w kuchni i od razu zasnął. Nawet się nie poruszył, gdy go przykryłam kurtką. Spałam bardzo źle, bolały opuchnięte i pokrwawione ręce. Rano matka Jacka, pani Halina Kossobudzka, opatrzyła je i zabandażowała.

Byłam na parę dni zwolniona od wspinania się. Odpoczywałam i przeżywałam Wariant R od nowa. Zapamiętałam tę wspinaczkę jako jedną z najwspanialszych. Oceniając ją po latach, wiem, że była to droga wymagająca większego doświadczenia i sprawniejszego posługiwania się sprzętem, niż wówczas to potrafiłam.

Warszawski Pałac Kultury i Nauki, we mgle i deszczu zacierającym kontury, kryjącym architektoniczne ozdóbki, przypominał mi monolit wschodniej ściany Mnicha – obraz szarych, zamglonych płyt, przeciętych czerwoną liną, niknącą gdzieś w dole…

Po sezonie letnim 1962 pojechałam w Tatry zimą. Pierwsze kroki to podejście na grań Miedzianego nad Morskim Okiem. Tam nastąpiły przymiarki do poruszania się w rakach, z czekanem. Nie najgorzej wypadły podejścia i zjazdy.

Z Maćkiem Pogorzelskim, zwanym „Bąblem”, kolegą z wrocławskiego klubu, wybraliśmy się więc na Halę Gąsienicową. On miał za sobą pół sezonu zimowego więcej niż ja, ale obydwoje sądziliśmy, że na wszystko nas stać. Przynajmniej na wspinaczkach w rejonie Hali Gąsienicowej. Postanowiliśmy „zrobić” filar Staszla, czyli żebro skalne wyprowadzające na Skraj-

ny Granat. Droga o stopniu trudności V, dosyć długa, trudności nagromadzone w dolnej partii i w połowie wysokości.

W ścianę wchodzimy wcześnie rano, ze wszystkimi akcesoriami, jak trzeba. Szybko okazuje się jednak, że nie umiemy wspinać się po ośnieżonej skale. Pracowicie czyścimy każdy stopień i chwyt, szukamy punktów do wbicia haków. Dochodzimy do miejsca dość trudnego – z nyżą w przewieszonej skale. Ze swego stanowiska nie widzę Bąbla, słyszę tylko posapywanie, szurgot i bicie haków. Nagle krzyk:

– Wanda, uważaj!

Szarpnięcie liny – brzęk i cisza. Bąbel wylądował chyba na platformie pod nyżą. Raz jeszcze próbuje sforsować przewieszkę – skutek jest ten sam. Doszłam do niego i zaczęliśmy rozważać: co robić? Nie próbowałam powtarzać jego drogi – poszłam w lewo, spodziewając się, że znajdę obejście ostrza filara. Wypatrzyliśmy ściankę, która wydawała się łatwiejsza niż kant. Ściankę tę stanowiły strome płyty pozbawione dobrych chwytów i stopni, pokryte cienką warstwą śniegu, z przymarzniętymi kępkami trawy.

Późnym popołudniem, tuż przed zmierzchem, wyszliśmy na wielki zachód, znajdujący się zaledwie na wysokości jednej czwartej drogi. Pozostawało jedno – wycofanie się ze ściany tym właśnie zachodem do Koziej Dolinki. Do Czarnego Stawu Gąsienicowego dotarliśmy dopiero wieczorem. Mieliśmy ze sobą sizalową linę. Zmoczona w ciągu dnia, przy wieczornym mrozie zesztywniała. To samo stało się z taśmami przytrzymującymi raki. Nie mieliśmy latarek, toteż rozplątanie brył lodu, jakimi stały się lina i taśmy, było niemożliwe. Związani liną, w rakach, powlekliśmy się ścieżką turystyczną w stronę schroniska z uczuciem zawodu, że nie okazaliśmy się tacy wspaniali.

Ale zimą w Tatrach trudno być wspaniałym. Zimowe wspinaczki to mozolne pokonywanie wysokości w mrozie, wietrze, w śniegu, który przykrywa chwyty i stopnie skalne. Zimowe Tatry są niekiedy trudniejsze niż Alpy. W Tatrach wspinałam się zimą wielokrotnie. Niektóre wspinaczki przebiegały gładko, mimo że były trudne. W pamięci pozostały jednak nie te, które były przyjemne, ale te, które dostarczyły największych emocji i były źródłem mocnych wrażeń.

Kilka lat później znów jestem w Tatrach zimą, w marcu.

W schronisku nad Morskim Okiem tłok, ale nikt nie wyrusza na wspinaczki – pogoda fatalna, bardzo mocny mróz, silny wiatr, od którego schro-

nisko trzeszczy i pojękuje. Na ten sezon byłam umówiona z Jasiem Franczukiem, jednym z moich najbliższych wrocławskich przyjaciół.

Siedzieliśmy już tydzień w schronisku, nie wysuwając nosa na zewnątrz. Nic więc dziwnego, że humory mieliśmy coraz gorsze.

A pogoda nie poprawiała się. Jaś podjął decyzję: mimo wszystko wychodzimy na jedną z dróg na wschodniej ścianie Mnicha, wariant Fereńskiego i Uchmańskiego.

Idziemy większą grupą, torując drogę w kopnym śniegu do Dolinki za Mnichem, by umocować linę ułatwiającą trawers na półki, od których zaczyna się nasza droga. Zostawiamy ośmiometrową linę i wracamy do schroniska, sponiewierani przez wiatr.

Kilka dni później odmiana. Noc jest spokojna, księżycowa. Idziemy do Dolinki za Mnichem urzeczeni spokojem i pięknem gór. Pierwsze promienie słońca zastają nas na półkach. Słońce! Radość nas rozpiera – nareszcie możemy się wspinać! Jaś idzie pierwszy, był tu pół roku temu.

– Po co ja, głupi, wybiłem latem wszystkie haki? – dolatuje z góry retoryczne pytanie.

Śniegu strącanego przy czyszczeniu szczelin leci coraz więcej, przypuszczam więc, że Jasiowi jest już mniej radośnie. Mnie dalej cieszy wspinaczka, to przecież pierwsza droga po jesiennym wypadku w Skałkach. Nie czuję się jeszcze zbyt pewnie, toteż pozwalam Jasiowi na prowadzenie. Pod koniec wyciągu zaczęło dmuchać. Ostatnia Jasiowa uwaga, jaką usłyszałam, to było stwierdzenie, że trzy cienkie haki nie zastąpią jednego grubego. Potem słyszałam już tylko wiatr. Było coraz zimniej. Skończyły się maleńkie przyjemności drugiej na linie. Śnieg strącany przez Jasia sypał się nieustannie na moją głowę. Znieruchomiałam w pełnym rezygnacji oczekiwaniu.

Po południu Cubryna huczała jak morze podczas sztormu. Huk wiatru ogłuszał, a zboczem filara sypał się nieustannie pył śnieżny. Ostatni odcinek drogi, pokrywający się z drogą Paszuchy i Łapińskiego, pokonywaliśmy z nadzieją, że niebawem go ukończymy. Masy śniegu w ścianie i pogoda sprawiły jednak, że do zacięcia wyprowadzającego na Taras Mnichowy doszliśmy dopiero przy świetle czołówek. Trzy metry poniżej Tarasu zatrzymaliśmy się. Padający śnieg uniemożliwiał wyjście z zacięcia. Być tak blisko końca drogi i ugrzęznąć!

Po dokładnym rozejrzeniu się wypatrzyliśmy wyjście ponad Taras – szeroką szczelinę za odpękniętym blokiem, na lewo od zacięcia. Niestety, wyczerpane baterie w czołówkach zmusiły nas do niezaplanowanego biwaku. Nie okazał się ani ciężki, ani długi. W zacięciu było zacisznie i prawie ciepło. Dzień zaczął się około piątej. Zlikwidowaliśmy biwak i już o siódmej byliśmy na Tarasie. Nie przeszkadzał nam wciąż padający śnieg, mimo że utrudniał widoczność.

Schodziliśmy. W połowie drogi nad staw spotkaliśmy kolegów, którzy wyszli nam naprzeciw z gorącą herbatą.

W kilkanaście dni później wschodnią ścianę Mnicha słońce uwolniło od śniegu, ale już nie dla nas. Rozprawiliśmy się z nią, kiedy była groźna i trudna. Zahartowani tymi zmaganiami, czuliśmy się gotowi zmierzyć z najtrudniejszymi drogami Tatr. Kiedy jednak po kilku dniach pogoda pogorszyła się, trzeba było zrezygnować z dalszych wspinaczek. Wracaliśmy do domu, do rodzin, do pracy czy nauki, trochę zawiedzeni, z niedosytem gór. Ten niedosyt rodził tęsknotę, która kazała nam wracać w góry przy każdej okazji. Było tak, jak we fraszce Jana Sztaudyngera, jak na niego wyjątkowo lirycznej:

Skądkolwiek wieje wiatr;
zawsze ma zapach Tatr.

CZEREŚNIE W TACONNAZ

Na lato 1964 roku zaplanowałam wyjazd w Alpy chcąc zdobyć doświadczenie na lodowcach i dużych drogach. Nie znałam ani języka niemieckiego, ani ludzi. Dostałam zaproszenie, ale zapraszający, wyświadczając mi tę uprzejmość, nie chcieli z tego tytułu mieć jakichkolwiek zobowiązań ani kłopotów. Miałam sobie radzić sama.

Zamierzałam dołączyć do grupy polskich alpinistów biorących udział w szkółce alpejskiej, zorganizowanej przez Österreichischer Alpen Verein w Tyrolu. Znajdowali się tam już moi koledzy: Kazek Głazek, Krzysztof Zdzitowiecki i Józef Nyka.

W Alpy wyjechałam tak jak w Tatry. Z olbrzymim plecakiem ważącym ponad 40 kilogramów, wyładowanym sprzętem wspinaczkowym i biwakowym oraz zapasem jedzenia na cały pobyt.

Nie byłam pierwszą z polskich taterniczek w Alpach.

W latach pięćdziesiątych Helena Hajdukiewiczowa zdobyła ponad 20 szczytów czterotysięcznych. Przed nią wyjeżdżały w Alpy również Bogna Skoczylasowa-Wiśniewska, Wanda Stefańska i Zofia Strumiłło. Brały one udział w wyjazdach środowiskowych różnych kół Klubu Wysokogórskiego.

Początek lat sześćdziesiątych to rozkwit taternictwa kobiecego. Zespoły kobiece dokonują przejść sportowych, przede wszystkim dróg wymagających techniki sztucznych ułatwień.

W I960 do czołówki dochodzi zdecydowanie Halina Krüger-Syrokomska, uczestnicząca w tym sezonie we wszystkich ważniejszych kobiecych przejściach. Między innymi z Danutą Topczewską przechodzi po raz pierwszy – od śmierci sióstr Skotnicówien w 1929 roku – południową ścianę Zamarłej Turni.

W tym okresie znaczących przejść dokonują również Małgorzata Surdel Janina Zygadlewicz Jolanta Jarecka i Aleksandra Pawełczyk. Nie wspinały

się one w stałych zespołach, brały udział zarówno w przejściach męskich, jak i kobiecych.

Mimo że kobiece zespoły przechodzą w Tatrach trudne drogi, nie są wysyłane w Alpy przez Klub Wysokogórski. Taterniczki próbują zatem wyjeżdżać same. Nie mając możliwości rozwoju poza Tatrami, taternictwo kobiece – tak obiecująco startujące – powoli podupada. Nie zmienia sytuacji wytypowanie Janiny Zygadlewicz do udziału w wyjeździe centralnym, zresztą po raz pierwszy. Po niej wyjechała w Alpy Austriackie Krystyna Lipczyńska, wysuwająca się na czoło taterniczek lat sześćdziesiątych.

W lipcu 1963 roku Krystyna wraz z Jolantą Jarecką przechodzą drogę uznawaną wówczas za najtrudniejszą w Tatrach – Filar Kazalnicy. Ich przejście jest tym cenniejsze, iż dokonują go zaledwie w rok po pierwszym przejściu, w podobnym czasie i stylu, co zespół męski.

Wśród grona znakomitych taterniczek Krystyna Lipczyńska była kimś szczególnie wybijającym się. Chyba jako jedna z pierwszych taternictwo i alpinizm traktowała po sportowemu. Trening uznawała za podstawę wspinaczki, warunkującą osiąganie sukcesów. Wyjazdów w góry nie traktowała urlopowo-wakacyjnie, kiedy to (dla rozkręcenia się) przechodzi się kilka łatwiejszych dróg, a dopiero potem robi się jedną lub dwie drogi trudne. Krystyna trenowała przez cały rok, wykonując ćwiczenia kondycyjne i ogólnosprawnościowe. Technikę wspinaczki doskonaliła, wyjeżdżając jak najczęściej w Skałki. Nie przejmowała się panującym wówczas poglądem, że należy być dobrym, ale z natury. A jeżeli już dzięki treningowi, to przynajmniej nie należało się do tego przyznawać.

Pewnego dnia otrzymałam list z Katowic, a w nim propozycję wspólnego wspinania się – właśnie od Krystyny. Wynikiem tego listu było spotkanie w Skałkach podkrakowskich, po którym doszłyśmy do wniosku, że możemy spróbować. Zamierzałyśmy letni sezon 1964 roku spędzić w Tatrach.

Do wyjazdu jednak nie doszło. Kończyłam wówczas studia, byłam już po absolutorium, a czekała mnie jeszcze praktyka dyplomowa w Związku Radzieckim. Po praktyce zamierzałam wyjechać w Alpy. Między tymi wyjazdami miały się jeszcze zmieścić Tatry.

Nie dojechałam na czas do Polski. Krystyna wyjechała w Tatry sama. Wróciłam tuż przed terminem wyjazdu w Alpy i wówczas dowiedziałam się o jej śmierci. Zginęła z zimna i wyczerpania na trudnej drodze Studnicki na Galerii Gankowej wraz ze swym partnerem, Henrykiem Horakiem.

Po jej śmierci nie mogłam się pozbierać. Przygnębiona, silnie przeziębiona, gorączkująca i z bolącym gardłem, odkładałam wyjazd z dnia na dzień. Po kilku dniach wyjechałam jednak z Wrocławia. W drodze z Wiednia do Innsbrucku powróciła gorączka, na domiar wszystkiego zaczęła puchnąć ręka. Pod napiętą skórą ramienia i przedramienia nabrzmiewały ropą czyraki. Co robić? Wracać? Może gdzieś w spokoju przechorować?

Z kłopotu wybawiła mnie siostra zakonna, która jechała ze mną w przedziale. Na dworcu w Innsbrucku zaprowadziła mnie do Bahnhof-Mission, a później do pensjonatu „Für Frauen und Fräulein", prowadzonego przez siostry zakonne. Po skontaktowaniu się z panią Lhottą, prowadzącą młodzieżową sekcję Alpen Verein, skierowały mnie na leczenie do ambulatorium kliniki uniwersyteckiej. Tam poznałam doktora Helmuta Scharfettera, chirurga i alpinistę, prowadzącego szkolenie medyczne dla ratowników górskich Tyrolu, który zaprosił mnie do uczestnictwa w tym kursie. Ale wcześniej, po tygodniu pachnącym szpitalem i ziółkami parzonymi przez siostry, ruszyłam na trochę sama w góry.

Droga była uciążliwa. Rano pociągiem do Jennbach, następnie wąskotorówką do Mayrhoffen, autobusem do Ginzlin i mikrobusem do Zillertaler.

Pierwsze metry podejścia – przestaję istnieć ja, jest tylko mój ogromny, ciężki plecak z wysuwającym się spod klapy kaskiem.

O zmroku stanęłam przed Berlinerhütte.

Schronisko niemieckiej sekcji Alpen Verein jest bardzo duże i z zewnątrz wręcz brzydkie. Długo nie wchodziłam do środka, spoglądałam na odległą śnieżną grań, na jęzor lodowca, wsłuchując się w szum wiatru. Za chwilę nie będę sama, a jutro z bliska zobaczę lodowiec. Sprawdzę, jak trzymają na nim moje raki, zwiążę się być może z kimś liną, by pójść dalej, wyżej…

Pomyślałam o Krystynie i ogarnął mnie żal, jaki przychodzi, gdy dotrze świadomość nieodwracalności śmierci. I jeszcze irracjonalne poczucie winy, że nie zdążyło się wysłać listu, spotkać się… Później nie możemy sobie tego darować, opowiadamy – chcącym słuchać lub nie – że gdybyśmy wtedy…

Po tej samotnej wyprawie wzięłam udział w kursie dla ratowników górskich. Było to bardzo cenne doświadczenie. Poznałam nie tylko zasady poruszania się po lodowcu, ale również zasady prowadzenia akcji ratunkowej w warunkach alpejskich, tzw. improwizacji ratownictwa. Polega ona na umiejętności udzielenia sobie wzajemnie pomocy przez zespoły alpinistów,

używających normalnego sprzętu wspinaczkowego. Umiejętności nabyte na kursie przydały mi się po paru latach w Polsce, kiedy prowadziłam zajęcia z autoratownictwa dla taterników i grotołazów.

Kurs trwał dwa tygodnie, a po jego zakończeniu wspinałam się z uczestnikami kursu. Przeszłam znajdującą się w grupie Zillertaler Alpen tysiącmetrową, północno-zachodnią kaskadową, lodową ścianę Hochferner (3463 m), a w trzy dni później – nadzwyczaj trudną (V+) pięćsetmetrową północną ścianę Fusstein (3381 m) w rejonie Geraer Hütte.

Rok później, we wrześniu, znów jestem w Alpach Austriackich. Tym razem wspinam się ze Zdzisławem Kirkin-Dziędzielewiczem wgrupie Wetterstein słynnej z najtrudniejszych wspinaczek skalnych w Austrii – do VI+. Zdzisław, starszy sporo ode mnie, „ojcował" mi podczas tych wspinaczek. Zachowywał spokój i umiar, działając powolnie, z rozwagą. Zetknięcie się naszych zupełnie odmiennych charakterów nie zawsze przebiegało łagodnie, mimo to zaprzyjaźniliśmy się bardzo.

Z przejść tamtego okresu najbardziej utkwiła mi w pamięci trzystumetrowa droga południową ścianą Scharnitzspitze (2464 m) zacięciem Hannemanna (V+). Weszliśmy w nią 27 września przy bardzo silnym wietrze, który w czasie wspinaczki zamienił się w gwałtowny *fohn*. Opóźniło to wejście i szczyt osiągnęliśmy dopiero o zmroku. Już w ciemnościach zjeżdżaliśmy na linach ze wschodniej przełęczy Wang, na piargi pod ścianą. W nocy rozszalała się śnieżyca, kończąc letni sezon wspinaczkowy w tym rejonie Alp.

Mimo trudnych warunków miałam dużą satysfakcję z przejścia tej drogi, gdyż cały czas prowadziłam. Poza tym dała mi ona przedsmak Alp już poważniejszych, które zaczęły się w sezonie następnym – w 1966 roku.

Latem wyruszyłam z Elżbietą Miszczak-Piekarczyk w Alpy Francuskie, do Chamonix. Elżbieta była nie tylko koleżanką klubową, ale mieszkała na tej ulicy co ja. Nasze wspinanie się chciałyśmy połączyć z działalnością obozu Klubu Wysokogórskiego. Sam wyjazd był całkowicie prywatny.

Kilka kilometrów za Chamonix, na łączce w Taconnaz, rozstawili swoje namioty polscy alpiniści. Kierownikiem obozu był Jerzy Warteresiewicz, a uczestnikami: Krzysztof Cielecki, Jan Junger, Piotr Kintopf, Maciej Pogorzelski, Maciej Popko, Wojciech Wróż i Andrzej Zawada.

Łączka w Taconnaz była dzierżawiona przez GUMS (Groupe Universitaire de Montagne et de Ski), akademicką organizację alpinistyczną, z którą

Klub Wysokogórski utrzymywał kontakty. Na zaproszenie tej organizacji odbywały się wyjazdy centralne najlepszych polskich alpinistów.

Francuscy alpiniści mieszkali w drewnianym *chalet*, trochę podobnym do góralskich chałup. Nie był zbyt komfortowy – bez światła elektrycznego, wodę doprowadzano gumowym przewodem z pobliskiego strumienia. Mimo to został niezwykle starannie zagospodarowany. Zwłaszcza kuchnia budziła nasz podziw i zazdrość. Stoły wprawdzie stały na zewnątrz, ale były zadaszone. Układy z Francuzami były bardzo miłe i przyjazne, chociaż czasami nasze bałaganiarstwo dawało im się we znaki.

Pierwszym naszym celem była wznosząca się nad miastem turnia Aiguille TM, znajdująca się w grani odchodzącej od szczytu Grepon. Wybraliśmy się tam w czwórkę – Ela, ja, Maciek Popko – doświadczony taternik z Warszawy oraz Maciek Pogorzelski – Bąbel. Ten sam, z którym próbowałam stawiać pierwsze kroki zimą w Tatrach. Tu, w Alpach, zwróciłam uwagę na jego pewność siebie, nabytą po kilku latach wspinania. Cieszył się jak dziecko z pobytu w Alpach, energia wręcz go roznosiła. Patrzyłam pełna podziwu na swobodę jego ruchów, a jednocześnie byłam zaniepokojona.

Następna moja wspinaczka, tym razem z Krzysztofem Cieleckim, to Mont Blanc (4807 m). Ela chciała odpocząć, ja natomiast wolałam oswoić się z wysokością. Od łączki w Taconnaz podchodziliśmy wprost do schroniska Grands Mulets (3501 m), na północnych zboczach Mont Blanc. Nocujemy i następnego dnia ruszamy do szczytu. W nocy spadł śnieg i musimy odnajdywać drogę. Krzysztof, mój mistrz i wzór alpinisty, zmierzając w stronę przełęczy między Dôme du Goûter a Mont Blanc, świetnie wybierał właściwą drogę wśród szczelin lodowca i seraków.

W ciągu jednego dnia pokonujemy 1800 m różnicy wysokości. Jesteśmy na grani wyprowadzającej w stronę szczytu Mont Blanc. Do znajdującego się po drodze schroniska Vallot (4362 m) zajrzeliśmy tylko.

Zaczęłam odczuwać wysokość. Dotąd bagatelizowałam trudności Mont Blanc. Z opowiadań wiedziałam, że wybrana przez nas droga nie przedstawia szczególnych trudności. Miałam już za sobą trudne drogi zimowe w Tatrach, między innymi Depresję Niżnych Rysów, czułam się więc dość pewnie w warunkach wspinaczki zimowej i sądziłam, że na Mont Blanc po prostu „wbiegniemy”. Nie doceniałam znacznej różnicy wysokości, którą pokonaliśmy jednego dnia. Na domiar złego zerwał się silny, przewiewający

na wskroś wiatr. Jakże cenna okazała się płachta biwakowa! Osłonięta nią przebrałam się w ciepłe rzeczy, odtajałam, wiatr stał się mniej dokuczliwy.

Osiągamy szczyt. Przepełnia nas radość, pomimo że tylu było przed nami wspinaczy na wierzchołku Mont Blanc, że jesteśmy 180 lat po pierwszych zdobywcach. Nasze wejście, tysięczne któreś z kolei, nie jest przez to dla nas mniej radosne. Znajdujemy się na najwyższym szczycie Europy, a zza chmur pojawia się chwilami słońce.

Po kilku dniach znów ruszyłam w góry, tym razem z Elą. Nie miałyśmy większych ambicji wspinaczkowych – chciałyśmy pójść na lodowce Vallée Blanche. Na wszelki wypadek zabrałyśmy linę, raki, trochę karabinków i śrub lodowych, a także sprzęt biwakowy i kuchenny. A że miała to być wspinaczka rekreacyjna, dodatkowo zapakowałyśmy do plecaków przybory toaletowe, opalacze, komplet map i przewodników, a nawet duży ręcznik frotté. Zamierzałyśmy wjechać kolejką na północny wierzchołek Aiguille du Midi, przenosząc się od razu z poziomu 1037 m (Chamonix) na 3842 m.

Kolejka na Aiguille du Midi ma największą różnicę wysokości między przęsłami (ok. 1700 m bez podpory). Trzeba wspomnieć, że ówczesny dyrektor ekonomiczny towarzystwa eksploatującego kolejkę, pan Antoine Pocachard, który w czasie II wojny światowej przebywał w obozie jenieckim w Wielkopolsce, dużą sympatią darzył Polaków. Toteż – podobnie jak i innym Polakom wspinającym się w rejonie Chamonix – przyznał nam pięćdziesięcioprocentową zniżkę na przejazdy kolejką.

Na grani Aiguille du Midi, nieco powyżej Col du Midi, znajduje się laboratorium badające promieniowanie kosmiczne. Nie ma ono pomieszczeń dla alpinistów i turystów. Jeśli więc noc zaskoczy tych, którzy nie zdążą na ostatnią kolejkę, to albo biwakują na podłodze w korytarzach stacji kolejki, albo próbują przenocować w „Kosmiku”. Nam się udało.

Wieczorem przyszło nam do głowy, by zamiast opalać się następnego dnia na lodowcu, przejść grań trzech szczytów Mont Blanc: Mont Blanc du Tacul (4248 m), Mont Maudit (4465 m) i Mont Blanc (4807 m). W nocy czułam duszności, nie wiadomo czym spowodowane – wysokością czy zmianą ciśnienia? Wzmagający się wiatr trzaskał okiennicami, nie pozwalając zasnąć.

Wstałyśmy o drugiej w nocy Przy pakowaniu żałowałam, że zabrałyśmy tak wiele niepotrzebnych rzeczy Najbardziej irytujący był ręcznik. Po posił-

ku, będącym czymś pośrednim między późną kolacją a wczesnym śniadaniem, wyruszyłyśmy w stronę zboczy Mont Blanc du Tacul.

W 1957 roku na zboczach tego szczytu lawina seraków zagarnęła dwóch polskich alpinistów – Wawrzyńca Żuławskiego i Stanisława Biela. Uratował się Biel, Żuławski został w szczelinie lodowej przysypany lawiną. Brali oni wcześniej udział w akcji ratowniczej, poszukując Stanisława Grońskiego, który wraz z dwoma partnerami zamierzał trawersować grań Mont Blanc. Ich przedłużająca się nieobecność spowodowała podjęcie akcji ratunkowej, żmudnej i bardzo niebezpiecznej z powodu gwałtownego załamania pogody.

Pamiętałyśmy o tej tragedii, szłyśmy więc pełne obaw.

W ciemnościach, nie dostrzegając barier ani seraków, szłyśmy zaplanowanym szlakiem, wypatrując drogi w ścianie. Zazwyczaj szlak ten jest wydeptany przez licznych alpinistów, tym razem z trudem odnajdywałyśmy drogę. Śnieg niesiony wiatrem przysypał ślady poprzedników, natomiast naszymi śladami szło już kilka zespołów, które wyszły po nas. Widziałam światła ich latarek.

Chcąc ominąć bardzo szeroką szczelinę brzeżną, przecinającą ścianę w jednej trzeciej wysokości, należało kierować się w prawo. Wybrany trochę na ślepo kierunek okazał się właściwy – szczelinę przeszłyśmy bez kłopotów. Wkrótce dogoniły nas inne zespoły, ale w niedługim czasie pogubiliśmy się w dużej ścianie.

Świt zastał nas tuż pod wierzchołkiem Mont Blanc du Tacul. Do tej pory tempo miałyśmy dobre. Zeszłyśmy na przełęcz między Mont Blanc du Tacul a Mont Maudit. Teraz przed nami wejście w ścianę poprzecinaną serakami, szczelinami, ściankami lodowymi, błyszczącymi nieprzykrytym przez śnieg lodem. Każdy z zespołów szukał przejścia na własną rękę. Było w tym trochę zabawy, ale niepozbawionej rywalizacji. Kto z nas przejdzie, a kto utknie w trudnym miejscu? Cieszyłam się, kiedy udawało nam się wyszukać lepszy wariant przejścia, zostawić innych w tyle.

Na wierzchołku Mont Maudit spotkały się wszystkie zespoły i razem rozpoczęły zejście. Ściana zwrócona w stronę Mont Blanc pozbawiona jest prawie śniegu, skuta twardym lodem. Schodzimy zwrócone twarzą do ściany, posługując się czekanem, w trudniejszych miejscach wkręcając śruby lodowe. Ostatni odcinek to zjazd ze śruby. Wytrzymuje ona ciężar człowie-

ka, lecz nie na długo. Pod obciążeniem lód wytapia się i przy nieostrożnym ruchu śruba może wypaść.

Na przełęczy Brenva jestem już zmęczona. Mont Blanc wydaje się tak bliski! Mija napięcie mobilizujące siły, koncentrujące uwagę. Ale ta bliskość okazuje się złudna. Szczyt „położył" się i nie widać, jaka naprawdę dzieli od niego odległość. A czeka nas jeszcze 500 metrów pionowego podejścia.

Lodowaty wiatr przewiewa na wskroś, ścinając mrozem twarz i ręce. Zjeść cokolwiek i odpocząć! Idąca za mną Ela jest chyba w lepszej kondycji. Nasi przypadkowi towarzysze z zespołu schodzącego z Mont Maudit namawiają na pójście dalej. Z żalem pożegnałam wizję gorącej zupy. Ruszyliśmy. Trudności tego odcinka były właściwie niewielkie. Żmudnie, krok za krokiem, pokonujemy kolejne metry podejścia śnieżnym stokiem, przewianym przez wiatr, który wydobył spod śniegu szklisty, zielonkawoniebieski lód. Idziemy zakosami, stopniowo nabierając wysokości. Ostatnie metry podejścia na Mont Blanc będę pamiętać chyba do końca życia.

Szłam siłą woli. Na różne sposoby mobilizowałam siły: licząc kroki i obiecując sobie, że po dojściu do tego wystającego głazu już na pewno odpoczniemy. Dochodziliśmy do upatrzonego na odpoczynek miejsca i… szliśmy dalej. Zmieniając rytm podchodzenia – drobne kroki, ostrzejsze, bardziej strome trawersy. Potem na odwrót. Czas wlókł się jak ja. Każdy następny krok był trudniejszy od poprzedniego. Dlaczego tak źle mi się podchodzi? Przecież na ten sam szczyt kilka dni wcześniej wchodziłam nie tak zmordowana. Czułam, że płacę jakieś frycowe, nie bardzo wiedząc za co.

Teraz już wiem, że taki był skutek niejedzenia i niepicia przy dużym wysiłku (ponad 1600 metrów podejść, cały czas na wysokości około 4000 m). A przecież kilka cukierków radykalnie zmieniłoby moje samopoczucie, łyk płynu zneutralizowałby skutki odwodnienia organizmu.

Po 11 godzinach, około czternastej, stanęłyśmy na szczycie. Przede wszystkim odczułam ulgę. To już koniec! Miejsca jest dużo. Na płaskim wierzchołku może stać kilkanaście osób, bez obawy osunięcia się. Myślałam wciąż o jednym – usiąść, odpocząć, nareszcie coś zjeść!

Pierwsze kobiety na szczycie Mont Blanc – Marie Paradis (1808 r.) oraz Henriette d'Angeville (1838 r.) – tak wspominały swoją drogę na szczyt.

Marie Paradis, mieszkanka Chamonix:

Na Grand Plateau nie miałam sił iść dalej, byłam chora i kładłam się na śniegu. Dyszałam jak kurczę, któremu jest zbyt gorąco. Wzięli mnie z obu stron pod ramiona, ciągnęli, ale przy Rochers Rouges czułam, że mowy nie ma o dalszej wspinaczce. Powiedziałam:

– Rzućcie mnie do szczeliny i idźcie, dokąd chcecie!

– Musisz iść z nami do końca – odpowiedzieli mi przewodnicy. I zabrali mnie, ciągnęli, popychali, nieśli, wreszcie dotarliśmy na szczyt… Weszłam, byłam bez tchu, ledwo żywa, wszystko widziałam na biało, to znów na czarno. A potem zeszłam.

Księżniczka Henriette d'Angeville odmienne snuje wspomnienia:

Oto strój, który dałam sobie zrobić ad hoc, począwszy od koszuli do płaszcza, od stóp do głów: kalesony i koszula z angielskiej flaneli, z długimi obcisłymi rękawami, dwie męskie koszule nakładane na wierzch, chusta na szyję, para szerokich majtek ze stanikiem u góry i getrami wchodzącymi do butów. Spodnie ze szkockiej tkaniny podbite flanelą i szczelnie zapinane; szeroka bluza z tej samej tkaniny i z taką samą podszewką…, boa, peleryna, czepek z tej samej tkaniny obramowany czarnym suknem, z podwójnym woalem przyszytym na brzegu, u dołu woalu wszyta tasiemka, by można go ściągnąć i zawiązać wokół szyi…, maska z bardzo lekkiego czarnego weluru z niebieskimi, mocno przyćmionymi okularami na miejscu oczu.

Ekwipunek „narzeczonej Mont Blanc" jak później ją nazwano, zawierał jeszcze:

…ogromny wachlarz, którym będą mnie wachlować, malutki wachlarzyk, którym będę się sama wachlowała, wspaniała lorneta, by mieć przyjemność lornetowania tych, którzy mnie lornetują…

31 sierpnia 1838 roku Henriette d'Angeville – po konsultacji z lekarzem i zredagowaniu testamentu – udała się z Genewy do Chamonix, a 4 września wraz z przewodnikami wyruszyła ze schroniska Grands Mulets. Na Grand Plateau na parę chwil straciła siły, ale kiedy wróciła do siebie, powiedziała do przewodników:

– Jeżeli umrę, nim dotrę na szczyt, zanieście tam moje ciało i pozostawcie.

Jednak na szczyt dotarła o własnych siłach.

– Teraz, kiedy pani zobaczyła to wszystko, co można było stąd zobaczyć, trzeba, by wzniosła się pani jeszcze wyżej niż Mont Blanc - powiedzieli

przewodnicy i dwaj z nich spletli z rąk krzesełko, poprosili, by usiadła, potem podnieśli ją, jak tylko mogli najwyżej…

Oprócz nas na szczycie nie ma już nikogo. Główna fala dociera tu we wczesnych godzinach rannych. Są to turyści, którzy nocą wychodzą ze schroniska pod Aiguille du Goûter. Kończący zaś wspinaczkę alpiniści pojawiają się tu dopiero po południu i wieczorem.

Schodzimy do schroniska Vallot. Leży ono na wysokości 4362 m i jest schronieniem tych wszystkich, którzy ulegli chorobie wysokościowej. Nieraz można tam oglądać przykre widoki – pokotem leżące „tobołki" ludzkie, niektóre nawet w rakach, których nie mają siły zdjąć, gdyż każdy ruch to następny atak mdłości. Nas też dopadło zmęczenie i coraz wyraźniej odczuwana wysokość. Wprawdzie nie padłam jak „tłumok", ale miałam na to szczerą ochotę. Cały czas coś robiłam, byle tylko nie poddać się – wychodziłam po śnieg, gotowałam jakieś jedzenie, które z trudnością przełykałam.

Po noclegu zeszłyśmy do Grands Mulets, skąd prowadziła najkrótsza droga do obozowiska na łączce w Taconnaz. A tam był już dom. Miałam trochę tremy przed samodzielnym zejściem lodowcem, pokrywającym północne zbocza Mont Blanc, mimo że szłam tamtędy zaledwie kilka dni wcześniej z Krzysztofem. Obawiałam się szczelin lodowca, seraków. Ale 3000 metrów zejścia obyło się bez przygód.

Z pobytu w Chamonix najmilej wspominam powroty do obozu. Radości na szczytach były duże, ale nie dawały się porównać z radością powrotu. Powrotu, niestety, jeszcze pod górkę, od szosy w Taconnaz bowiem do łączki z namiotami trzeba było podejść jeszcze kilkaset metrów. Ale wejście na łąkę, spokojną, ukwieconą, pachnącą ziołami, rozgrzaną słońcem, potem wypicie kubka wody z sokiem, ugotowanie herbaty, odpoczynek, rozmowy z bliskimi ludźmi, gratulacje składane sobie nawzajem po przejściach – to były najpiękniejsze chwile w Chamonix.

Ela po Mont Blanc czuła bóle w mięśniach. Była dobrą taterniczką – wytrzymałą, niewrażliwą na głód, zmęczenie czy zimno. Jednocześnie jak gdyby trochę usuwała się w cień, czy to z nieśmiałości, czy ze skromności. Chciała zostawić mi wolną drogę w planowaniu przejść i wyborze partnerów. Wyjechała do Lyonu i Paryża, by zwiedzić Francję, a ja zostałam w Taconnaz.

Ale łączka w Taconnaz, mimo kwiatów, ziół i słońca, posmutniała. 10 sierpnia na Grani Rochefort zginął Maciek Pogorzelski, Bąbel. Szedł z Maciejem Popko i dwoma Jugosłowianami, spotkanymi pod Dent du Géant. Cała czwórka szła niezwiązana. Wiał im w twarz silny wiatr, kaptury i czapki mieli zsunięte głęboko na oczy. Każdy koncentrował się na swoim przejściu, nie poświęcając zbyt wiele uwagi partnerom. Pierwszy szedł Maciej Popko, za nim Bąbel, następnie Jugosłowianie. Po przejściu kilkunastu metrów Popko dotarł do skupiska skałek i zobaczył, że za nim podążają tylko Jugosłowianie. Nikt nie spostrzegł, kiedy Bąbel poleciał. Jego ciało znaleziono kilkaset metrów niżej, na lodowcu Mont Mallet. Raki były zupełnie stępione, o króciutkich zębach. Nie wiadomo, czy upadek spowodował ich starcie, czy też już wcześniej były tępe i spowodowały upadek.

W Taconnaz każde miejsce przypominało Bąbla. Widzieliśmy go na czereśniowym drzewie, kiedy zrywał ogromne, soczyste owoce, krzątającego się przy posiłkach, planującego nowe przejścia. Pełnego życia i nieposkromionego humoru…

Przez kilka dni, mimo wspaniałej pogody, nikt nie wychodził w góry. Pobyt w Chamonix zbliżał się do końca. Niektórzy koledzy wrócili do kraju, ja zostałam jeszcze na parę dni. Z Krzysztofem Cieleckim zdecydowaliśmy się podjąć próbę II przejścia bardzo trudnej drogi – Pilier Rouge du Brouillard, czyli Czerwony Filar Mgieł. Wznosi się on nad lodowcem Brouillard, spływającym z południowych zboczy Mont Blanc. Po raz pierwszy został zdobyty przez Waltera Bonattiego w 1958 roku. Czerwony Filar Mgieł fascynował nas nie tylko trudnościami, ale i pięknie brzmiącą nazwą.

Przed wyruszeniem w góry na drzwiach domku zostawiliśmy kartkę: *Idziemy na „Bonattiego” na Filier Rouge. Wracamy najpóźniej za tydzień. Wanda i Krzysztof.*

Mieliśmy zamiar wjechać kolejką na Aiguille du Midi, a następnie przenocować w maleńkim *bivacco* na Col de la Fourche, leżącym na grani odchodzącej od Mont Maudit. Na górnym piętrze Vallée Blanche Krzysztof poczuł się źle, zaczął wymiotować. Prawdopodobnie zatruł się konserwą, zjedzoną tuż przed wyjściem. Szliśmy wolniej, zwłaszcza że podejście do schroniska wymagało już sporych umiejętności wspinaczkowych, a także odpowiedniego sprzętu – raków, czekana, a niekiedy i liny. Do *bivacco* dotarliśmy dopiero przy świetle księżyca.

Schronisko mieściło wygodnie kilka zaledwie osób. Przeglądając książkę wyjść, znaleźliśmy wpisy uczestników tragicznie zakończonej próby przejścia Filara Frêney na południowej ścianie Mont Blanc. Z grupy siedmiu alpinistów, prowadzonych przez Bonattiego, w burzy śnieżnej zginęło czterech.

Pierwszego przejścia Filara Frêney dokonał zespół angielsko-polsko-francuski w 1961 roku. Uczestnikiem tego przejścia był Jan Długosz, który w swoich wspomnieniach z Alp pisał: *…lodowiec Frêney, lodowiec Brouillard, cala południowa strona Mont Blanc przy załamaniu pogody i niedokładnej znajomości terenu to jedna wielka pułapka, z której można się nie wydostać.*

Z niepokojem patrzyliśmy w stronę wschodnich zboczy Mont Blanc, następnie na grań – Aiguille Blanche de Peuterey i Aiguille Noire de Peuterey, Wielki Filar Narożny (Grand Pilier dAngle Mont Blanc). Stan Krzysztofa nie poprawiał się. Postanowiliśmy kilka dni przeczekać w schronisku. Jednak dłuższe przebywanie na znacznej wysokości zawsze jest połączone z osłabieniem. W wypadku choroby najwłaściwsze jest zejście na dół, ale powrót tą samą drogą do schroniska zbyt wiele zająłby nam czasu. Oczywiście, można było przejechać tunelem pod Mont Blanc na stronę włoską, a następnie podejść łatwym i bezpiecznym terenem aż do schroniska Franco Monzino (dawniej Gamba) i jeszcze wyżej do *bivacco Lampugnani* pod Col Eccles w pobliżu południowej ściany Mont Blanc, ale nie mieliśmy włoskich wiz.

W schronisku czekamy dwa dni. Drugiego dnia po południu decydujemy się iść dalej. Razem z nami wychodzą Anglicy, którzy zamierzają wejść na Mont Blanc filarem Brenva. Po dwóch godzinach jesteśmy na przełęczy Col Moore. Anglicy idą w prawo do góry na filar Brenva, my musimy zejść z przełęczy na lodowiec Brenva przez bardzo nieprzyjemną szczelinę brzeżną.

Wejście w nocy na przełęcz Frêney jest bezpieczniejsze, gdyż w dzień – zwłaszcza o wschodzie słońca – lecą z przełęczy kamienie, bryły lodu i lawiny śnieżne. Przy szczelinie brzeżnej czekamy, aż wzejdzie księżyc. Gasimy latarki. Trochę drzemiemy. Budząc się, spoglądamy na filar Brenva. Widać na nim światełka Anglików.

Po niedługim czasie zbocza przełęczy Frêney zaczęły rozjaśniać się. Pokazał się księżyc. Sygnał dla nas, by ruszać. Już wcześniej wypatrzyliśmy

obejście szczeliny brzeżnej. Podchodzenie było żmudne, mieliśmy dużo bagażu wplecakach na planowaną tygodniową wyprawę. Około siódmej znaleźliśmy się tuż pod przełęczą. Słońce oświetliło jej zbocza. Mimo nieprzespanej nocy i zmęczenia staramy się iść jak najszybciej. Zaczyna się kanonada. Świst przelatujących tuż obok kamieni. Bolący kark od ciągłego zadzierania głowy, brak tchu – byle szybciej! Dopadamy przełęczy.

Przełęcz Frêney to olbrzymia, płaska powierzchnia, na której można ustawić dziesiątki namiotów. Wydaje się zupełnie bezpieczna. Rozkładamy płachtę biwakową, gotujemy. Jesteśmy w kotle lodowca osłoniętym od wiatru. Ogromna misa wypełniona bielą śniegu i błękitem lodu. W pełnym słońcu upał nie do wytrzymania. Pocimy się, tracąc cenną wodę, słabniemy. Śnieg jest coraz miększy.

Znajdujemy się w jednym z najbardziej niedostępnych zakątków alpejskich. Być tutaj to zupełnie inne uczucie niż przy wejściu na szczyt. Nie ma tej satysfakcji ostatecznej, po której jest już tylko schodzenie. Jesteśmy zupełnie sami. I nie zanosi się, by ktokolwiek zakłócił to odosobnienie, gdyż alpiniści zachodni wybierają prostszą drogę – od strony włoskiej.

Jedynym cieniem zakłócającym te słoneczne godziny była myśl, co będzie, jeżeli zepsuje się pogoda? Odwrót tą samą drogą odstręcza, zejście zaś lodowcem Frêney jest bardzo zawikłane i niebezpieczne. Trzeba przedzierać się przez istny labirynt postrzępionych seraków. Staramy się nie myśleć o ewentualnej konieczności odwrotu.

Po południu ruszamy na przełęcz Col Eccles. Podejście jest trudne. Rozmiękły śnieg leży cienką warstwą na skale. Zęby raków nie znajdują dobrego oparcia. Związani liną idziemy ostrożnie – w każdej chwili któreś z nas może się poślizgnąć, pociągając za sobą partnera. Według przewodnika *bivacco Lampugnani* powinno znajdować się około 50 metrów poniżej przełęczy. Rozglądamy się na wszystkie strony, chodzimy, zataczając coraz szersze kręgi wokół przełęczy. *Bivacca* ani śladu. Zrezygnowani poddajemy się. Czeka nas jeszcze jedna nienajlepiej spędzona noc.

Na zboczu przełęczy kopiemy jamę śnieżną, która ma kształt tunelu o średnicy około metra; jego koniec nie sięga skały, tak gruba jest warstwa śniegu. Układamy się pod płachtą biwakową, w puchowych kurtkach i śpiworach. Zasypiamy ze świadomością klęski. Następnego dnia nie rozpoczniemy wspinaczki na Czerwonym Filarze. Musimy wypocząć, wysuszyć się, przepakować sprzęt.

O świcie gramolimy się z jamy i rozpoczynamy dalsze poszukiwania. Tym razem schodzimy w dół przełęczy granią. Teoretycznie jest to jedyne możliwe miejsce, wktórym może znajdować się *bivacco*. I rzeczywiście. Prawie 200 metrów niżej znajduje się mały schronik. Od schodzących alpinistów dowiadujemy się, że stare *bivacco* dawno już nie istnieje. Nowe podobne jest do schroniska na Col de la Fourche, mieści cztery osoby. Dla nas, po dwu nocach w śniegu, to niemal hotel Hilton.

Targają nami sprzeczne uczucia. Mamy już mało żywności, zużyliśmy większą jej część podczas podchodzenia. A przecież jeszcze nie zaczęliśmy się wspinać!

W oddali widzimy Czerwony Filar Mgieł – wygląda wspaniale, ale coraz mocniej wątpimy, że uda nam się nań wejść. Pogoda staje się niepokojąca. Coraz częstsze są podmuchy bardzo ciepłego wiatru. Niebem płyną haczykowate chmury, według Krzysztofa zwiastujące bliskie załamanie pogody.

Na wszelki wypadek pakujemy cały sprzęt, przygotowując się do wyjścia. Noc spędzamy w *bivacco*, ale nie śpimy dobrze. Krzysztof prawdopodobnie ma niewesołe myśli, czując się odpowiedzialny za losy naszego zespołu. Jestem skłonna iść dalej, choć nie bez obaw. Krzysztof w dalszym ciągu odczuwa skutki zatrucia. Decyzję za nas podejmuje pogoda. Wczesnym rankiem wichura wciska się w szpary *bivacco*. Nadchodzi *fóhn*. Trzeba schodzić. Mija już prawie tydzień od wymarszu z Taconnaz i kończy się żywność. Wiatr i mgła utrudniają odnalezienie drogi. Krzysztof jest przygnębiony.

Schodzimy do szczeliny brzeżnej. Za nią jest już lodowiec Brouillard. Krzysztof schodzi pierwszy na podejrzanie wyglądający mostek śnieżny. Pozostaję na stromym zboczu lodowym, kilkanaście metrów nad szczeliną. Jesteśmy związani liną. Na wszelki wypadek wyrąbuję minimalne stopnie w lodzie. Równie odruchowo wbijam czekan i przekładam przezeń linę. W czasie tego zejścia prawie nie asekurowaliśmy się i teraz zapewne Krzysztof nie przypuszczał, że to robię. Postawił ostrożnie jeden krok, potem drugi… Usłyszałam stęknięcie zapadającego się mostka, potem okrzyk Krzysztofa. Szarpnięcie liny – zaciskam ręce! Zawisnął na linie… Później powiedział, że był niezmiernie zdziwiony faktem, że wisi. Był święcie przekonany, że zaraz do niego zawitam.

– Opuść mnie niżej! – krzyknął lekko przyduszonym głosem.

Stanął na dnie szczeliny i przeciwległą ścianą wydostał się na lodowiec. Jak do niego dojść? Trzeba przeskoczyć szczelinę. Proszę Krzysztofa, by przyciągnął mnie w czasie skoku. Długo się przymierzam, w końcu nabieram odwagi i skaczę, lądując na drugim brzegu szczeliny. Po tych nieprzewidzianych emocjach ruszamy dalej. Zmęczeni, zgłodniali dochodzimy do schroniska Manzino. Krzysztof ma lirowe zaskórniaki. Prosimy o *mangiare* i gospodarz schroniska stawia przed nami pokaźną porcję makaronu. Nie możemy nocować w schronisku – znów pieniądze, a raczej ich brak! Biwakujemy w dolinie Val Veni w strugach deszczu.

Następnego dnia podchodzimy na przełęcz Giganta. Mozolnie pniemy się 1400 metrów, od stacji kolejki Entréves. Przełęcz przekraczamy z obawą, by nie zatrzymali nas strażnicy graniczni. Udaje się nam przejść niepostrzeżenie i lodowcem Giganta zmierzamy w stronę Mer de Glace, Morza Lodu. Po kilkunastu godzinach jesteśmy nareszcie w Taconnaz.

Chatkę zastajemy opustoszałą, tylko na drzwiach – obok naszej – tkwi kartka: *Ktokolwiek wie coś o losach Wandy i Krzysztofa, niech natychmiast zawiadomi żandarmerię górską. Andrzej Skłodowski.*

Rano idziemy do Chamonix. Przed sklepami, wprost na ulicy, mnóstwo jedzenia – wspaniały świat świeżego jedzenia! Owoce, warzywa, mleko, którym opijamy się nieprzytomnie. Docieramy na posterunek, by zawiadomić „o losach Wandy i Krzysztofa”. Okazało się, że mimo zgłoszenia naszego „zaginięcia” na posterunku nikt tym się specjalnie nie przejął:

– Dziewczyna i chłopak? Pewnie pojechali na Lazurowe Wybrzeże. Co pan nam tu opowiada, jaki Czerwony Filar?

Dla świętego spokoju przekazali informację o nas załodze helikoptera patrolującego rejon Mont Blanc.

Niedowierzanie, że poszliśmy w góry, było w pewnym stopniu uzasadnione – trudny Czerwony Filar Mgieł, dziewczyna i chłopak z Polski, na dodatek podchodzący pod filar z zupełnie przedziwnej strony…

Po pewnym czasie Krzysztof przyznał się, że proponując tę drogę, chciał mi dać trochę po nosie. Przypuszczał, że w czasie wspinaczki mój animusz zmniejszy się, ambicje okażą się ambicjami na wyrost i zmęczona trudnościami, przerażona tym, co nas czeka, zawołam w końcu: „Krzysiu, ratuj!”

W KRAINIE TROLLÓW

W 1968 roku jeden z sierpniowych numerów ilustrowanego tygodnika „Alle Menen”, będącego czymś w rodzaju norweskiego „Playboya” miał zupełnie nietypową okładkę: dwie dziewczyny kompletnie ubrane, na dodatek w stroje alpinistyczne ze wszystkimi akcesoriami wspinaczkowymi. To byłyśmy my – Halina Krüger-Syrokomska i ja – stojące na szczycie Romsdalshom.

W taki to, między innymi, sposób został zauważony fakt, że jako siódmy z kolei, a pierwszy kobiecy zespół zdobyłyśmy wschodni filar Trollryggenu.

Wyjazd do Norwegii miał charakter rekonesansu. Wprawdzie wiadomo, że Norwegia obfituje w góry, ale czy można się w nich wspinać tak jak w Tatrach czy Alpach?

Góry norweskie nie są wysokie – najwyższe wierzchołki nie przekraczają 2500 metrów, ale podstawy wielu masywów leżą bardzo nisko. Na północy urwiska skalne zaczynają się prawie od powierzchni morza, co sprawia, że drogi wspinaczkowe pod względem rozpiętości pionowej są porównywalne z największymi drogami alpejskimi. Niebagatelną zaletą jest też geograficzne położenie Norwegii – leży na tej samej szerokości co Alaska. Dzięki temu od czerwca do połowy sierpnia można się wspinać przez 20-24 godziny na dobę.

Jest tam kilka rejonów interesujących dla wspinaczy. Jednym z nich jest Romsdalen – grupa składająca się z trzech masywów zbiegających się przy fiordzie Romsdal i miasteczku Andalsnes. Są to Vengendalen, Isterdalen i Trolltindene. Najbardziej interesujący jest ten ostatni – mur kilkukilometrowej długości o wysokości ponad 1000 metrów. To właśnie tutaj znajdował się nasz cel – wschodni filar Trollryggenu, przez który 1600-metrowym urwiskiem prowadzi droga należąca do najdłuższych dróg wspinaczkowych w Europie. Przewodniki określają ją jako skrajnie trudną.

Moje wiadomości o przyszłym obszarze działania były raczej skromne, opierały się jedynie na prospektach reklamowych. To w nich właśnie znalazłam nazwisko Amego Randersa Heena, przewodnika górskiego zamieszkałego w Andalsnes.

Arne Heen to niezwykła postać. Ogromnie zasłużony dla rejonu Romsdal, w czasie wojny kierował tutejszym ruchem oporu, ukrywał jeńców zbiegłych z obozów, wśród których byli również Polacy i Rosjanie. To na jego ręce, po wkroczeniu aliantów, składał kapitulację dowódca garnizonu niemieckiego, okupującego miasteczko. Po wojnie Heen był oficjalnym gościem w Związku Radzieckim, zaproszonym przez uratowanych przez siebie żołnierzy radzieckich.

Heen jest członkiem Norsk Tindeclub. Z własnej inicjatywy znakował szlaki, sprawdzał stan dróg wspinaczkowych, na szczytach budował kamienne schrony – słowem, dbał o góry jak o własne gospodarstwo. Z zawodu jest krawcem, z czym wiąże się powszechnie opowiadana w Andalsnes anegdota. Pewnego razu do zakładu krawieckiego przyszedł klient, który zamierzał wybrać się z Arnem na Romsdalhom. Podniecony czekającą go wyprawą Arne nakreślił kredą zarys Romsdalhornu i szkic drogi, którą mieli pójść, na materiale przeznaczonym na spodnie. Potem najspokojniej skroił materiał według nakreślonego szkicu.

Do Andalsnen przyjechaliśmy w lipcu – Halina, ja i Andrzej Paulo, kierownik „wyprawy”. Po przyjeździe od razu udaliśmy się do Arnego Heena, który udzielił nam wszelkich informacji. Namioty rozstawiliśmy w dolinie Romsdal, w pobliżu farmy Fiva, której właścicielami byli państwo Dahle.

Nasze plany wspinaczkowe przedstawiliśmy Arnemu. Kiedy usłyszał, że żeńska dwójka wybiera się na wschodni filar Trollryggenu, nie ukrywał sceptycyzmu co do powodzenia tego przedsięwzięcia. Mimo to stał się jego gorącym orędownikiem i zadbał o odpowiednią *publicity*. Dzięki jego staraniom codzienne gazety informowały o każdym niemal naszym kroku na filarze.

Dopóki byłyśmy widoczne na ścianie, ustawiona przez Arnego na drugim brzegu rzeki Raumy luneta z napisem „Tu się wspinają – oglądanie 1 korona” umożliwiała obserwację naszej wspinaczki. W witrynie pracowni krawieckiej umieścił duże zdjęcie filara z zaznaczoną chorągiewkami drogą, którą przebyłyśmy. Były też nasze zdjęcia i niektóre wycinki z gazet.

Arne czuł się gospodarzem tego rejonu, dbał o jego jak największą atrakcyjność turystyczną. A nasza wspinaczka, z racji rzadkości przedsięwzięć tego typu, mogła stanowić atrakcję sezonu! Poza tym Arne dużym sentymentem darzył wschodni filar Trollryggenu, w 1958 roku bowiem dokonał jego pierwszego przejścia. Partnerował mu Ralph Höibakk, jeden z najlepszych alpinistów norweskich. Z nim też Arne dokonał ponownego przejścia z okazji 10-lecia zdobycia filara. Czas jubileuszowego przejścia był rekordowy – 12 godzin!

Wspinaczkę rozpoczęłyśmy 9 sierpnia. Początkowo szłyśmy niezwiązane, jednak po dojściu pod płyty o stopniu trudności IV związałyśmy się. Tego dnia jeszcze zmieniałyśmy się w prowadzeniu. Pamiętam chwilę, w której pomyślałam z radością o możliwości zmiany, doszłam bowiem do miejsca, w którym nie czułam się dość pewnie. Czekałam na Halinę. Kiedy doszła, przejęła prowadzenie. Jak to czasem dobrze iść ze zmianami! Jeśli mi coś nie idzie, mogę mieć pewność, że partnerka mnie wyręczy! Ale dość szybko wpadłam we właściwy rytm i przez następne dwa dni prowadziłam.

Przed nami kluczowy odcinek. To właśnie tutaj, według przewidywań Arnego, miała załamać się nasza próba. Startuję obciążona tym brzemieniem. Kominek rzeczywiście jest parszywy, mocno przewieszony, mokry, oślizły. Można go obejść drogą o podobnej skali trudności, ale z gorszą asekuracją. Wprawdzie Arne twierdził, że w kominku nie da się wbić żadnych haków, znajdowałam jednak sporo szczelin, z których skorzystałam.

Kluczowy fragment drogi udało się przejść, ale tego dnia daleko nie zaszłyśmy. Powyżej kominka zaczął się system rys i zacięć idących w lewo, który wyprowadził nas na wielopoziomowe, tarasowate półki, ciągnące się w poprzek całego filara. Nie był to odpowiedni moment na szukanie właściwej drogi, toteż noc spędziłyśmy w płachcie biwakowej na względnie wygodnej półce. Dominującym uczuciem było zmęczenie – tempem wspinaczki i brakiem wody. Nie miałyśmy maszynki butanowej, piłyśmy więc zimną wodę z zagłębień skalnych, dodając kwasek cytrynowy.

Rankiem wypatrzyłyśmy nyżę, od której należało iść bardziej w prawo, w trudnym terenie, zbliżając się niemal do kantu filara. Zaraz za nyżą były znów ryski, potem zauważyłyśmy haki. Wydawało się, że jesteśmy na dobrej drodze. A jednak nie. Po drugim wyciągu rysa rozpłynęła się nagle w gładkiej płycie skalnej. Koniec drogi. W ostatni hak wbity w zanikającej szczelinie wpięty był karabinek – to jakiś nasz poprzednik wycofał się

z tego miejsca zjazdem. Musiałam zrobić to samo. Niepotrzebna strata czasu. Poszłyśmy tarasami jeszcze bardziej w prawo i w pobliżu kantu filara wystartowałyśmy ponownie. Wspinaczka rze – teina, trudna technicznie, ale w pięknej, bezpiecznej, litej skale, w którą można wbijać pewne haki. Ideał wspinaczki!

Po ostatniej przewieszce ze starymi hakami miało na nas czekać kilka wyciągów czwórkowych do górnego pola śnieżnego. Raz jedyny na tej ścianie poczułam się strasznie samotna. Halina była gdzieś w dole, nie widziałam jej ani nie słyszałam. Cały wyciąg szłam w zacięciu, nietrudnym wprawdzie – zaledwie IV, ale trochę parszywym – hak gdzieś daleko, przede mną ściana. Zacięciem niby można iść, jeśli się dobrze ustawi, ale mnie się już nie chciało. Skałki mokrawe, haka nie ma gdzie wbić, nie pomoże mi żaden święty, muszę iść – więc szłam dalej, przede mną ostatnia, trzymetrowa mokra ścianka. Zlizuję trochę wilgoci. Wbijam dwa haki obok siebie – niepotrzebnie, wystarczyłby jeden. Wiem, że to już ostatnie metry i nie można dopuścić do tego, żeby coś się stało. Wychodzę na ściankę, przede mną łatwo – tarasy pod górnym polem śnieżnym, a lina klinuje się. Ledwo stoję na krawędzi ścianki, ściągam linę, z trudem utrzymując równowagę. Halina coś krzyczy z dołu, ja jej odwarkuję, trzymając linę w zębach. Cztery metry wyżej widzę stary hak, liny oczywiście nie starcza, podchodzę więc dwa metry – wszystko się rusza. Halina likwiduje autoasekurację i wreszcie dosięgam haka. Jest dobry. Wpinam pętlę, lina napięta jak drut. Partnerka stoi pewnie z nosem przy ścianie i klnie, ale ja już nie czuję się samotna. Hak dobry, ona zaraz do mnie przyjdzie. Jeszcze jeden wyciąg za nami.

Za wszelką cenę chcemy dojść do wylotu kuluaru o długości około 300 metrów, który wyprowadza już na szczyt. Przed oczami wciąż mamy pole śnieżne rozciągające się na rozległych półkach. Po całym dniu wspinaczki „na sucho” woda stała się motorem działania. Byłyśmy bardzo spragnione, gdyż rano piłyśmy tylko odrobinę wody z zagłębienia skalnego.

Aby dojść do wody, wspinałyśmy się mimo zapadających ciemności, przy światełku lampy czołowej. Ciemność stwarzała specyficzne poczucie bezpieczeństwa. Świat ograniczał się tylko do fragmentu objętego światłem latarki. Nie widziałam tysiącmetrowego urwiska, nie czułam więc lęku przed odpadnięciem od ściany. Szłam jednak bardzo ostrożnie, świadoma niebezpieczeństwa.

Chciałam wbić kolejny hak przelotowy jak najszybciej i… zamiast w hak walnęłam młotkiem w palec. Przeszywający ból, ugięcie kolan, ale chwytu nie puściłam i nie straciłam równowagi. Hak tkwił jako tako w szczelinie, szybko więc przypięłam się, by otrząsnąć się z bólu. Dopiero po chwili dobiłam go mocniej.

Był to wyciąg kończący trudności. Jeszcze kilka metrów i jestem w łatwym terenie, na piargu wygładzonym jęzorem lodowca. Doszłam do śniegu, długo szukając miejsca na dobre stanowisko autoasekuracyjne. Nie podchodziłam za wysoko. Zostałyśmy na skraju pola śnieżnego, bo tylko tu mogłyśmy liczyć na wodę wytopioną w ciągu dnia.

Biwak był niewygodny, ale za to przepiękny. Znajdowałyśmy się na niewielkiej, pochylonej półce skalnej, zawieszonej nad chmurami oświetlonymi księżycem. Nad nimi sterczały ciemne szczyty. Fascynujący nierealnością widok każe zapomnieć o trudzie wspinaczki, o głodzie i pragnieniu. I o tym, że jeszcze nie jesteśmy bezpieczne, bo wciąż w ścianie…

Następnego dnia zasypiałyśmy na stanowiskach. Dochodząc do stanowiska, automatycznie, wbijam hak. Przypinam się do haka, ściągam linę. Nie myślę o niczym. Gdyby Halina się obsunęła, równie odruchowo zacisnęłabym ręce na linie.

Droga prowadziła kuluarem i miałyśmy wrażenie, że wyprowadzi on do szczytu. Szłyśmy lewą stroną kuluaru – jego dno było piarżyste, poprzecinane progami nie do przejścia, kruchymi i niebezpiecznymi. Weszłyśmy na lewe ograniczenie kuluaru, dość litą skałę. Na tej drodze napotkałyśmy znaczne trudności, w niektórych miejscach trzeba było używać ławeczek. W ostatnich godzinach wspinaczki narastało zmęczenie spowodowane nie tylko trudnościami, ale i monotonią powtarzających się wyciągów.

Idziemy we mgle uniemożliwiającej orientację i ocenę, gdzie i jak wysoko się znajdujemy. Dochodzimy pod wywieszone zacięcie. Wyjście z półki, na której było stanowisko, wymagało sporej siły. Chwila wahania. Halina, jakby wyczuwając, że potrzebuję dodatkowej mobilizacji, pogania:

– Idźże już w końcu!

Tym trochę zniecierpliwionym okrzykiem jak gdyby daje mi znak, że właściwie nic specjalnego się nie dzieje, że najzwyczajniej trzeba to przejść. Nie należy więc rozklejać się. Weszłam w przewieszoną ryskę, która okazała się nie trudniejsza niż „czwórka”.

Wspinamy się dalej, nie mając pojęcia, jak daleko jeszcze do grani szczytowej. Na ostatnich wyciągach asekuracja kiepska. Zobojętniałam na niebezpieczeństwo, na strach – byle iść! Stałam się maszyną do wspinania. Wyciąg za wyciągiem, wbijając jak najmniej haków przelotowych – byle szybciej! Płyta skalna zamienia się w poziomą krawędź. Za nią, mimo mgły, dostrzegam nareszcie coś płaskiego. Czyżby koniec drogi? Tak, to już grań szczytowa! Patrzę w dół. Haliny jeszcze nie widzę, tylko po drganiach liny poznaję, że idzie.

– Gdzie jesteśmy? – dociera przez mgłę pełne nadziei pytanie.

– Jeszcze daleko, co najmniej kilka wyciągów! – odkrzykuję szczęśliwa, nareszcie rozluźniona, wygodnie siedząc.

Słyszę zduszone przekleństwo i lina drga dalej. Za chwilę dochodzi do mnie Halina. Początkowo nie wierzy własnym oczom, że to już koniec wspinaczki, potem zaczyna rozumieć. Zrobiłyśmy filar!

Znajdujemy się na rozległym, prawie płaskim zboczu skalnym. Miejscami pokryte szutrem, płatami śniegu. Teren prawie jak dla turystów. Słyszymy jakieś głosy. To Arne Heen z żoną Bodil oraz Rotraud Eliassen, we mgle wyglądająca jak chłopak. Rotraud – żona Oda, którego poznałam wcześniej w Polsce; wspinałam się z nim na Żabim Mnichu.

Czekają na nas zjedzeniem, z ciepłym i zimnym piciem. Bodil podaje termos z gorącym kakao i wspaniałe bułeczki maślane ze słodkawym kozim serem. Mimo niepogody, mgły, zimnego wiatru wyszli nam naprzeciw, jak najprawdziwsi przyjaciele.

Nasze dalsze losy były w rękach Arnego Heena. To on sprawił, że stałyśmy się bohaterkami nie tylko jednego dnia, ale i wielu następnych. Prasa, radio, wywiady, spotkania, medale, puchary. Po raz pierwszy wspinaczka przestała być moją prywatną sprawą.

Po tych wszystkich uroczystościach nastąpił najmniej spodziewany upadek – w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. Odpadłam. Podczas wspinaczki z Rotraud Eliassen.

Zwiedzając rejony wspinaczkowe, dotarłyśmy do Trondheim, od którego nieco na południe znajduje się grupa górska Innerdalen, odznaczająca się szczególnie pięknym krajobrazem. Góry te kształtem przypominają Dolomity, choć oczywiście nie dorównują im wysokością. Ściany rzadko przekraczają 400 metrów. Prowadzą przez nie przyjemnościowe, eleganckie drogi wspinaczkowe, choć nie brak i dróg o skrajnych trudnościach.

Tym razem nie chodziło tylko o wyczyn. Miała to być krótka, ale bardzo trudna wspinaczka, także dla przyjemności – z kimś przyjaznym, w ciepłej i suchej skale, w słońcu.

Drugi wyciąg po gładkiej płycie skalnej przeszłam na granicy odpadnięcia. Następny oprócz techniki, wymagał znacznej siły. Wspinałam się, kończąc wyciąg w przewieszonej, obłej rysie. Nie wytrzymałam psychicznie trudności. Chcąc być bliżej skały, wtuliłam się w rysę. Dobrze dotychczas działający układ – odciągnięte ręce, nogi zaparte w skałę – przestał funkcjonować. Poleciałam! Po drodze trafiłam stopą w krawędź okapu, który przed chwilą pokonałam w odwrotnym kierunku. Noga zmiękła, zrobiła się bezwładna, poczułam drętwienie. Zawisłam w powietrzu – dwa metry od ściany i kilkaset od ziemi. Po kilku wahnięciach znalazłam się obok ściany i zdążyłam chwycić hak.

Rotraud opuściła mnie do swego stanowiska i zjazdami wycofałyśmy się. Na dole okazało się, że nie mogę stanąć. Później lekarz stwierdził pęknięcie kości skokowej.

Moje taternickie dojrzewanie przypadło na okres, kiedy odpadnięcie było dyshonorem. Usiłowałam znaleźć przyczyny upadku. Tłumaczyłam sobie, że but zaklinował się w rysie, a próbując go wyciągnąć, straciłam równowagę. Jednak należało mieć odwagę i powiedzieć sobie, że odpadłam, bo było trudno. Pomógł mi w tym Adam Uznański, prezes wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego, który badał okoliczności wypadków taternickich:

– Jak to się stało?

– Szłam w przewieszce i but mi się zaklinował.

– A padało?

– Nie.

– Warunki były dobre?

– Tak, ale…

– Spadł na ciebie kamień albo ukruszyła się skała?

– Nie.

– To może zasłabłaś nagle? Nie? No to co tu wymyślasz? Po prostu spadłaś z powodu dużych trudności.

To stwierdzenie wydawało mi się wówczas brutalnym ujawnieniem czegoś, do czego sama nie chciałam się przyznać – wypadek był zawiniony przeze mnie, nie przez przyczyny obiektywne.

Do kraju wracałam zafascynowana możliwościami wspinaczkowymi w Norwegii. Poznałam wielu norweskich alpinistów, wśród których był Ralph Höibakk. Od niego, a także od Odda Eliassena i Arnego Heena dowiedziałam się wielu interesujących szczegółów na temat uprawiania alpinizmu wyczynowego w tych nieznanych górach.

Po powrocie napisałam do „Taternika" artykuł „Norwegia jest krajem gór". Starałam się w nim zachęcić polskich alpinistów do wyjścia poza krąg Alp czy Dolomitów, właśnie w góry Norwegii, gdzie jeszcze wiele problemów czeka na wspinaczy latem. A zimowa wspinaczka może okazać się niezwykle ambitnym celem, jako że większość najtrudniejszych dróg w rejonie Romsdalen nie ma zimowych przejść.

To nasze „otwarcie" gór norweskich zaowocowało w cztery lata później, kiedy to czwórka Polaków – Andrzej Dworak, Wojciech Jedliński, Ryszard Kowalewski i Tadeusz Piotrowski (5-13 marca 1972 roku) – dokonała pierwszego zimowego przejścia wschodniego filara Trollryggenu. Tym wyczynem polski zespół dokonał przełomu w dziejach eksploracji gór norweskich, rozpoczynając okres zimowego alpinizmu wyczynowego.

Nie znalazłam okazji, by powrócić do Norwegii, do ludzi, którzy okazali nam tak wiele przyjaźni, i do gór, dzięki którym doznałam zupełnie nowych przeżyć. Jakże odmienne były one niż na przykład te w Alpach, w których wśród tłumu wspinających się alpinistów jest się kimś zupełnie anonimowym, W Romsdalen – pewnie dlatego, że tak niewielu alpinistów tam się pojawia – otaczane byłyśmy powszechnym zainteresowaniem, życzliwością i sympatią.

Rok później Rotraud Eliassen przyjechała do Polski. Kilka dni spędziła we Wrocławiu, potem wspinałyśmy się w Tatrach, a jeszcze później wprowadzałam Rotraud na Mont Blanc. I choć nie powróciłam do Romsdalen, w Norwegii jest Wanda – najmłodsza córka Rotraud i Odda Eliassenów.

„WYŻEJ” NIE ZNACZY „TRUDNIEJ”

Lata sześćdziesiąte i początek siedemdziesiątych to specyficzny okres w polskim alpinizmie. Ponieważ dopiero odkrywa się góry wysokie, liczą się przede wszystkim zdobyte metry wysokości, a nie trudności szczytów czy ścian, czy li to, co we współczesnym alpinizmie i himalaizmie jest najważniejsze. Stąd też konkurencyjność – kto był wyżej, kto pobił rekord wysokości. Właściwie dopiero chyba polskie wejście na Mount Everest zakończyło tę pogoń za rekordem i skierowało uwagę alpinistów na wejścia wysokościowe o dużym stopniu trudności technicznych. Poprzednio określenie „wyżej” nie zawsze znaczyło „trudniej”.

I tak, prawdę mówiąc, na Pik Lenina można było wejść z rękoma w kieszeniach i tylko zmęczenie zmuszało do opierania się na czekanie. Tę wysokość mogło pokonać wielu alpinistów, jeśli byli dostatecznie zaaklimatyzowani i ich organizmy łatwo przystosowywały się do dużych wysokości. Dlatego w polskim alpinizmie pojawiło się wielu wspinaczy specjalizujących się w wejściach wysokościowych, nieposiadających jednak dorobku taternicko-alpinistycznego.

Na etapie łatwych technicznie wypraw w góry wysokie wszystko układa się dobrze, a wyprawy się udają, kiedy nie przytrafi się nic niespodziewanego. Ale różnica między wszechstronnie doświadczonymi alpinistami a specjalistami od wysokości wyjdzie na jaw wówczas, gdy załamie się pogoda, zdarzy się wypadek lub trzeba podejmować decyzje w sytuacjach szczególnych, odbiegających od normy. Bo tylko sytuacje ryzykowne, takie jak pokonywanie dużych trudności wspinaczkowych, pozwalają nabrać doświadczenia. Decyduje ona nieraz o życiu alpinisty na tych pozornie łatwych wyprawach.

Niejednokrotnie były to wyprawy pułapki, które zwabiały względną łatwością, pozwalały uzyskać uznanie i zapisanie nazwisk w historii polskiego alpinizmu – jeżeli się udały. Jednak ceną za tę łatwość bywały niekiedy

tragiczne wypadki, spowodowane niedoświadczeniem lub brakiem umiejętności.

W tym okresie alpinistki zyskały większe uznanie. Może właśnie przez udział w wyprawach, na których stosunkowo łatwo osiągało się znaczący wynik. O wiele trudniej było go osiągnąć w Alpach, zespoły kobiece bowiem nie przechodziły dróg równie trudnych jak drogi pokonywane przez mężczyzn. Drogi zespołów kobiecych były pionierskie tylko w odniesieniu do alpinizmu kobiecego, natomiast opóźnione od kilku do kilkunastu lat w porównaniu z alpinizmem męskim.

Należy jednak przyznać, że właśnie wyprawy w góry wysokie sprawiły, że nazwiska alpinistek zaczęły się pojawiać na łamach prasy. Wejście na szczyt siedmiotysięczny było przyjmowane z większym zainteresowaniem niż wejścia w Tatrach czy Alpach. Wysokość siedmiu tysięcy metrów działała na wyobraźnię każdego, sugerując, że im wyżej, tym trudniej.

Względna łatwość dochodzenia do wyniku mierzonego metrami na pewno przyniosła sporo dobrego polskiemu alpinizmowi, ale jednocześnie wywołała trochę zamieszania w środowisku. Ten sam medal za wybitne osiągnięcia sportowe uzyskiwali bowiem alpiniści o dużych umiejętnościach wspinaczkowych i doświadczeniu, jak i ci o niewielkich kwalifikacjach.

W 1963 roku po raz pierwszy wprowadzono zwyczaj przyznawania tych medali, podobnie jak w innych dyscyplinach sportowych. Otrzymywali je wszyscy uczestnicy wyprawy zakończonej sukcesem, choć szczyt zdobyło tylko kilku z nich. W pewnej mierze było to sprawiedliwe, na ich sukces bowiem pracował cały zespół. Ale tylko w pewnej mierze.

Najbardziej wymiernymi ocenami pozostawały medale za wspinaczkowe drogi alpejskie, choć o wiele trudniej było je uzyskać. Zdarzało się i tak, że ci, którzy pokonali wspaniałe drogi alpejskie, nie zdawali egzaminu wysokości. Ich organizm nie umiał się zaaklimatyzować w warunkach rozrzedzonego powietrza. Góra łatwa, ale wysoka, pozostawała dla nich nie do zdobycia…

Dla mnie, jak dla każdego alpinisty, pierwszy wyjazd w góry wysokie był wielką niewiadomą. Czy mój organizm dobrze zniesie wysokość i czy będę mogła jeździć na wyprawy?

Klub Wysokogórski
Zarząd Główny

Warszawa, 15 IV 1970
otrzymują wg listy

Szanowna Koleżanko!

Prezydium ZG na posiedzeniu w dniu 14.04.1970r. – na wniosek Przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego centralnej wyprawy Karakorum 1971 – uchwaliło wytypowanie Koleżanki jako członka kadry wyprawy. Celem jej działania jest zdobycie szczytu Gasherbrum III lub Khunyang Chhish… Zawiadamiamy jednocześnie, że znalezienie się w kadrze wyprawy nie oznacza automatycznie wejścia w skład wyjeżdżający w Karakorum, ostateczny skład będzie zatwierdzony w lutym 1971 r. na podstawie aktualnego przygotowania sportowego oraz prac przy organizowaniu wyprawy…

Przewodniczący
Komitetu Organizacyjnego
(–) Andrzej Zawada

Z taternickim pozdrowieniem
Prezes KW
(–) Antoni Janik

* * *

Klub Wysokogórski
Zarząd Główny
Warszawa, 11 V 1970
wg rozdzielnika

Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego zawiadamia, że została Koleżanka wyznaczona do wzięcia udziału w wyczynowej wyprawie alpinistycznej w Pamiro-Ałaju (ZSRR). Wyjazd z Warszawy 28 czerwca br., powrót około 24 sierpnia br. Wysokość odpłatności wynosi 6500zł.

Otrzymują:
Andrzej Zawada – kierownik
Halina Krüger-Syrokomska
Wanda Błaszkiewicz-Rutkiewicz
Bogdan Jankowski – zastępca kierownika

Wojciech Jedliński
Tadeusz Łaukajtys
Jan Franczuk
Jan Kiełkowski

Z taternickim pozdrowieniem
Kierownik Biura ZGKW
(–) Hanna Wiktorowska

Te dwa pisma postawiły mnie przed faktem dokonanym – jadę w góry wysokie! Tym razem nie muszę sama dla siebie organizować wyjazdu, co znacznie podnosi jego atrakcyjność.

W owym czasie nie myślałam jeszcze o wyprawach w wysokie, egzotyczne góry. Większą radość sprawiała mi wspinaczka skalnalub lodowa niż ewentualne satysfakcje wyprawowe. Jednak kiedy dowiedziałam się, że przede mną wyjazd – najpierw w Pamir, a potem może w Karakorum – zaczęło się radosne oczekiwanie.

Wyjazd w Pamiro-Ałaj nastąpił dzięki zaproszeniu wysłanemu z Klubu „Vertikal" z Nowosybirska. Alpiniści tego klubu wspólnie z Polakami w 1969 roku działali w Pamiro-Ałaju, dokonując wielu pierwszych wejść na trudne szczyty i przyczyniając się do poznania niezbadanego dotychczas zakątka gór Pamiru.

Celem naszej wyprawy było zdobycie dziewiczych szczytów – Piku Fedczenki (5409 m) i Piku Szczurowskiego (5560 m). Następnie wyprawa miała przenieść się w masyw zaałajski i wejść na Pik Lenina (7134 m). Tak więc nasza działalność została podzielona na dwa zupełnie odmienne etapy.

W rejon lodowca Zerawszańskiego mieliśmy dotrzeć w sposób niewiele różniący się od tego, jakim przemierzali te tereny ich odkrywcy. „Karawana" – wystarczy usłyszeć to słowo, a wyobraźnia podsuwa egzotyczne obrazy. Wynajmowanie zwierząt jucznych – koni, osłów zwanych iszakami, przygotowanie dla nich ładunków, wreszcie sam domarsz – wszystko to stanowiło wstęp nie mniej fascynujący niż działalność górska.

Zupełnie inaczej zaplanowano drugi etap. Uczestnicy wraz z ładunkami mieli dotrzeć ciężarówką lub helikopterem do obozu „Wysotnik", położonego u stóp Piku Lenina. Stały, znakomicie zorganizowany obóz oraz zinstytucjonalizowana działalność górska odebrały temu etapowi posmak wielkiej

przygody. Pod Pikiem Lenina zdecydowano i zaplanowano za nas, a naszym jedynym zadaniem było wejść na szczyt.

Z Warszawy wylecieliśmy 2 lipca. Jestem podekscytowana. Dla mnie wyjazd w góry wysokie to jednocześnie pierwsze zetknięcie z Azją. A wrotami do Azji staje się Taszkent.

Po wylądowaniu w Taszkencie czekamy na Rosjan, którzy tego samego dnia mają przylecieć z Nowosybirska, oraz na Bułgarów, również zaproszonych przez „Vertikal". Krótkie zwiedzanie miasta i załatwianie samochodu na dalszą drogę.

Około 17 kończymy ładowanie bagażu i ruszamy. Obiad mamy w miejscowości AłmaŁyk, leżącej nad rzeką Achangararan – dopływem Syr-Darii. Nocleg wypada na nieznanej z nazwy przełęczy w paśmie kuramińskim, oddzielającym Dolinę Fergańską od Taszkenckiej. Długo nie możemy zasnąć. Śpimy w śpiworach, na materacykach, pod wysokim, rozgwieżdżonym niebem, jakby wyższym niż u nas, może z racji czystszego powietrza.

Następnego dnia w Kokand mijamy Syr-Darię. W Kokand postój. Idziemy do *czajchany*. Podają nam zieloną herbatę *w pialkach*, małych miseczkach, które trzyma się oburącz, by jak najdłużej zachować ciepło napoju. Na obiad dostajemy *manpar* – potrawę przypominającą zupę jarzynową, której głównymi składnikami są pomidory, cebula, papryka, ziemniaki, kawałki mięsa i mnóstwo przypraw. Najedzeni wyruszamy na bazar. Pierwszy wschodni bazar, jaki widzę. Konfrontacja wyobrażeń o baśniowych bazarach Wschodu z rzeczywistością nie przynosi rozczarowania. Obfitość owoców, warzyw, najprzeróżniejszego jedzenia, barwne stroje handlarzy i kupujących, unoszące się nad targowiskiem przedziwne zapachy. Kupujemy tylko melony i arbuz na drogę i ruszamy dalej.

Jedziemy wzdłuż rzeki Soch. Mijamy granicę Republiki Uzbeckiej i Kirgiskiej. Okolice, początkowo pustynne równiny, stają się coraz bardziej pagórkowate. Daleko przed nami rysuje się pasmo gór. Rzeka Soch przecina ogromnym kanionem wzgórza. Jedziemy jej brzegiem do miejscowości o tej samej nazwie, potem do Kan. Przed Kan zmyliliśmy drogę. Cały czas jechaliśmy dopływem Soch, pewni, że jedziemy wzdłuż głównego koryta. Okolice pustynne, całymi godzinami nie spotykamy ludzi, żadnych drogowskazów na drodze nie ma. Zresztą „droga" to też określenie raczej umowne. Docieramy w końcu do Zardale.

W miejscu nazwanym przez nas „Iszak Camp” rozładowujemy bagaż, dzieląc go na dwie części – żywność i sprzęt na teraz, i reszta na działalność pod Pikiem Lenina. Wieczorem chcemy rozpalić ognisko, ale skąd wziąć drewno? Na pustyni, u podnóża bezleśnych gór? W świetle latarek znajdujemy jednak w różnych miejscach patyki i to w sporych ilościach. Rankiem okazało się, że przez przypadek zdewastowaliśmy cmentarz muzułmański.

W miejscach pochowania zmarłych nie było żadnych nagrobków, a jedynie kamień lub wbity w ziemię patyk, niekiedy z przywiązanym kawałkiem szmatki.

5 LIPCA. Dalszy ciąg dzielenia ładunków. Rezerwa zostaje odtransportowana ciężarówką, pozostała część zostanie załadowana na iszaki i konie, które niebawem mają być doprowadzone. Około 16 przyprowadzono pięć iszaków. Ładujemy skrzynie i worki na grzbiety zwierząt. Kirgiz Taszawaj uczy nas, jak juczyć iszaki, jak je poganiać i zatrzymywać. Pierwsze iszaki niosą lżejsze ładunki, następne mają już po 100 kg na grzbiecie – prawie tyle, ile ładowano na konia. Norma wynosi 70 kg, mniej więcej ciężar człowieka. Ale nie było wyjścia, gdyż w wiosce nie mogliśmy wynająć więcej zwierząt jucznych.

Pierwsza grupa, wyruszająca z Iszak Camp, to Halina i Tadek, Bułgarzy-Metody i Stojanka oraz Rosjanie – Kuzniecow, Rais, Rapaport i Tania. Zabierają ze sobą trzy iszaki. Pozostałe idą z drugą grupą, w której są Wojtek, Janek, Bogdan i ja oraz Rosjanie – Edik Mogilewski, Igor Mieszków i Kirgiz Taszawaj. Mamy dojść do miejsca przeznaczonego na bazę, leżącego na wysokości 2500 metrów po lewej stronie rzeki Ak-Terek, nieco powyżej miejsca, w którym wpływa do niej potok zbierający wody z lodowca Utron. Miejsce to zostało wybrane wcześniej, w czasie rekonesansu Rosjan w związku z zamiarem eksploracji Grzbietu Turkiestańskiego od strony lodowca Zerawszan. Plan przewidywał dojście do bazy w ciągu niedzielnego popołudnia i całego poniedziałku, ale wyprawa rozproszyła się na kilka grup, z których każdą zatrzymała jakaś przygoda.

Po noclegu w Zardale nasza grupa idzie dalej na głodno, jedzenie dla wszystkich niesie bowiem inna grupa, w odległości kilku godzin drogi przed nami. W południe znajdujemy trochę jedzenia pozostawionego dla nas przez pierwszą grupę. Spotykamy się dopiero wieczorem na biwaku w wiosce Elbiek. W nocy pogoda pogarsza się, nad ranem pada deszcz. Nasza grupa decyduje się odciążyć nieco iszaki, aby móc zwiększyć tempo marszu. Idziemy zboczem kanionu, bardzo wąską ścieżką. Ledwo mieści się na niej iszak z bagażem. Osły instynktownie idą skrajem ścieżki, tuż nad przepaścią, by nie zawadzać ładunkiem o skały. Jednemu z naszych nie udaje się, zaczyna spadać. Ktoś zdołał go przytrzymać, ale dwie skrzynki lecą do rzeki. Edik biadoli, że straciliśmy wszystkie zupy. Idący o dzień drogi za nami Zawada i Franczuk tracą iszaka, który spadł do rzeki i utonął.

7 LIPCA. Podchodzimy do *letowki* Matcza. *Letowka* to zamieszkana latem osada pasterska, składająca się z kamiennych chat. W pobliżu *letowki* zakładam bazę. Wyrównując teren pod namioty, podnosimy kamienie. Trzeba to robić ostrożnie. Edik ostrzega przed ukrywającymi się pod kamieniami skorpionami. W ten dzień i przez następne kursujemy wahadłowo między bazą a Elbiek i niżej położonymi wioskami, aby donieść resztę ładunków.

9 LIPCA. Mży deszcz. Z bazy wychodzą prawie wszyscy w dół, naprzeciw podchodzącym, by pomóc w transporcie. Ja pozostaję w bazie. Udaję, że zwichnęłam nogę, chcąc ukryć rzeczywistą przyczynę bólu. Po kilkudniowym marszu z ponad 20-kilogramowym obciążeniem złamana w Norwegii noga nie wytrzymała. Silny ból uniemożliwia mi chodzenie. Obawiam się, że przyznanie się do przewlekłych skutków dawnej kontuzji może wyeliminować mnie z akcji. Toteż zwichnięcie nogi wydaje się bezpieczniejsze.

10 LIPCA. Rano ustalamy plan: grupa składająca się z ośmiu Polaków i ośmiu Rosjan przejdzie przez przełęcz Matcza (4000 m) i założy bazę wysuniętą na lodowcu Zerawszan. Z niej będzie atakować szczyty leżące w graniach bocznych, odchodzących od grani grzbietu Turkiestańskiego – Pik Szczurowskiego i Pik Fedczenki.

11 LIPCA. Wychodzimy z *letowki* Matcza o 8 rano. Mijamy ostatnie osady pasterskie. Ich mieszkańcy częstują nas *ajranem* – zsiadłym mlekiem owczym. Iszaki z ładunkiem wyprawy mogły dojść tylko do początku lodowca spadającego z przełęczy Matcza, czyli do wysokości 3400 m. Potem Tadek i Tola sprowadzają iszaki na dół, a my rozpoczynamy transport wahadłowy na własnych plecach. Wieczorem wracają Tadek i Tola. Biwakujemy na wysokości 3850 metrów. W nocy wieje wiatr, przynosząc opady śniegu. Temperatura około 3-4°C.

12 LIPCA. Ranek pochmurny, ale później rozjaśnia się. Przełęcz Matcza ukazuje się w całej okazałości. Zbocza przełęczy to lodowiec – stromy, poprzecinany szczelinami, kończący się ogromnym nawisem śnieżnym. Trzeba będzie przekopać się przez nawis i założyć linę poręczową. Przełęcz Matcza jest rozległa, łagodnie opada w stronę lodowca Zerawszan, który szerokim i płaskim jęzorem spływa kilometrami w dół. Schodząc z przełęczy, po godzinie docieramy do kamienistej moreny na lodowcu. Tu będzie baza wysunięta. Z ulgą zrzucam plecak. Noga wciąż boli.

13 LIPCA. Pakuję rzeczy do wyjścia na Pik Szczurowskiego. Mój zespół to Halina, Wojtek i Andrzej. Planujemy zdobywanie szczytu od strony południowo-wschodniej. Będziemy podchodzić lodowcem Mir Amin. Zespół drugi – Jaś Franczuk, Bogdan, Martynow i Edik – zaatakuje ten sam szczyt północną granią, podchodząc również lodowcem Mir Amin. Trzeci – Tadek, Janek Kiełkowski, Jura i Tola – podchodząc lodowcem Skaczkowa, zaatakuje Pik Fedczenki. Czwarty – Wołodia, Galina, Erik i Jurij – planuje wejście na łatwiejsze szczyty – Igłę (5301 m), Obryw i Bajżan.

Dzień jest słoneczny, może dlatego nasze plany wydają się tak realne, choć czasu mamy niewiele, a żywności starczy na 6 do 8 dni. Najbliższe dni nie potwierdzają przedwczesnego optymizmu. Huraganowy wiatr i zawieja śnieżna zastają nas wysoko. Widoczność zła. Ze skalnych uskoków sypią się na nas pyłówki. Coś grzmi. Lawiny?

Prowadzi Wojtek na zmianę ze mną. Teren staje się coraz trudniejszy. Pod kolejnym uskokiem grani czekamy na drugą dwójkę, by zastanowić się wspólnie, co robić – walczymy czy wracamy? Andrzej mówi: – Idziemy dalej. Ale nie kwapi się do prowadzenia. Wojtek zastanawia się w milczeniu. Ja boję się zejścia. Im później nastąpi, tym będzie niebezpieczniejsze. Wracamy. Odwrót z 5300 metrów jest dramatyczny. Pole śnieżne wyprowadzające na grań stało się pułapką. Już je przecinają tory lawin. Z trudem docieramy do miejsca biwaku. Odkopujemy namiot spod zwałów śniegu, wyciągamy rzeczy, mokre i ciężkie, z trudem pakujemy je do plecaków.

W ponurych nastrojach, przygnębieni niepowodzeniem, schodzimy lodowcem Mir Amin do bazy. Na lodowcu, w bezpiecznym miejscu, krótki odpoczynek. Znów wleczemy się w dół, niewyspani, zmęczeni i głodni. Zejścia są łatwiejsze, jeżeli osiągnęło się cel. Schodzenie z poczuciem porażki jest podwójnie ciężkie. Spotykamy zespół drugi, przymierzający się do Piku Szczurowskiego od północy. Przeżyli to samo co my – beznadzieja oczekiwania, niemożność zrobienia czegokolwiek, przygnębienie. Początkowo – jak opowiadał Jaś Franczuk – nie nudzili się, oczekując na poprawę pogody. Rozmawiali „o życiu”, opowiadali dowcipy, śpiewali. Jednak nie na długo starczyło im humoru…

Udało się tylko zespołowi trzeciemu – tym z Piku Fedczenki. Byli chyba twardsi, potrafili więcej zaryzykować. Pik Fedczenki został zdobyty.

W bazie dyskusja – co dalej? Ponowić atak na Pik Szczurowskiego? Wydawało mi się, że wprawdzie krucho z jedzeniem, ale powinno go wystarczyć na drugą próbę wejścia. Ale benzyna?… Benzyna skończyła się i to przesądziło sprawę. Wracamy do *letowki* Matcza. Odchodzę na bok – ze złości mam łzy w oczach. Ale nie było szans na zmianę decyzji. Nagła bezradność człowieka uzależnionego od zwyczajnych drobiazgów, kiedy jest przygotowany na zmaganie z górami, niepogodą, własną słabością. Źle wyliczona ilość benzyny sprawiła, że Pik Szczurowskiego pozostał dziewiczy.

Czy musiało tak się zakończyć? Może tam, pod szczytem, należało zaryzykować? Czuję żal do siebie i innych, że żadne z nas – pragnących przecież zdobyć szczyt – nie umiało powiedzieć: „Idziemy. Ja prowadzę”. A na Piku Fedczenki któryś z czwórki pewno tak powiedział. Rosjanie zaś zdobywający Igłę, Obryw i Bajżan może nawet nie zastanawiali się, tylko po prostu poszli. Poszli i zdobyli swoje szczyty, ale ich powrót do bazy był rozpaczliwy. Wygłodzeni i wyniszczeni, zmęczeni do ostatka, przyprowadzili na linie oślepłego kolegę. Wspinał się bez ciemnych okularów i rozproszone przez mgłę promienie słoneczne poraziły mu oczy.

Podziwiałam ich. W ich dzielności sporo było wiary w to, że wytrzymają wszystko. Mieli gorszy sprzęt i odzież, ale wykazywali niezwykłą odporność na głód, zimno, zmęczenie i niewygody. Ale cel w górach, nawet najtrudniejszy, można osiągnąć spokojnie, rozważnie, planując i organizując akcję. I tak zagrożenie życia w górach jest duże. Po co na starcie stwarzać sytuacje, w których trzeba będzie o nie walczyć? Wydawało mi się, że alpiniści radzieccy góry traktują jak wielką, romantyczną przygodę, szkołę męstwa, próbę charakteru i przyjaźni. I o tym śpiewają w swoich alpinistycz-

nych piosenkach. U Włodzimierza Wysockiego – piosenkarza rosyjskiego, twórcy wielu górskich ballad – wygląda to bardzo prosto:

Jeśli drug okazałsa wdrug
I nie drugi nie wrag, a tak
Jeśli skoro nie razbieńosz
Płoch on ili charosz
Parnia w gory bieri, tiani…

A więc, jeżeli poddawany sprawdzianowi delikwent wspina się dzielnie mimo przeciwności, nie okazuje strachu, z poświęceniem asekuruje partnera, to pomyślnie zdaje egzamin na przyjaciela i można na nim polegać.

„Bohaterstwo w górach", „męska, twarda gra", „braterstwo liny" – to wciąż pojęcia wiele dla alpinistów radzieckich znaczące, niepodważalne. Był to alpinizm heroiczny, traktowany jako sposób na życie. Tak odbierałam ich piosenki, rozmowy, styl chodzenia po górach.

Dla nas w alpinizmie ważniejsze były przeżycia indywidualne. Chodziło nam o wzbogacenie osobowości, a nie o jej sprawdzanie. Rosjanie byli wspaniali w gestach spontanicznych, w gotowości oddania wszystkiego innym. Dla przyjaciół serca mieli na dłoni.

W drodze pod Pik Lenina docieramy do alpinistycznej bazy w Osz, ponadstutysięcznym mieście w Kirgiskiej SRR. Tam czeka na nas wiadomość, że grupa polskich wspinaczy z Klubu Turystów Górskich z Warszawy weszła na Pik Lenina. W grupie tej jest Zosia Szajuk, która jako pierwsza Polka przekroczyła wysokość 7000 metrów. Cieszymy się z Haliną w sposób umiarkowany. Czujemy się pokonane, mimo że naszym celem było przede wszystkim sprawdzenie się na wysokości i przygotowanie do wyprawy planowanej na rok następny, a nie rekord.

Z Osz ciężarówka dowozi nas do Doliny Ałajskiej. Tutaj, pod Pikiem Lenina, znajduje się stały, sezonowy obóz alpinistyczny „Wysotnik". Na wielkiej równi, na wysokości 3600 metrów, u początku lodowca spływającego z północnych stoków Piku Lenina, stoi mnóstwo namiotów. Małe dla uczestników i duże gospodarcze. W centralnym punkcie obozu stoi wysoki maszt, na którym powiewają flagi krajów, z których pochodzą przebywający tu alpiniści.

Po wcześniejszej akcji w Pamiro-Ałaju sprzęt i żywność mamy w nienajlepszym stanie. Przenoszenie się z jednego miejsca akcji w drugie zawsze wprowadza bałagan. Zniszczone, mokre namioty, zniszczony sprzęt, niedobory jedzenia. To najlepsze pozostawia się na wejście szczytowe. Teraz trochę pościmy. W końcu udaje nam się jakoś zagospodarować. Stajemy się integralną częścią obozu „Wysotnik", automatycznie podlegając jego regulaminowi. Zaczyna się on od powitalnego ustawienia w *liniejkę*, czyli szereg, zdania raportu przez kierownika naszej grupy i krzyknięcia trzy razy: *Priwiet! Priwiet! Priwietl*

Tak oto w bezpośredni sposób poznajemy organizację radzieckiego alpinizmu, który jest tam sportem masowym. Inaczej niż u nas. Tatry stanowią mikroskopijną część obszaru Polski, taterników jest około 5000, a wspinających się systematycznie zaledwie 1000. W Związku Radzieckim, gdzie jest Kaukaz, Pamir, Tien-Szan i wiele in-

nych gór, wspinają się setki tysięcy osób. Robią to w ramach działalności klubów zrzeszonych w Federacji Alpinizmu lub przez związki zawodowe, które zamiast skierowań na wczasy wydają chętnym *putiowki*, czyli delegacje do obozów alpinistycznych.

W Polskim Związku Alpinizmu prawie nie ma zawodowych działaczy i organizatorów alpinizmu, ich funkcje pełnią sportowcy alpiniści. Przyzwyczajeni do samodzielnej działalności w górach, nie mogliśmy nadziwić się, jak wielu było tu kierowników, czyli *rukowaditielu wypuskajuszczych, starszych trenierow, rukowaditieli waschażdienija*, instruktorów i *diżurnych woobszczie*. Kierownicy sprawdzają kwalifikacje tych, którzy planują wejście – czy mają odpowiedni *razriad*, czyli stopień…

Droga przez Skały Lipkina, którą mamy podchodzić, oceniona jest na V, a więc należy mieć *razriad* drugi lub pierwszy oraz zaliczone *rukawodstwo*. Jest to droga dla wspinaczy mających nie tylko określony stopień umiejętności, ale również doświadczenie kierownicze. Trójka Rosjan z „Vertikalu", aby uzyskać zgodę na Pik Lenina, musiała uzupełnić swe kwalifikacje i wejść na inny szczyt w pobliżu „Wysotnika".

Po sprawdzeniu formalnych uprawnień trzeba było jeszcze poddać się badaniom lekarskim. Odbywały się one nie tylko przed samą akcją na Pik Lenina, ale i przed pierwszym wyjściem w góry na *zabroskę*. *Zabroska* to wyniesienie na pewną wysokość sprzętu, żywności i paliwa, a następnie powrót do obozu.

Z racji wieku nie dopuszczono do wejścia na Pik Lenina pięćdziesięcioośmioletniego Martynowa, cieszącego się dużym szacunkiem i autorytetem wśród wertikalowców i polskiej grupy. Martynow jednak był uparty i postanowił iść z inną grupą. Kierownictwo postawiło warunek, że będą mu towarzyszyli dwaj lekarze. Pod wierzchołkiem Piku Lenina lekarze prawie padli, a Martynow w znakomitej formie osiągnął szczyt. Schodził w dół, znacznie wyprzedzając lekarską asystę.

Z naszymi kwalifikacjami sytuacja była niewyraźna. W końcu jako delegację sportowców polskich uznano nas za *mastierow sporta*. Gorzej wypadły badania lekarskie. Jaś Franczuk, na nizinach nieustannie przeziębiony, im wyżej się znajdował, tym lepiej się czuł, choć lekarzom trudno było w to uwierzyć. U Haliny wykryto arytmię serca, ale uznano, że unormuje się przy wysiłku fizycznym. Do mojej nogi lekarz nie miał zastrzeżeń, bo nie przyznałam się, że pobolewa. Wiedziałam, że przy chodzeniu po śniegu w wyższych partiach nie będzie tak bolała jak przy stąpaniu po kamieniach. W końcu dopuszczono nas wszystkich do wejścia.

Do zwyczajnego toku postępowania po wejściu na szczyt i powrocie do obozu należy *razbor*, w którym uczestniczy grupa biorąca udział w *waschażdienii* i kierownictwo obozu. Podczas *razboru* wytyka się wszystko, co zostało źle przeprowadzone. Olegowi Gribiennikowi, kierownikowi wejścia naszej grupy na Pik Lenina, zarzucono później, że był zbyt bierny, ale zaliczono mu *rukawodstwo*. Zaliczono je również uczestnikom wejścia. Każdy z alpinistów ma coś w rodzaju indeksu, w którym zapisuje się wejście, datę, nazwisko kierownika i to wszystko potwierdza pieczątka. Nam też chcieli ją przystawić, ale podziękowaliśmy.

Ceremonia *liniejki* obowiązywała nie tylko przy powitaniach nowych uczestników obozu, ale również przy powrotach z gór. Na powitanie schodzących wybiegał kto

żyw z namiotów, ustawiał się w szereg i witał trzykrotnym okrzykiem. Tylko dwa razy w czasie naszego pobytu *liniejka* nie odbyła się – kiedy powrót kilku uczestników wejścia odbywał się na noszach oraz wówczas, gdy w „Wysotniku" pozostały tylko dwie albo trzy osoby, a z góry powróciło około pięćdziesięciu.

Mimo dyscypliny organizacyjnej zdarzają się, jak wszędzie, wypadki burzące ustalony porządek. Dwóch turystów, nie pytając nikogo o pozwolenie, weszło na Pik Lenina. Pomieszali kolejność wejść i narobili bałaganu przy numerowaniu odznak przyznawanych za osiągnięcie szczytu. Innym przykładem był Giena, lekarz naszej wyprawy. Miły, cichy, niewiele mówiący, niepokaźny. Nie został dopuszczony do wejścia, choć na *zabrosce* był jeszcze z nami. Po powrocie do obozu zorientował się, że zapomniał na górze swoich dokumentów. Wrócił więc po nie i od wysokości 3600 do 5200 m przez lodowiec ze szczelinami szedł sam, w krótkich spodenkach i *tapoczkach*, czyli tenisówkach. Spokojnie wrócił do bazy i wyjechał pierwszym przygodnym samochodem. Ale to się wydało. Edik, jako *rukowaditiel* miał być za karę niedopuszczony do wejścia. Udało się jednak wytargować odwołanie tej kary. Natomiast Martynow i Mieszków otrzymali naganę. Tym razem zakończyło się nienajdalej idącymi konsekwencjami. Za różne przewinienia, bezpośrednie i z tytułu odpowiedzialności zbiorowej, można bowiem zostać zdegradowanym nawet ze stopnia *mastiem sporta* do stopnia najniższego i karierę alpinistyczną zaczynać od początku.

1 SIERPNIA. Obóz „Wysotnik". Nastroje w polskiej grupie nie są dobre. W górach znajdujemy się po raz pierwszy w tak niezwykłej dla nas sytuacji. Nie bardzo orientujemy się, co mamy robić, dokąd pójdziemy, co zabierzemy ze sobą. O tym wszystkim decydują gospodarze, ale informacje docierają do nas powoli, poza tym są niekompletne. Andrzej Zawada nie może być pośrednikiem, bo nie zna rosyjskiego. Zastępuje go Bogdan Jankowski, ale ograniczony do jednej osoby „kanał informacyjny" jest zbyt wąski. Czekanie to nasze główne zajęcie w tych dniach.

Po paru dniach nareszcie coś wiadomo. Część uczestników obozu ma wyruszyć samochodem do Łukowej (Cebulowej) Polany, zabierając wszystkie bagaże. Samochód wyjeżdża bardzo wcześnie, bo około 5.30. Pozostali, a między nimi Polacy, w tym samym czasie podejdą do Łukowej Polany pieszo. Dalej obie grupy pójdą razem. W rzeczywistości wyruszyliśmy godzinę później, niż było zaplanowane, gdyż porządkowaliśmy obóz, który wyglądał, jakby przeleciał nad nim huragan.

O 8.15 dochodzimy do pozostawionych przez pierwszą grupę plecaków, w których jest żywność na cztery dni akcji oraz racja przeznaczona na wejście szczytowe. Tę drugą część chcemy zostawić na wysokości 6100 m. Przewidujemy, że żywności wystarczy na pięć dni działalności górskiej. Plecaki ważą około 25 kg.

Na Łukowej Polanie naprawdę rośnie dzika cebula. Żując zielone, soczyste pędy, rozpoczynamy podejście. Po przejściu przez Przełęcz Podróżników (4000 m) o 14.30 dochodzimy do miejsca, w którym pierwsza grupa rozstawiła obóz na lodowcu. Wita nas Igor Mieszków, ostro i nieprzyjemnie strofując naszą grupę: – Jak można dochodzić do miejsca biwaku w trzy godziny później niż pierwsza grupa!

Nieoczekiwana agresja i niesprawiedliwość poruszyła nawet Bogdana Jankowskiego, który w nasze wyprawowe życie wnosił dotychczas spokój, umiar, stwarzał na-

strój ciepła prawie domowego. Starał się zawsze pozostawać w cieniu, ale szybko stawał się kimś, z kim się liczono i kogo ceniono. Zawsze spokojny i nieklnący, teraz odpowiada agresywnie i ostro, wyjaśniając, że nasze opóźnienie było spowodowane porządkowaniem obozu po tych, którzy wyruszyli wcześniej. Poza tym część naszej grupy w czasie podejścia miała kłopoty żołądkowe, niektórzy wymiotowali. To po bardzo tłustej baraninie, którą zjedliśmy przed wyjściem.

Oleg Griebiennik, kierownik wejścia, przedstawia plan dalszej akcji. Następnego dnia mamy podejść na wysokość 5200 m przez Skały Lipkina. Tam rozstawimy namioty, a dopiero potem pójdziemy na 6200 m, gdzie zrobimy skład. Oleg proponuje zmniejszyć ciężar plecaków zespołu kobiecego, dźwigamy bowiem tyle samo co mężczyźni – po 24-25 kg. A w ogóle proponuje, aby zlikwidować kobiecy zespół, ponieważ jego samodzielność jest fikcją.

Zespół kobiecy to Halina, Stojanka, Kira Griebiennik i ja. Według założenia, ustalonego z kierownictwem przeze mnie i Kirę, mamy same wnieść to, co będzie potrzebne czterem osobom w czasie wejścia. Rozstawienie namiotu, gotowanie, likwidowanie biwaku – cały ten nieefektowny trud wejścia – też mamy ponosić samodzielnie, bez pomocy kolegów. Halina i Stojanka nie palą się do tego, więc Kirze i mnie nie pozostaje nic innego, jak oddać po 10 kg kolegom, odciążając się na czas *zabroski*.

2 SIERPNIA. Po ciepłej nocy dzień jest pogodny. Wychodzimy o 5 rano, a już o 7.15 – po 900-metrowym podejściu stromym, lodowym kuluarem – dochodzimy do Skał Lipkina. Odpoczywamy, przepakowujemy rzeczy i około 8.30 nasze kierownictwo planuje – wbrew uprzednim ustaleniom – dalsze podchodzenie do góry.

Daleko nie zaszliśmy. Śnieg, początkowo twardy, staje się coraz miększy. Słońce odbiera siły, słabniemy z minuty na minutę. Odwodnieni, przygnieceni plecakami, wleczemy się, zapadając się w śnieg. W odstępach kilkugodzinnych złazimy się wszyscy na 5400 m. Odpoczywamy, gotujemy. Wojtek Jedliński i Wołodia Prokopienko chcą iść dalej, nawet aż do szczytu. Słabsi protestują. Po dyskusji jednak zostajemy. Rozstawiamy cztery namioty czteroosobowe, w których ma się pomieścić 21 osób. Panuje kompletny chaos żywnościowy. Nie mamy prymusa, nie możemy samodzielnie gotować.

Przyłączamy się do 7-osobowej grupy Rosjan. Denerwuje to Halinę, gdyż zrobił się olbrzymi, jak na te warunki, 11-osobowy „kołchoz”. Odchodzi do mniejszej, polskiej grupy. Tymczasem Igor nie odmawia sobie przyjemności stwierdzenia, że dobre tempo dzisiejszego dnia to rezultat wczorajszej *politroboty*. Do wieczora pogoda jest słoneczna, ale w nocy zaczyna wiać wiatr. Rano budzimy się w zadymce.

3 SIERPNIA. Ta sama wysokość. Nadal silny wiatr. Wracamy do bazy.

4 SIERPNIA. Dzień spędzamy w „Wysotniku”. Pada deszcz ze śniegiem. Dla nas to dzień kondycyjny. Odpoczywamy.

5 SIERPNIA. Rozpogadza się, choć wiatr wciąż wieje. Polski dzień w kuchni, gotujemy obiad dla całej ekspedycji. Reszta dnia upływa na pracach porządkowych i przygotowaniach do wyjścia. Wieczorem badanie lekarskie kwalifikujące do wyjścia. Tym razem na Pik Lenina.

6 SIERPNIA. Pierwszy dzień akcji. Do miejsca biwaku na lodowcu docieramy już o 14. Bardzo dobre tempo, dużo lepsze niż poprzednio. Podział na trzy grupy 8-, 9-osobowe. Kobiecego zespołu nie ma. Plan na dzień następny: szybkie wyjście między 6 a 7.30. Wychodzimy jednak później. To ostatni biwak, na którym możemy się jako tako wyspać. Wieje bardzo silny wiatr, jest zimno, choć słonecznie.

7 SIERPNIA. Docieramy do pozostawionych rzeczy, przepakowujemy je. Dochodzimy do trawersu w lewo, na wysokość 5700 m. Wiatr i mróz stopują nas.

8 SIERPNIA. Przy bardzo silnym wietrze, po około dwóch godzinach wychodzimy na skalny filar. Zwalający z nóg wiatr uniemożliwia dalsze podejście. Ledwo utrzymuję równowagę na stromym, kamienistym stoku. Znów biwak, tym razem na 5950 m. Nie osiągnęliśmy zaplanowanego celu – połogiej grani Piku Lenina, zaczynającej się na wysokości 6400 m. Opóźnia to akcję o jeden dzień.

9 SIERPNIA. Wiatr nie pozwala na wczesne wyjście z biwaku. Dopiero około 13 jesteśmy na długiej, łagodnie wznoszącej się grani, którą będziemy zmierzać do szczytu.

Każdy idzie swoim tempem, ja gdzieś pośrodku rozciągniętego węża podchodzących. Wiatr jest silny, ale świeci słońce, nadając złotoróżowy kolor śniegom. Zatrzymujemy się na wysokości 6600 m. Mija nas piątka Rosjan schodzących ze szczytu. Przed atakiem przeczekiwali jeden dzień. Wiatr podarł im namiot. Tylko tych pięciu z kilkunastoosobowego zespołu weszło na szczyt. Słucham ich opowiadania i zaczynam odczuwać coś w rodzaju tremy.

Przed pójściem spać oglądam przy zachodzącym słońcu widoki z grani. Trzęsę się z zimna, wiatr przewiewa na wskroś, ale nie chcę wchodzić jeszcze w ciasnotę namiotu. Wolę nie myśleć, że jutro wyjście na szczyt. Szczyt siedmiotysięczny. Usiłuję wytłumaczyć sobie, że jutro czeka nas zwykłe, normalne podchodzenie pod górę, a nie jakieś nadzwyczajne wydarzenie. Przed nami na Piku Lenina było już prawie 1000 osób.

10 SIERPNIA. Wszystkie czynności poprzedzające wyjście wykonujemy bardzo starannie, ale nie udaje się uniknąć nerwowości i pośpiechu. Nie pamiętam, w jaki sposób doszło do dyskusji z Andrzejem Zawadą. Przekonuję go o konieczności zabrania namiotu i pozostawienia na 6800 m, tam gdzie zazwyczaj biwakują zespoły atakujące szczyt. Wojtek Jedliński nie czuje się dobrze. Nie można wyruszać z biwaku na 6400 m, nie mając zabezpieczonego odwrotu ze szczytu. Między biwakiem na 6400 m a biwakiem na 6800 m jest niewielka różnica wysokości, ale parę kilometrów odległości w poziomie. Długa grań może stać się pułapką dla wyczerpanych wejściem alpinistów.

Andrzej zgadza się, ale zachwycony nie jest, bo przez ten namiot zostajemy daleko za czołówką. Doganiamy ją przed masywem szczytowym, w dość płaskim miejscu, gdzie zostawiamy namiot. Patrzę w stronę szczytu. Pełzną nań maleńkie z tej odległości sylwetki ludzi. Każdy stara się iść, maksymalnie oszczędzając siły. Każdy swoim tempem, w zupełnej rozsypce. Wśród idących kilka osób wyróżnia się spowolnieniem ruchów, co jest spowodowane reakcją na brak tlenu w powietrzu – na tej wysokości jest go tylko połowa.

Jaś Franczuk ma dziś swój dzień. Idzie jak maszyna, prowadzi cały peleton do góry. Razem z Jankiem, Tadkiem i Bogdanem zakłada dla następnych podchodzących linę poręczową na ostatnich metrach stromego, lodowego podejścia.

Początkowo idę dość szybko. Doganiam środek peletonu. Mimo że nie jest ważne, kto będzie pierwszy i w jakiej kolejności dojdziemy do szczytu, zabieram się do dalszego wyprzedzania. Mijam Halinę i Wojtka, który czuje się źle. Nieoczekiwanie dla samej siebie, jakieś 100 metrów przed szczytem czuję, że jest mi coraz trudniej. Typowy objaw „zatkania". Za szybko poruszałam się dotychczas. W mięśniach powstał głód tlenowy. Nie mogę dotrzymać kroku Andrzejowi, który powoli oddala się. Ostatnie 30 metrów liczę kroki, powtarzam kolejne liczby, co kilkanaście kroków odpoczywam. Oby ten stok wreszcie się skończył! Staram się nie podnosić głowy, by nie widzieć, że to jeszcze nie koniec. Wreszcie osiągam szczyt i… zaczynam wymiotować. Mało uroczyście zdobywam swój pierwszy siedmiotysięcznik.

Dopiero po kilkunastu minutach wraca dobre samopoczucie, zmęczenie ustępuje. Rozglądam się wokół. Na szczycie stoi tablica pamiątkowa z wyrytą nazwą szczytu i jego wysokością. Ze śniegu wystaje kilka niewielkich popiersi Lenina.

Zostawiamy *zapiskę*, w której podajemy nasze nazwiska, datę i godzinę wejścia. Ze szczytu zaś zabieramy informację poprzedników. To zwyczaj potwierdzający wejście. Znajdujemy list zostawiony przez jakiegoś alpinistę radzieckiego dla syna. Przeczyta go wówczas, gdy dorośnie i sam stanie na Piku Lenina.

Pierwszy siedmiotysięcznik nie dostarczył mi szczególnych wzruszeń. Było nas za dużo. W takim tłoku trudno o spotkanie twarzą w twarz ze szczytem. Fotografujemy się na tle tablicy – Wołodia, Andrzej i ja. Oni w puchowych kurtkach, ja tylko w anoraku, toteż wyglądam przy nich niepozornie.

Na dół schodzimy w błyskawicznie pogarszającej się pogodzie. Noc na wysokości 6800 metrów była koszmarem. Targane wiatrem podwójne ściany namiotu „Wysotnik" uderzały o siebie z łomotem niedającym się opisać, waliły po twarzach leżących wewnątrz. Nie dało się też zawiązać wejścia. Od naszych oddechów i pary z gotowania himalajski rękaw nasiąkał wilgocią i natychmiast zamarzał. Zrobiła się z niego bryła lodu. Nie sposób było zaciągnąć sznurka. W końcu machnęliśmy ręką i próbowaliśmy ułożyć się do spania.

Leżałam przy wejściu. Śnieg z zewnątrz przysypywał mnie nieustannie. Usiłowałam się jakoś przed nim chronić, przykrywając twarz anorakiem. Co pewien czas strzepywałam śnieg ze śpiwora. Ból głowy – od wysokości, hałasu, zapachu benzyny – długo nie dawał mi zasnąć.

Po tym upiornym noclegu zeszliśmy na dół. Na miejscu biwaku zobaczyłam nasz namiot, zapomniany przez kolegów. Doładowałam go do plecaka i już bez niespodzianek dotarliśmy do bazy.

W obozie bazowym nie było czasu na kontemplację i przeżywanie wejścia. Jestem trochę rozczarowana. Zbyt wiele było okoliczności, które odebrały mi radość z pierwszego siedmiotysięcznika. Już teraz, wpośpiechu pakowania, zanika więź łącząca zdobywców szczytu. Jedni spieszą do Nowosybirska, inni do Moskwy, my do Warszawy. Wspólna przygoda i przeżycia, które nas zbliżyły lub kazały – we wspólnym interesie

– zapomnieć o niechęci i antypatii, w bazie mają swój wyraźny kres. Teraz można już sobie pozwolić na ich okazywanie. Już nie jesteśmy od siebie zależni. Nie wróciliśmy jeszcze do życia, w którym obowiązują konwenanse i gdzie poruszamy się po własnych, niekrzyżujących się drogach. Tutaj jesteśmy zbyt blisko siebie, ciągle się o siebie obijamy.

Niechęć Haliny do mnie w końcu wyzwoliła się, widać zbyt wiele kosztowało powstrzymywanie jej. Nie daję się sprowokować do „walki wręcz" i agresji w odwecie. Trochę rozżalona i ciągle nierozumiejąca, wreszcie uświadamiam sobie prostą rzecz – przecież nie muszę się z nią wspinać!

Wyprawa w Pamir była zamierzona jako próba i przygotowanie przed wyprawą na Khunyang Chhish, ale dla mnie stała się odkryciem wyprawy jako organizmu społecznego. Wspinaczki odbywałam dotąd w małych, dwu-, trzyosobowych zespołach.

W takiej strukturze problemy występujące w większych zespołach nie miały miejsca lub były niezauważalne.

Na pierwszej wyprawie w góry wysokie doznania widokowe, kulturowe i sportowe, dzielone z innymi, zafascynowały mnie. Ale dostarczyła ona również wielu przykrych przeżyć i niewesołych odkryć, dotyczących mechanizmów działających w większych zbiorowiskach ludzi, wykonujących określone zadanie, w określonym czasie i scenerii, zobowiązanych do wzajemnej akceptacji.

Dobra organizacja działania tej społeczności jest największym problemem do rozwiązania. Układając plan, trzeba uwzględnić procent nieprzewidzianego, jakim w przypadku naszej wyprawy okazał się brak iszaków w wiosce, upadek kilku z nich, choroby.

Uczestnicy ogarniają jedynie fragmenty planu, tylko projektodawca zna go w całości. Wykonawcy widzą chaos i bezhołowie, podczas gdy kierownictwo – tylko pewien procent nieudanego. Ten rozdźwięk między ocenami jest tym większy, im gorsza wymiana informacji między kierownictwem a zespołem. Wyszło na jaw znaczenie drobiazgów, które w pewnych warunkach przestają być drobiazgami. Brak najzwyklejszych rzeczy, jak jedzenie i paliwo, przesądza o porażce. W codziennym życiu zapominamy o pierwotnym nakazie zapewnienia sobie przede wszystkim tych rzeczy. Zapominamy o głodzie, nie znamy swoich reakcji i reakcji innych ludzi na głód – podkradania konserw i chowania ich na „czarną godzinę".

Na wyprawie koleżeństwo, niekiedy chropawe i ostre, niekoniecznie zamieniało się wprzyjaźń, jak tego instynktownie pragnęłam. Uświadomiłam sobie, że ludzie w takich warunkach unikają tonów pośrednich, narzuconych przez kulturę, dobre wychowanie, ogładę. W górach cały czas jesteśmy ze sobą, widzimy się zbyt dobrze i oceniamy bezlitośnie. I nie możemy od siebie odpocząć. Zmniejsza się wówczas tolerancja na drobiazgi. Nie przypuszczałam że taki drobiazg, jak czyjeś „ciamkanie" przy jedzeniu, może przesłonić urok całego świata.

Nie byłam kłótliwa, agresywna ani krańcowo egoistyczna. Starałam się ofiarnie i rzetelnie wykonywać swoje obowiązki. Tę dyscyplinę wyniosłam ze sportów wcześniej uprawianych. Okazało się, że to za mało. Należało wciąż pamiętać, że jest się członkiem zespołu powiązanego subtelnymi nićmi, a w tej plątaninie nie można poru-

szać się niezgrabnie. Cechowała mnie wtedy prostota wyobrażeń o świecie i ludziach, nie zdawałam sobie sprawy z bardziej delikatnych powiązań między nimi, różnych przyczyn, zachowań i motorów działania – ambicji, antypatii, zazdrości, zawiści, innych pragnień pozagórskich, wspólnych lub różnych interesów.

Zespół wyprawowy to nie zespół, w którym wszyscy grają do jednej bramki według licznych i ścisłych reguł gry. W alpinizmie mało jest reguł dotyczących akcji, bo trudno je sformułować w stosunku do tak nieobliczalnego przeciwnika, jakim są góry. Kłótliwość i agresja uczestników mogą być złymi cechami charakteru, mogą też być cechami wtórnymi, reakcją na jakąś sytuację. Alpinizm jest sportem indywidualistów i wyprawa z nich się składająca wypracowuje sobie własne reguły dotyczące postaw, własne kryteria wartości i ocen ludzi. Dzięki temu „pozytywny uczestnik wyprawy" i „szwarccharakter" są rolami niekiedy wymiennymi, ten sam alpinista może jedną i drugą rolę grać na różnych wyprawach.

Każda duża, wieloosobowa wyprawa już w zarodku zawiera źródła przykrych doznań. Młodzi alpiniści, zafascynowani przede wszystkim wspinaczką, najczęściej z trudem odnajdują się na wyprawach, które – na szczęście! – na tym etapie mało ich pociągają. Do wypraw albo trzeba się urodzić, albo dojrzeć. Zbyt szybkie wejście w okres wyprawowy może do nich zniechęcić…

Początek pamirskiej przygody stanowiły dwa listy, trzeci zaś, przytoczony niżej, jej zakończenie i przekreślenie tego, co miało być kontynuacją Pamiru – Karakorum.

Klub Wysokogórski
Zarząd Główny
Warszawa, 18 XI 1970
Kol. Wanda Rutkiewicz

W nawiązaniu do pisma ZG z 15 IV 1970 r. informujemy, że na Plenarnym Posiedzeniu Zarządu Głównego 8 listopada br. rozpatrywany był skład osobowy przygotowywanej wyprawy centralnej w Himalaje-Karakorum w roku 1971. Z przykrością zawiadamiamy, że niestety nie znalazła się Koleżanka w zatwierdzonym składzie ostatecznym 12-osobowym wyprawy. Wyrażamy nadzieję, że dalsza działalność alpinistyczna Koleżanki stworzy inną okazję do wyjazdu w góry najwyższe w najbliższych latach, czego serdecznie Koleżance życzymy.

Z taternickim pozdrowieniem
Sekretarz
(–) Andrzej Kuś
Prezes

(–) Antoni Janik

Na wyprawę w Karakorum nie pojechała żadna alpinistka. Ale wówczas nie obeszło mnie to za bardzo. Po pamirskich doświadczeniach przez parę miesięcy po powrocie do kraju wyprawy w góry wysokie nie pociągały mnie.

ZNIKAJĄCY PUNKT

W 1972 roku warszawskie koło Klubu Wysokogórskiego zorganizowało swoją pierwszą, a ósmą z kolei polską wyprawę w góry wysokie – w Hindukusz. Celem był Noszak (7492 m) i szczyty w jego rejonie. Noszak zdobyła pierwsza powojenna wyprawa polska w góry wysokie w 1960 roku. Kierownikiem wyprawy był Bolesław Chwaściński. Ustanowiono wtedy polski rekord wysokości.

Wyprawa warszawska zamierzała wejść na ten szczyt innymi drogami – znaleźć przejście południowo-zachodnią ścianą oraz powtórzyć drogę zachodnią grzędą.

Wyprawą kierował Janusz Kurczab, czyli „Jano”, a uczestnikami byli: Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Ewa Czamiecka-Marczak, Jan Holnicki-Szulc, lekarz Jan Lewicki, Jędrek Łapiński, Andrzej Marczak, Janusz Onyszkiewicz – „Onyszek”, Andrzej Sikorski, Krzysztof Zdzitowiecki – „Pomurnik” oraz ja – w owym czasie jeszcze członkini wrocławskiego koła KW. Patronat nad wyprawą objął komitet honorowy, na czele którego stanęła dr Halina Skibniewska, wicemarszałek Sejmu.

Wyjazd w Hindukusz to zupełne przeciwieństwo Pamiru z 1970 roku. Stał się on wspaniałą przygodą, która zaczęła się już podczas podróży Starem A-29 przez Turcję i Iran do Afganistanu. Jednocześnie osiągnięcia sportowe przekroczyły nasze najśmielsze oczekiwania. Szkoda, że to nie wyprawa w Hindukusz była moją pierwszą wyprawą.

W skład naszej grupy wchodzili ludzie o podobnych kwalifikacjach i ambicjach, a postawione przed nimi cele były na ich miarę. Być może na dobrą atmosferę wpłynęło również to, że wyprawa liczyła tylko jedenaście osób.

Wyprawę organizujemy sami. Wydawało mi się naturalne, że każdy z uczestników rzuca wszystkie swoje sprawy i pracuje na jej rzecz. I tak właściwie było.

W tym czasie wyprawy działały trochę w nieuporządkowanej sytuacji, jeśli chodzi o przepisy i normy określające ich organizowanie. Dopiero utworzenie federacji klubów alpinistycznych wprowadziło porządek. Nastąpił wówczas podział imprez na centralne i środowiskowe. Zostali też wskazani odpowiedni sponsorzy. My szukaliśmy pieniędzy wszędzie, trochę po omacku.

„Mózg" wyprawy, czyli komitet organizacyjny, działał w Warszawie i zajmował się zdobyciem odpowiednich funduszy. Moim zadaniem było przygotowanie sprzętu, głównie puchowego, a także plecaków.

W organizację wyprawy wszyscy wkładamy sporo emocji i zaangażowania. Za cel postawiliśmy sobie Noszak, utożsamiając się całkowicie z tym celem. Był to bowiem okres, kiedy taki wyjazd mógł być pierwszym i ostatnim zarazem. Dlatego należało go jak najdokładniej przygotować i spróbować podczas niego przeżyć jak najwięcej. Po wyprawie w Pamir sądziłam, że potrafię wyobrazić sobie schemat działania wyprawy, organizację transportu, zakładanie obozów. Wyprawa w Hindukusz nie wydawała mi się skomplikowana. Wiadomo, o co chodzi i co trzeba zrobić. Jest to coś, co czuję od samego początku.

Przygotowanie sprzętu dla wyprawy… Niestety, nie polega ono na pójściu do sklepu, wybraniu odpowiedniego sprzętu i zapłaceniu. Nasze wytwórnie sprzętu sportowego nie są nastawione na alpinizm – ani wspinaczkowy, ani wyprawowy. Sprzęt powstaje według projektów alpinistów. Szycia śpiworów i kurtek, spodni puchowych i „nóg słonia" uczymy rzemieślnicze spółdzielnie pracy we Wrocławiu. Ale potrzebne są do tego odpowiednie materiały, puch. Szukamy więc materiałów nieprzepuszczających puchu, wodoodpornych, przepuszczających powietrze, a jednocześnie bardzo lekkich. Szukamy nawet takich drobiazgów, jak specjalne nici nylonowe do szycia plecaków z grubego ortalionu czy dakronu. Przy plecakach potrzebne są klamerki. Okazało się, że klamerki do plandek na samochody ciężarowe znakomicie nadają się i do naszych celów. Z kolei duralowe nosiłki do plecaków i worów transportowych wykonały dla nas zakłady produkujące anteny telewizyjne. W taki oto niekonwencjonalny sposób powstał sprzęt wyprawy.

Kiedy 31 lipca 1972 roku samochód wyprawy, wiozący uczestników i bagaże, po 29 dniach od wyjazdu z Polski dotarł do wioski Kazi Deh

w Badachszanie, licznik wskazywał 8020 kilometrów. Wcześniej, 10 lipca, była Ankara, 15 lipca – Teheran.

W Meszedzie dwa i pół dnia zajęła naprawa samochodu, 20 lipca zaś zameldowaliśmy się w polskiej ambasadzie w Kabulu.

Nie zapomnę spotkania z tym miastem. Zbliżaliśmy się do niego coraz bardziej, ale nasza wytrzymałość na jazdę również zbliżała się do kresu. Maltretowani ciasnotą i niewygodą, zaczadziali od spalin, ja na domiar wszystkiego nękana chorobą lokomocyjną…

Zapadał zmierzch. Nagle odsłonił się widok z górskiej drogi na położony w dolinie Kabul, ukryty między wzgórzami, gdzieniegdzie wspinający się na nie. Co najbardziej różni to miasto od miast europejskich, to światło i zapach. Luna nad Kabulem była ciepła, żółtawopomarańczowa, a nie zimna chłodem lamp jarzeniowych. W powietrzu unosił się słodki zapach dymu z ognisk, nad którymi piekły się kebaby i szaszłyki. Płonące w ogniskach drewno jałowca lub drzewa *arcza* sprawiało, że zapach dymu był tak niezwykły. Zmierzch skrył brzydotę półmilionowego miasta. Wyłaniały się z niego tylko kopuły meczetów, mauzoleów, pałaców i nowoczesnych hoteli. Mimo późnej pory na ulicach tłumy w malowniczych, egzotycznych ubiorach: kobiety w czadorach, mężczyźni zaś w jasnych lub szarych, szerokich, marszczonych spodniach i luźnych koszulach. Tłum przenikał między samochody, riksze, wózki…

Do 26 lipca trwało załatwianie formalności związanych z zezwoleniami na działalność górską w strefie przygranicznej z ZSRR i Pakistanem. Jako nieliczni jeszcze Polacy przybywający do Afganistanu jesteśmy bardzo serdecznie przyjmowani w polskiej placówce przez ambasadora Tadeusza Martynowicza i radcę handlowego Leona Kopcińskiego. Poznajemy również inżyniera Alojzego Rozworę, pracującego tutaj w budownictwie, wielkiego sympatyka alpinistów, goszczącego u siebie większość Polaków przybywających do tego kraju.

27 lipca przez przełęcz Salang wyruszamy do Kunduzu. Tu kończy się droga asfaltowa, dalej wyboistymi drogami, w obłokach pyłu dojeżdżamy do Keszim. Następnie drogą o szerokości naszej ciężarówki, wiodącą zboczami przełomu Kokczy, docieramy do Fajzabadu – centrum administracyjnego Badachszanu. Kolejny przełom, tym razem rzeki Wardżudż. Przejeżdżamy po wątłych mostkach kleconych z drewna i kamieni, na stromych podjazdach popychamy samochód. W końcu osiągamy wioskę Kazi Deh.

Po trzech dniach marszu z karawaną 47 tragarzy dochodzimy do moreny lodowca Kazi Deh, od zachodniej strony Noszaka. Tu, na wysokości 4500 m, zakładamy bazę Jeszcze chwilę targujemy się z tragarzami, przeplatając angielski i polski liczebnikami w języku *farsi*, ale już z ciekawością spoglądamy na widoczną zachodnią grzędę Noszaka, jak też na namioty w bazie. Mieszkają w nich Norwegowie. Oni również zamierzają wchodzić na Noszak zachodnią grzędą. Wśród nich jest Odd Eliassen. Co za miłe, pełne serdeczności i wspomnień spotkanie!

Odbywają się tu również „wczasy pod Nos żakiem", organizowane przez agencję „Trekking International" w trzech turnusach. Ich kierownikiem, a jednocześnie magnesem dla uczestników, jest najsławniejszy alpinista naszych czasów – Reinhold Messner.

W luksusowo, według naszych pojęć, urządzonej bazie posiłki dla „wczasowiczów" przygotowują wynajęci i przywiezieni z Nepalu Szerpowie. Punktualnie o 13 odzywał się gong, „wczasowicze" zasiadali w namiocie jadalni, a Szerpowie na plastykowych talerzach podawali zupę, drugie danie, kończąc to przedziwne dla nas widowisko deserem. Oni też zakładają i wyposażają obozy na zachodniej grzędzie Noszaka, a także ubezpieczają uczestników imprezy w górach.

Za „wczasowiczów" czarną robotę wykonywali Szerpowie, pozwalając im na niezakłóconą niczym radość obcowania z górami, uwalniając od noszenia ładunków, gotowania, zmywania, słowem, całej prozy życia wyprawowego. Gdybyśmy mogli mieć w ten sam sposób zorganizowane życie bazowe, to nie trzeba byłoby zawracać sobie głowy drobiazgami! Można byłoby skupić się na najważniejszym – na górach. Nasza jedenastka tymczasem zasuwała przy garach aż miło. Wyznaczaliśmy dyżury i każdy po kolei przymuszał się do brudnej roboty. Ale za to nasza wyprawa w sumie kosztowała niewiele więcej niż odpłatność jednego (!) uczestnika „wczasów pod Noszakiem".

W turnusach tych uczestniczyli przeciętni alpiniści, którym nie stawało chęci i możliwości zorganizowania wejścia na siedmiotysięczny szczyt we własnym zakresie, bardziej ze względu na oszczędność czasu niż pieniędzy. Byli też alpiniści zupełnie początkujący w górach wysokich, ale zafascynowani nimi. Ci płaci li czasami drogo za niedostatek wiadomości o adaptacji organizmu w warunkach rozrzedzonego powietrza – obezwładnionych chorobą Szerpowie niemalże na plecach znosili do bazy z górnych obozów.

Celem podopiecznych Messnera był również Noszak grzędą zachodnią, po uprzednich wejściach aklimatyzacyjnych na Aspe Safed (6607 m) i Chorpuszte Jachi (5698 m).Jednak z kilkudziesięcioosobowej grupy zaledwie kilkanaście osób osiągnęło wierzchołek Noszaka. Reinhold Messner wszedł również, ale czekając na swoich klientów na grani Noszaka, odnowił odmrożenia stóp i później już przeważnie siedział w bazie, obuty w wielkie, puchowe boty.

W bazie jest również jego żona, Uschi. Historia tego małżeństwa była niezwykle romantyczna. Dla Reinholda Uschi zostawiła nie tylko męża, ale i trójkę dzieci, tytuł i zamek. Uschi to menedżer dbający o sławę męża, o jego sukcesy na niwie literackiej i w publikatorach. Zachwyciła nas wszystkich. Szczupła, piękna brunetka w dopasowanych dżinsach, obcisłym sweterku i kolorowych, wełnianych skarpetach, robionych przez afgańskie góralki, wyglądała trochę inaczej niż my – w pumpach i ciężkich wibramach na nogach.

Mimo całego jej uroku trochę podejrzliwie przysłuchiwałam się wyrażanym przez nią opiniom i sądom na temat alpinizmu. Wydawało mi się to trochę bez pokrycia, wyczuwałam w tym przyswojenie sobie poglądów Reinholda. Kobieta traktuje drugą kobietę poważniej niż mężczyzna. Nie ma w sobie tolerancji i pobłażliwości dla fascynującej urody kobiety, kiedy ta gada głupstwa. Oddzielnie ocenia ją za to, co mówi i robi, a oddzielnie punktuje wygląd.

Odrobina zazdrości nie zmniejszyła jednak mego podziwu dla Uschi. Wydawało mi się, że odgrywała ona dużą rolę, mobilizując Reinholda do wielu nowych dokonań. Jednak w 1978 roku u stóp Nanga Parbat – podczas samotnego wejścia Reinholda zakończonego sukcesem – oczekiwała na niego już nie Uschi. Niełatwo było pewnie być żoną Reinholda, żyć w cieniu jego sławy.

Messner już wtedy fascynował nas z racji swoich dokonań, chociaż te największe były jeszcze przed nim, a także z powodu jego pędu do robienia wciąż czegoś nowego. Dopiero od niedawna zajął się górami wysokimi, po pokonaniu najtrudniejszych dróg alpejskich latem i zimą, niektórych samotnie. Jego wytrenowanie i predyspozycje są tak doskonałe, że dają mu zupełną swobodę w przeżywaniu wspinaczki, niezależnie od trudności i niebezpieczeństw terenu. Nie musi angażować świadomości do ich pokonywania. Niewielu alpinistom to się udaje. Może dlatego nie zawsze rozumieją jego

doznania. Niektórzy, ci ze „starej szkoły” zarzucają mu, że szuka poklasku dla swoich bądź co bądź wielkich osiągnięć. Nie akceptują profesjonalizmu w alpinizmie. Reinhold finansuje sam swoje przedsięwzięcia – pisze książki o alpinizmie, wygłasza prelekcje, robi zdjęcia i filmy, zawiera liczne umowy reklamowe. Alpinizm jest więc niejako jego zawodem.

Nie wszyscy alpiniści wierzyli mu, kiedy w wywiadzie stwierdził, że po osiągnięciu szczytu pragnął na nim pozostać i wręcz zmusił się do zejścia na dół… Większość alpinistów dobrze pilnuje własnej skóry. Aczkolwiek ryzykują i świadomie godzą się z niebezpieczeństwem, ale nie po to, by się zatracać. Akceptują niebezpieczeństwo jako nierozerwalnie związane z uprawianiem tego sportu, przede wszystkim chcą jednak przeżyć.

Wypowiedzi Messnera do szerokiego ogółu docierają za pośrednictwem prasy. Nie wiadomo więc, na ile zostały zniekształcone przez dziennikarzy, którzy wiedzą, czego oczekuje czytelnik codziennej prasy, popularnych magazynów i odpowiednio do tego przygotowują wywiady. Ale popularność Reinholda nie maleje. Wciąż wzbudza zainteresowanie i niepokój, stawiając nowe tezy, ustalając nowe kierunki w alpinizmie, a już istniejące – ale nieznane powszechnie – wydobywa na jaw i sprawia, że stają się obowiązujące.

W sześć lat po naszym spotkaniu pod Noszakiem Reinhold wejdzie bez tlenu na Everest. Magia jego nazwiska sprawi, że taki sposób wchodzenia na najwyższe szczyty świata stanie się obowiązujący dla wielu wypraw. Co więcej, będzie kryterium ich oceny zarówno przez alpinistów, jak i kibiców alpinizmu. Podobnie stanie się z wejściami w małych zespołach i solo na himalajskie olbrzymy.

Poprzez swoje dokonania Messner robi dwa kroki do przodu: pierwszy – w górach, drugi – po powrocie, uruchamiając *publicity*. Nie umniejsza to jego wartości, wręcz przeciwnie. Trzeba bowiem czegoś więcej aniżeli tylko dobra kondycja i technika, by stworzyć legendę wokół swojej osoby…

Obok Messnera i Norwegów zawitała do naszej bazy grupa amerykańskich alpinistów, podróżujących dookoła świata i zaliczających wybrane szczyty. Byli wyposażeni w znakomity, lekki sprzęt wspinaczkowy i biwakowy, jak też w liofilizowaną żywność. Prawie z marszu, nie nocując nawet w bazie, ruszyli zachodnią grzędą na Noszak. Zaaferowani zakładaniem obozów nie zauważyliśmy, kiedy zeszli, nie dowiedzieliśmy się też w bazie,

czy udało się im wejść na szczyt. Spotkaliśmy się dopiero w drodze powrotnej w Kazi Deh.

Nie będąc dostatecznie zaaklimatyzowani, nie mogliśmy przeprowadzić – jak Amerykanie – wejścia na szczyt z marszu. Poza tym nasze plany były rozleglejsze, obejmowały nie tylko Noszak zachodnią grzędą. Aby więc przygotować zdobycie Noszaka wielkim i trudnym 1600-metrowym urwiskiem od strony południowo-zachodniej, założyliśmy dwa obozy składy u podnóża i powyżej lodowej zerwy pod ścianą. Również na zachodniej grzędzie Noszaka rozstawiliśmy namioty w trzech obozach – na 5500, 6300 i 6900 m. Dzięki temu dwa zespoły będą mogły wchodzić na Noszak różnymi drogami i spotkać się w obozie III, przy czym droga zachodnią grzędą miała również służyć zespołowi ścianowemu jako droga zejściowa po osiągnięciu szczytu.

W okresie aklimatyzacji postanowiliśmy, że jedna grupa przejdzie wszystkie cztery wierzchołki Aspe Safed (6607 m), druga – zdobędzie dwa dziewicze wierzchołki oznaczone jako W81 (5980 m) i W82 (ok. 5980 m), trzecia zaś wejdzie najłatwiejszą drogą od Przełęczy Południowej na Aspe Safed.

Janusz Kurczab zdecydował, że będę w zespole zdobywającym W81 i W82. Poszliśmy w czwórkę: Janek Holnicki, Andrzej Sikorski, Krzysztof Zdzitowiecki i ja. Droga wejścia wydawała się oczywista – z wierzchołka W82 opadał 1200-metrowy filar skalisto-śnieżny, który na dole zaczynał się wielkim polem lodowo-śnieżnym, w miarę wysokości stromiejącym, wyżej zaś przechodzącym w kruche skały.

14 sierpnia pogoda była „jak drut”. W słońcu piarżysty, brudnobrunatny lodowiec Kazi Deh, przypominający hałdy kopalni, nie przygnębiał brzydotą. Śnieg na nieoświetlonym słońcem zboczu był błękitnoszary. Świetnie trzymały się na nim buty z rakami. Szybko więc wspinaliśmy się do góry i nikt nie proponował sztywnej asekuracji. Zatrzymał nas skalny uskok. Rozgrzana podejściem pchałam się do prowadzenia. Po kilkunastu metrach raki zazgrzytały na stromym rumowisku skalnym i z trudnością wyszukiwałam nieusuwające się pod obciążeniem chwyty i stopnie. Wreszcie na stającym dęba skalno-śnieżnym polu zmienił mnie w prowadzeniu Janek. Jemu też nie szło łatwo. Pod cienkim śniegiem ukrywał się czysty, żywy lód albo skała. Pole kończyło się wielkim nawisem. Już z bazy wydawał się nam kluczowym miejscem drogi. Przywiązani do ledwo wbitych haków i śrub

wkręconych w lód, z napięciem obserwowaliśmy Krzysztofa, przerąbującego się przez nawis. Idąc za nim, mam już linę z góry. Mimo to czuję, jak tu trudno. Ciężki plecak i lina zwisająca z nawisu, odciągając do tyłu, nie ułatwiają kontaktu z lodową ścianą. Potem jest łatwiej.

O zmroku stajemy wszyscy na wierzchołku, na pierwszym własnym. Śpimy na samym szczycie. Mamy tylko jeden mały, ortalionowy namiocik oraz płachtę biwakową, w której Krzysztof i Andrzej spędzają noc w jamie śnieżnej – pod gołym niebem, na wysokości prawie 6000 metrów. W namiociku gotuję z Jankiem dla wszystkich posiłek. Woda paruje, osadza się na ściankach, kapie na głowy i śpiwory. Ale nie możemy narzekać, naszych kolegów czeka gorsza noc. Rankiem w jamie śnieżnej wyglądają makabrycznie – dwie nieruchomo leżące postacie, ze śniegiem i soplami lodu na wąsach i brodach. Ale natychmiast po przygotowaniu przez nas herbaty „zwłoki” ożywają.

Do następnego szczytu W81 idziemy – niezwiązani – skalną granią, ostrą i kruchą, przypominającą grań tatrzańską zimą. Jak zejść? To odwieczny dylemat, kiedy wejście ma się już za sobą. Schodzimy z grani na zbocza od strony lodowca Kazi Deh, choć nie wyglądają zachęcająco: stroma skała i lód. Zjeżdżamy na linie. Czuję się pewnie w takim stromym lodzie ze śniegiem poprzetykanym kamieniami. Treningowe wspinaczki zimą w karkonoskich Śnieżnych Kotłach bardzo się teraz przydają. ’Wypinam się z liny i zbiegam na dół sama, ciesząc się zdobytymi szczytami, dobrym samopoczuciem, a nawet tym, że raki pewnie trzymają się lodu.

W miejscu gdzie pole lodowe przechodzi w piarżyste skały, zatrzymuję się, by poczekać na kolegów. Schodzą wolno, asekurując w zejściu Andrzeja. Wcześniej miał wypadek w górach Iranu, na Alam-Kuh. Spadł z takiego właśnie stromego lodowo-śnieżnego stoku i ma teraz opory przy schodzeniu…

Przypomniałam sobie ten moment naszego powrotu trzy lata później, kiedy dowiedziałam się o śmierci Andrzeja. Zginął, schodząc ze zdobytego Broad Peak, dziewiczego ośmiotysięcznika w Karakorum. Schodził sam, jak każdy z pięciu zdobywców szczytu. Do bazy dotarło tylko dwóch, pozostali zginęli przy schodzeniu w huraganowym wietrze i śnieżycy.

W ciągu dwóch dni powrotu świeciło nam słońce. Spieczeni, trochę zmęczeni, a przede wszystkim szczęśliwi dotarliśmy do bazy. Krzysztof po tej wyprawie pozostał mi w pamięci jako wspaniały towarzysz, co potwierdzi-

ło się w późniejszych wyprawach. Był tylko nieco gderliwy i zrzędzący. Lubił dobrą organizację, ale nie zajmował się jej tworzeniem, chciał być jednym z elementów i wykonywać przygotowany przez kogoś odcinek pracy. Czasem przygotowanie pracy dla „Pomurnika” wymagało tyle energii, że miało się ochotę machnąć ręką i samemu to zrobić. Na przykład jego dyżury w kuchni! Nie miał pojęcia, gdzie jest makaron, płatki owsiane, chleb w puszkach, mleko w proszku, kiełbasy, rybki. Dopiero po przygotowaniu mu tego wszystkiego zabierał się do gotowania.

Przy organizowaniu wyprawy gromy waliły się na Krzysztofa, najcierpliwszych bowiem wyprowadzał z równowagi. Byłby cudownym uczestnikiem wy – prawy, w której wszystko działałoby jak w zegarku. Niestety, takich wypraw nie ma. Jest zbyt wiele czynników niezależnych od najsprawniejszej nawet organizacji i najbardziej przewidującego kierownika, jak też zbyt wiele zdarzeń przypadkowych, niemożliwych do przewidzenia. Ale znając tę wadę Krzysztofa, można było ją jakoś zneutralizować. W rozmowach bazowych zdawał się skoncentrowany na własnym ja, ale widocznie tylko tak potrafił kontaktować się z innymi. W rzeczywistości w górach dawał z siebie bardzo wiele.

Janek Holnicki już przy organizacji wyprawy był bezkonfliktowy, nieoszczędzający się, pełen spokojnej inicjatywy w wykonywaniu swojej części pracy.

– Po co tyle gadania, trzeba to zrobić i tyle! – stwierdzał i robił, co do niego należało, a nawet więcej.

W górach odporny i wytrzymały, bez wahania i niezauważalnie brał najcięższy plecak i przejmował prowadzenie w czasie wspinaczki. Napięte sytuacje rozładowywał zabawnymi powiedzonkami, kłopoty przyjmował ze spokojem, sprawnie i bez hałasu je likwidując.

Dobrze się czułam w tym zespole. Ale w dużym stopniu sprawił to przypadek, że na szczyt Noszaka weszliśmy w tym właśnie składzie, pomimo że 23 sierpnia z obozu III wystartowało siedem osób.

22 sierpnia do obozu III – po przejściu południowo-zachodniej ściany Noszaka – dotarli Janusz Kurczab, Jan Holnicki i Krzysztof Zdzitowiecki, gdzie zastali Jędrka Łapińskiego, Janka Lewickiego, Andrzeja Sikorskiego i mnie. Dwa dni wcześniej, idąc z obozu II na zachodnią grzędę, Andrzej Sikorski i ja jako pierwsi osiągnęliśmy skraj zachodniego tarasu Noszaka na wysokości 6900 metrów i założyliśmy obóz III. Ostatnie 100 metrów

przed skrajem tarasu to trudny uskok skalny, na którym Szerpowie Messnera (albo on sam) zawiesili liny poręczowe. Dzięki temu było nam łatwiej, ale ekspozycja na prawie 7000 metrów zapierała dech. Andrzej nie czuł się zbyt dobrze. Przy końcu poręczówki zostawił plecak i wyszedł na taras bez obciążenia. Po kilkunastu minutach złapał drugi oddech, wrócił i odebrał ode mnie swój plecak, kiedy gramoliłam się przez krawędź uskoku.

Rozstawiając namiot w obozie III, nie wiedzieliśmy z Andrzejem o tym, że rozstawiamy go dokładnie na miejscu, w którym wydarzyła się tragedia alpinistów bułgarskich.

Wytrzymali i odporni, doskonale wytrenowani Bułgarzy nie docenili jednak znaczenia aklimatyzacji. W wyniku deterioracji trzech z nich zginęło. Jednego, wiszącego na poręczówkach, znaleźli Szerpowie Messnera, drugi zmarł w obozie II, a trzeci zaginął.

O tym, że nasz namiot rozstawiliśmy dokładnie w miejscu obozu bułgarskiego, dowiedziałam się wpół roku później od Tadka Piotrowskiego, uczestnika zimowej wyprawy na Noszak. Gdy zimą zniknęła warstwa letniego śniegu, Tadek zauważył szczątki obozu Bułgarów przemieszane z puszkami po polskich konserwach. I tu dokonał makabrycznego odkrycia – ze śniegu sterczała sczerniała ludzka dłoń. Nasz namiot stał na miejscu, gdzie pod grubą warstwą śniegu znajdowały się zwłoki bułgarskiego alpinisty.

Rozstawiając z Andrzejem namiot, wiedzieliśmy, że obóz bułgarski znajdował się w pobliżu. Na dole naturalną reakcją na śmierć jest strach i niepokój oraz poszanowanie miejsca spoczynku zmarłego. Tutaj, w górze, instynkt samozachowawczy kazał nam przyblokować emocje. Nic już nie można było zmienić, ani pomóc zmarłemu, ani zmienić naszych planów. Z wisielczym humorem i odrobiną niepokoju żartowaliśmy głośno, by nie myśleć po cichu o tym, co i nam się może przydarzyć.

Kiedy 23 sierpnia wyruszyliśmy w siódemkę, z podchodzących jednym śladem wykruszali się kolejno z różnych powodów: Janek, Jano i na końcu Jędrek. Na grań podszczytową wyszliśmy w czwórkę: Krzysztof, Jasiek, Andrzej i ja. Od wierzchołka dzieliło nas jeszcze półtora kilometra grani. Wiatr przenikał przez ubranie, mroził do kości. Na otwartej przestrzeni nie było przed nim schronienia. Bezskutecznie próbowałam ustawić się do kierunku wiatru, by był jak najmniej dokuczliwy. W końcu zdecydowałam się na trud włożenia kurtki puchowej. Wiatr wyrywał ją, nie mogłam trafić

w rękawy. Taka prosta czynność, jak założenie i zapięcie kurtki, a tyle przy tym zachodu! Do każdej dodatkowej czynności trzeba się przymuszać. Tylko nieustanne podchodzenie, krok za krokiem, jest czymś oczywistym, jest nakazem bezapelacyjnym.

Kilka metrów niżej zmuszałam się do zdjęcia raków i butów, by rozetrzeć stopy. Traciłam w nich czucie. Biłam po stopach aż do bólu zmarzniętą na kamień rękawiczką. Wbrew niechęci do dodatkowego wysiłku, wbrew obawie, że zostanę daleko w tyle za pnącą się do góry, wówczas jeszcze szóstką, kolegów.

Wiatr wzbijał tumany śnieżnego pyłu i chwilami nie widzieliśmy się wzajemnie. Na rozległych polach śnieżnych pod granią szczytową nie było widać żadnych punktów orientacyjnych, tylko od czasu do czasu wiatr odsłaniał skalną barierę grani. Szliśmy więc w jej kierunku. Trawersując u podstawy grani w lewo, trafiliśmy na upatrzony wcześniej żleb. Nie była to jednak właściwa droga, choć żleb wyprowadzał nagrań. U jego wylotu zdecydował się na odwrót Jędrek. Bolało go gardło i czuł się coraz gorzej. Po czterech dniach wspinaczki na Aspe Safed, przed atakiem szczytowym na Noszak, wypoczywał w bazie zaledwie jeden dzień. Nie dał się zdopingować do dalszego podejścia. Gdyby wiedział, że potem będzie łatwiej, na pewno dałby się namówić. Z żalem pożegnaliśmy Jędrka – miał naszą dozgonną wdzięczność jako kierowca Stara, którego doprowadził aż do Kazi Deh. Zanim zrobiliśmy kilkanaście kroków w żlebie, schodzącego samotnie Jędrka zasłoniła mgła. Potem dołączył się do Jana i doktora, którzy wcześniej zdecydowali się na odwrót.

Twardy śnieg i nietrudna skała wyprowadziły nas na grań, która kulminowała półtora kilometra dalej szczytem wyższym od tego, na którym staliśmy. Śnieg był twardy i przewiany wiatrem. Jak w transie szłam połogą, rozległą granią. Wiatr, choć dławił i mroził, trochę pomagał iść. Szliśmy bardzo szybko, nie oglądając się, ale czując wzajemną obecność. Przepełniała mnie radość, że sił starcza i powietrza nie brakuje. Dojdziemy do szczytu! Tu było łatwiej niż kilkaset metrów niżej. Ostatnie metry do wierzchołka. Bardziej stromo, mniej śniegu, spod którego sterczały odsłonięte przez wiatr kamienie.

Jesteśmy na szczycie! Bardzo krótko, bo wiatr nie pozwala na dłużej. Przymocowałam kamieniami proporczyk klubowy. Szczyt osiągnęłam łatwo, prawie od niechcenia. Nie „zatkałam” się, jak na Piku Lenina. Na

wierzchołku nie fotografowałam. Przerażała perspektywa zdjęcia rękawic. Uciekaliśmy ze szczytu przed szalejącym pod wieczór wiatrem.

Wracaliśmy nie drogą podejścia, aby nie iść twarzą pod wiatr. Zbiegliśmy na taras podszczytowy Noszaka wprost w dół. Rozległe pola śnieżne tarasu trawersowaliśmy już po ciemku. Tam było spokojniej, mgła została wyżej, a góry stały czarne i posępne. Słabe światełka obozu III wytyczały kierunek.

W obozie są dwie pary małżeńskie – Marczakowie i Onyszkiewiczowie, a także Jano, który chce raz jeszcze spróbować wejść na Noszak. Jędrek i Janek po południu zeszli do bazy. Nasza czwórka – Krzysztof, Jasiek, Andrzej i ja – do bazy zeszła następnego dnia.

W bazie jest nas sześcioro. Rozkoszujemy się bezczynnością. Przed nami za dwa dni likwidacja dwóch obozów na grzędzie i jednego pod ścianą. Teraz wygrzewamy się w słońcu. Rytm dnia wyznaczają godziny kontaktu z drugim zespołem atakującym szczyt. Jest w nim Jano, Ewa i Andrzej oraz Alison i Onyszek. Poprzedniego dnia w bazie na próżno czekaliśmy na kontakt wieczorny z obozem III. Radiotelefon milczał.

Rano odezwał się Jano. Nie weszli na szczyt, ale spróbują dziś po raz drugi. On sam odmroził nogi i rezygnuje z dalszych prób wejścia. Będzie czekał w obozie III na powrót zespołu ze szczytu.

Po jeszcze jednym biwaku na 7000 metrów, który nie regeneruje sił, po nieudanym poprzednim ataku, przy nie najlepszej pogodzie, dziś mają mniejsze szanse niż poprzedniego dnia – myślałam. Nie wierzyłam, że osiągną szczyt. Byłoby to trudniejsze niż nasze wejście dwa dni wcześniej.

Wieczorem znowu nie było kontaktu. Dopiero rano usłyszeliśmy Jana:

– Alison, Ewa, Andrzej i Janusz poprzedniego dnia późnym popołudniem osiągnęli wierzchołek. W zejściu Alison pośliznęła się na lodzie, ale szczęśliwie zatrzymała się 100 metrów niżej. Podczas upadku straciła raki, schodzili więc bardzo wolno. Do Trójki dotarli późną nocą. Dziś, po zlikwidowaniu obozu, wszyscy zaczną schodzić do bazy.

Więc jednak weszli! Cieszymy się serdecznie. Doktor ładuje zakupiony na bazarze pistolet, chcąc strzelić na wiwat. Na wszelki wypadek wyrzucamy go z namiotu razem z pistoletem. Oddalony o kilkanaście metrów od nas nie ma odwagi nacisnąć spustu. Pewno obawia się, że przy strzale pukawka rozleci się. Wyciąga rękę jak najdalej od siebie, odwraca twarz –

strzela! O dziwo, stoi cały. Huk wystrzału wraca echem od gór. Nabrawszy animuszu, doktor strzela jeszcze kilkakrotnie.

Po wiadomości od Jana można bez niepokoju dalej leżeć przed namiotem. Słońce grzeje słabo, od dna doliny wieje zimny wiatr. Szykuję sobie gorącą kąpiel. Plastykowa wanna jest pozostałością po wyprawie Messnera. Służyła jako zbiornik wody. Z pobliskiego źródełka przynoszę „transportem wahadłowym" wodę i grzeję ją na kilku maszynkach benzynowych. Jako łazienka posłuży największy namiot, w którym jest świetlica. Gorąca kąpiel z pianą na wysokości prawie Mont Blanc to wspaniała sprawa!

Rozkoszowanie się tym luksusem przerywa trzeszczenie radiotelefonu. To Jano z obozu III. Musiał wyczuć, że 2500 metrów niżej, w bazie, dzieje się coś, co niewiele ma wspólnego z alpinizmem sportowym. Jano wydaje dyspozycję, byśmy zlikwidowali obozy dzisiaj, najlepiej zaraz. Schodzący ze szczytu przenocują w obozie II i nazajutrz zejdą do bazy.

W pośpiechu wycieram się i ubieram, aby przekazać kolegom „radosną" wiadomość. Pałają świętym oburzeniem. Przecież w harmonogramie sam Jano zagwarantował nam dwa dni odpoczynku w bazie! Likwidacja obozów zajmie najwyżej półtora dnia i zdążymy ją przeprowadzić najpóźniej dzień po zejściu Jana z góry, jeśli wyjdziemy następnego dnia. Pomurnik rozciągnięty na materacu mruczy, że dziś nawet nogą nie ruszy, Andrzej nawet nie odzywa się z namiotu, chyba śpi. Doktor jest zdecydowanie przeciw, nawet Jędrek i Jasiek – ci najofiarniejsi – nie bardzo mają ochotę ruszać się z bazy bez widocznej potrzeby.

Ostrożnie przedstawiam sytuację Janowi, co nie powstrzymuje jego gniewu. Denerwuje się, że ulegamy typowemu na wyprawach rozprzężeniu po osiągnięciu sukcesu. Zarządza prace likwidacyjne, by zapobiec większemu rozleniwieniu. Pomurnik, nie zmieniając pozycji na materacu, proponuje:

– Niech Jano nie wymyśla głupstw i zejdzie z Trójki do Dwójki. Tam jest więcej tlenu i łatwiej myśleć.

Bezmyślnie powtarzam do radiotelefonu tę propozycję – bez podania jej autorstwa. W odpowiedzi słyszę rzucone z pasją:

– P… was!

I radiotelefon milknie. Cisza w eterze trwała do następnego dnia, do południa. Cały czas byliśmy na nasłuchu.

Gnębieni trochę wyrzutami sumienia, podzieliliśmy się pracą likwidacyjną. Pomurnik z Jędrkiem wyszli rano pod ścianę, Jasiek i ja byliśmy w dro-

dze pod grzędę, a Andrzej – mając tylko za zadanie zlikwidowanie obozu I na grzędzie – przygotowywał się do wyjścia.

Odezwali się w końcu. Zawiadamiali, że nocowali w obozie II i dziś zejdą do bazy. Prosili o zabranie raków dla Alison. Wracamy z Jaśkiem po raki i znów do góry. Między obozem I i II spotykamy schodzących. Jest to jedna z najprzyjemniejszych chwil na wyprawie. Witamy się z prawdziwą radością. Ewa opowiada o samotności w zadymce podczas pierwszego ataku. Andrzej samotnie wyszedł na grań szczytową w pobliżu wierzchołka. Cofnął się, nie wiedząc, jak blisko był szczytu. Onyszek, oddawszy swoje raki Alison, schodził asekurowany przez Andrzeja krótką liną, zdjętą z ostatniego odcinka poręczówki. Komunikuje nam, że na szczycie stoi zatknięta w śnieg tablica z harmonogramem. Nasz proporczyk niosła ze szczytu Alison, ale go zgubiła przy upadku. Jano już nie jest zły na mnie za tę nieszczęsną rozmowę.

Po godzinie rozstajemy się. Oni pod wieczór dotarli do bazy ja z Jankiem do obozu III. Nim mróz nas zagonił do namiotu, długo siedzieliśmy na platformie i patrzyliśmy w dół, gdzie ciemności odległej moreny lodowca w kilku punktach rozjaśniały światła namiotów bazy. Tego lata byliśmy ostatnimi ludźmi w górach.

Choć przez cały czas byliśmy skazani wyłącznie na siebie, nie byliśmy dotąd naprawdę skłóceni. Wspólnie zakładaliśmy wszystkie pięć obozów – na grzędzie i pod ścianą. Każdy z nas zaspokoił co najmniej jednym sukcesem własne ambicje. I prawie każdy przez co najmniej jedno niespełnione marzenie odczuwał niedosyt. Dzieje wyprawy i jej sukces to kombinacja sukcesów i niepowodzeń uczestników. Ale czy istnieje tylko jedna, właściwa kombinacja? Czy nie mogłaby być inna, lepsza? Nieważne. Ważne jest to, że za kilkanaście godzin będziemy wszyscy razem w bazie.

Ze wszystkimi uczestnikami wyprawy na Noszak byłam po raz pierwszy na wyprawie. Ale nie ostatni. Z Ewą i Andrzejem Marczakami, Krzysztofem i Onyszkiem spotkałam się później w Pamirze. Z nimi też, ale już bez Ewy, za to z Alison i Jędrkiem wyjechałam w Karakorum. Poznaliśmy swe zalety i przywary, zaakceptowaliśmy się nawzajem. Na tych ludzi postawiłam i na nich się opierałam w trzy lata później, w wyprawie na Gasherbrumy.

Poznając Alison, nie przypuszczałam, jak wielki wpływ wywrze na mnie w przyszłości. Była to jej pierwsza wyprawa w góry wysokie i pierwsza

w zespole polskim. Z racji trudności językowych czuła się trochę wyobcowana, związana tylko z Januszem, który był jej naturalną ostoją. Powolna w ruchach, ale szybka w myśleniu, emanowała kulturą bycia i ciepłem. Choć wielu rzeczy na wyprawie nie mogła zrozumieć, to szanując nasze prawo do bycia innymi, tylko się dziwiła. Pochodziła z Wielkiej Brytanii, kraju indywidualistów i demokratów, kraju szanującego prawa i odrębność ludzi, którzy mimo to pozostawali zdyscyplinowani.

Tymczasem znalazła się wśród ludzi innej narodowości i mentalności, wahających się między potrzebą demokracji a potrzebą władzy silnej ręki, domagających się i egzekwujących prawa jednostki, ale z trudem akceptujących odrębność i nie zawsze zdyscyplinowanych. Dla mnie jej zdziwienie było lepszą nauczką niż wiele późniejszych agresywnych zachowań, kłótni i napadów. Dzięki Alison dostrzegłam inne możliwości funkcjonowania mikrospołeczeństwa, jakim jest wyprawa, aniżeli tylko przez zdyscyplinowanie jego członków.

Początkowo trochę podejrzliwie patrzyłam na samodzielność Alison i Ewy ponieważ stale chodziły z mężami. Do szczytu doszły również w asyście mężowskiej, co w moim odczuciu odbierało im samodzielność. Rozmawiałam o tym później z Ewą, kiedy zaczęły się projekty wyprawy kobiecej. Powiedziała wtedy, że właściwie to chciałaby pojechać z Andrzejem, przeżywać góry z najbliższym sobie człowiekiem. Pomyślałam, jak różne stanowiska mogą być w tej samej sprawie. Wyznawałam zasadę, że zespół wyprawo wy musi być jednolity. Para małżeńska automatycznie stanowi wyizolowaną grupę, która może się kierować nie tylko interesem wspólnym, ale i swoim własnym, powodowana wzajemnym uczuciem miłości lub niechęci i rywalizacji. Mężowi może zależeć na sukcesie żony lub wręcz przeciwnie. I na odwrót. W tej kwestii i w innych mogą zachowywać relacje wzajemnej zależności życia małżeńskiego, inne niż pomiędzy pozostałymi uczestnikami wyprawy. A to zawsze jest zakłóceniem równomiernego rozdziału praw i obowiązków na wyprawie.

Jednak w przypadku Onyszkiewiczów i Marczaków nic takiego nie nastąpiło. A i moje powątpiewanie w samodzielność Alison i Ewy okazało się niesłuszne. Startowały z innego punktu niż ja, ale zmierzały ku temu samemu celowi. Alison wspinała się samodzielnie z różnymi partnerami, nie tylko z mężem, pokonywała trudne drogi w górach Szkocji i w Alpach. Była o wiele bardziej samodzielna, niż nam się wtedy wydawało. Odkryłam to

parę lat później na Gasherbrumach, na wyprawie, która dla mnie i Alison zaczęła się od spotkania pod Noszakiem Arlene Blum, alpinistki z grupy amerykańskiej. Postanowiłyśmy wtedy zorganizować polsko-amerykańską wyprawę kobiecą na szczyt ośmiotysięczny.

Z Ewą wiele lat wcześniej poznał mnie Wojtek Biederman, ale znajomość nasza nie wykraczała poza grunt towarzyski. Ewa zaczęła wspinać się dopiero po śmierci Wojtka, a wprowadzającym ją w arkana wspinaczki był mąż – Andrzej. Z nim wyjeżdżała w Tatry, w góry Iranu, Hindukusz. Dwa lata po Hindukuszu zdecydowała się na wyjazd w Pamir bez męża. Jako pierwsza z polskich alpinistek weszła na trzy szczyty siedmiotysięczne – zginęła w Pamirze przy schodzeniu z trzeciego.

Wspaniała atmosfera wyprawy hindukuskiej, zaprzyjaźnienie się wszystkich jej członków nie było jednak idealne. Poczucie wspólnoty nadwątliło się, gdy w grę weszły sprzeczne interesy po powrocie do kraju. To było dla mnie ostrzeżeniem, że dla przyjaźni górskich istotny jest nie tylko czas wyprawy.

Ewa w liście do mnie napisała:

Muszę Ci się przyznać, że zetknięcie z wielką polityką wypraw ową napawamnie obrzydzeniem do wielu ludzi. I przemawia przeze mnie nie tylko rozgoryczenie z powodu Buthanu. Jano natychmiast po powrocie zgłosił następną wyprawę w góry Buthanu, w składzie której nie uwzględnił nikogo z nas. Z nas, na których zbudował swój sukces jako kierownik i którzy mu się sprawdzili. Ale może tak jest, że jeżeli chce się być dobrze ze wszystkimi, kierować działalnością sportową, to trudno jest zachować twarz. Daleko odeszliśmy, grono ludzi z wyprawy, od tamtych zmagań z górą. Zmagamy się ze sobą, komu wcisnąć więcej pracy przy likwidowaniu wyprawy, kogo „załatwić" na przyszłość złą, niesprawiedliwą opinią. I robią to ludzie, których byś nie podejrzewała o coś takiego. Ech, życie…

Ewa pisała to na gorąco, pod wpływem konfrontacji miłych wspomnień wyprawowych, rozbudzonych ambicji i nadziei, poczucia wspólnoty interesów z zupełnie inną rzeczywistością. Przeżywała bardzo mocno i boleśnie nową sytuację. Niełatwo bowiem pogodzić się z tym faktem, że kiedy wyprawa się kończy, może nastąpić rozpad wspólnoty. Jano podobał nam się jako kierownik. Planował, robił grafiki, panował nad całością akcji. W cytowanym wcześniej liście Ewa pisała również:

Przypuszczam, że dla Jana nasza wyprawa była tylko poligonem, stopniem umożliwiającym realizację jego dalszych ambicji. Traktował nas jak pionki wyprawowe, którymi rozporządzał i którego słuchały. A nawet były zadowolone, bo i dla nich wyprawa była cennym doświadczeniem. Po powrocie do kraju zaczęło się szukanie dobrych miejsc na szachownicy – przed nową partią.

Dobrym ustawieniem się na niej może być wymigiwanie się od żmudnej roboty powyprawowej i pozostawienie nieszczęsnego kierownika na placu boju, sam na sam ze sprawozdaniami, zdawaniem sprzętu, rozliczaniem się. Poszukiwaniem najlepszego pola mogą być też przetargi, czyj sukces jest ważniejszy – jeże li sukcesów było więcej. Rozliczanie dorobku, istotne ze względów ambicjonalnych i możliwości lepszego startu do następnej imprezy, nie odbywa się wyłącznie poprzez formalną ocenę władz sportowych. Dokonuje się również w środowisku. A że we władzach są czynni sportowo alpiniści, opinia ta jest bardzo istotna. W zależności od niej przeżywamy dodatkowe, pozagórskie emocje, czujemy się wygrani lub przegrani. Emocje z czasem wygasają, nowe dokonania zacierają pamięć poprzednich. Wyprawy takie, jak Noszak, szybko odchodzą w zapomnienie. Najdłużej pamięta się te, które dostarczają silnych przeżyć, nawet negatywnych i są decydujące w naszym życiorysie alpinistycznym. Te były jeszcze przede mną.

Wyprawa na Noszak była jasnym, ale powoli znikającym punktem.

PRZEGRAĆ, ABY WYGRAĆ

Wiosną 1974 roku Polski Związek Alpinizmu otrzymał pismo z sekcji alpinistycznej Klubu „Miechnat” w Taszkencie, w którym Wadim Elczibiekow, prezes sekcji, zapraszał grupę polskich alpinistów do wspólnego zdobywania, latem tego roku, dwóch szczytów w Pamirze: Piku Kommunizma (7495 m – najwyższego szczytu ZSRR) oraz Piku Eugenii Korżeniewskiej (7105 m).

Na tę wyprawę wyjechało nas siedmioro: Ewa Czarniecka-Marczak z Warszawy, Danuta Gellner-Wach z Katowic, Janusz Onyszkiewicz i Krzysztof Zdzitowiecki z Warszawy, Janusz Mączka z Krakowa, Roman Bebak z Wrocławia i ja. Z uzbeckimi uczestnikami wyprawy spotkaliśmy się 10 lipca w Taszkencie.

Do Dżirgitalu – punktu startowego niemal wszystkich wypraw w rejon Piku Kommunizma – przybyliśmy z niewielkim opóźnieniem, spowodowanym awarią samochodu. Po paru dniach wyczekiwania na pogodę 18 lipca przylecieliśmy helikopterem do bazy na lodowcu Moskwina. Baza, założona wcześniej przez Uzbeków, leży na wysokości około 3900 metrów. Lodowiec w pobliżu bazy jest twardy, bez szczelin, przykryty płaszczem kamieni. Jesteśmy między najwyższymi szczytami Pamiru. Czuję się osaczona tymi wielkimi, ponad 3000-metrowymi urwiskami, zamykającymi nas niczym w pułapce. Po raz pierwszy odczuwam coś w rodzaju klaustrofobii. Chcę uciec z bazy wyżej, na szczyty. Góry zagradzają drogę, przeszkadzają. Nie lubię ich. Odpłacą mi za to później.

Baza jest tylko dla nas. Nie tak, jak baza na lodowcu Fortambek, od zachodniej strony Piku Kommunizma. Tam jedna grupa przyjeżdża, druga wyjeżdża, naukowcy prowadzą stale badania nad fizjologią zwierząt. Z białymi myszkami i świnkami morskimi w plecakach kursują między bazą a Wielkim Pamirskim Plateau (6000 m). Jesteśmy z dala od tego wiru.

Wadim Elczibiekow jest kierownikiem całej wyprawy, Janusz Onyszkiewicz – grupy polskiej, a ja – zespołu kobiecego. Mimo obiecywanej wcześniej pełnej samodzielności zespołu polskiego teraz Wadim nie bardzo się na to zgadza. Wspólnie z Januszem musimy wykłócać się o nasze prawa. Nasi chłopcy chcieli wejść nową drogą lub powtórzyć jakąś bardzo trudną trasę na Pik Kommunizma, my natomiast zamierzałyśmy wejść klasycznymi drogami na oba szczyty.

Wadim dla swej licznej grupy ma własne plany. Najważniejszy z nich to przejście granią od Piku Kommunizma do Piku Eugenii Korżeniewskiej. To przejście zamierzał zgłosić do alpinistycznych mistrzostw kraju. Federacja Alpinizmu ZSRR co roku ocenia dokonane przejścia – czy to wspinaczkowe, czy wysokościowe – i najlepszym przyznaje pierwszeństwo. Wadim chciał je zdobyć. Dlatego wolał nie dekoncentrować się opieką nad Polakami, do której – jako gospodarz – czuł się zobowiązany. O zespole kobiecym nie chciał nawet słyszeć, wymyślał różne preteksty, by wymigać się od wyrażenia zgody. Twierdził, że będąc w składzie ekipy radzieckiej, podlegamy ich przepisom, a wspinać się w zespole trzyosobowym na szczyt siedmiotysięczny według tych przepisów *nielzia*.

Nasz plan został uratowany dzięki „Śnieżnej Panterze”, która przyleciała do bazy helikopterem. Była to radziecka alpinistka, która weszła na wszystkie cztery siedmiotysięczniki Pamiru. Za takie osiągnięcie otrzymuje się odznaczenie *Śnieżnyj Bars*. Gdyby nie jej poparcie, pewnie byśmy pokornie pomaszerowały do góry w wielkiej, uzbecko-polskiej grupie.

Mimo że z Wadimem od czasu do czasu „darliśmy koty”, znajdowaliśmy wspólny język i lubiliśmy się. Wadim to niezwykle barwna postać i wielka indywidualność. Z pochodzenia Ormianin, pełen sprytu, chytrości i dowcipu. Znakomicie przystawał do naszych wyobrażeń o ludziach Wschodu. Na jego wyprawie panowały niemalże feudalne zależności, ale nikomu nie ciążyły, chociaż skład jej był wielonarodowościowy – Uzbecy, Kirgizi, Tatarzy, Rosjanie i Polacy. Był to skład bardzo sprawny organizacyjnie, w którym wszystkie kółka kręciły się zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Ale na większych wysokościach, w rozrzedzonym powietrzu, z dala od Wadima, kółka kręciły się gorzej. Do działania bowiem potrzebna była własna, silna motywacja.

Przebywanie w bazie to przyjemność. Życie toczyło się uregulowanym trybem, nawet pory wspólnych posiłków były stałe. Jedzenie – nie tylko

z konserw; helikopter zaopatrywał bazę w ziemniaki, kapustę, marchew, cebulę, a nawet w śledzie. Przyleciały też nim dwie żywe krowy. Nasi radzieccy koledzy potrafili wszystko – zarżnąć krowę, poćwiartować, potem część mięsa przechować w naturalnej lodówce, szczelinie lodowca, część zaś wysuszyć na słońcu. Potrafili też upolować świstaka, zdjąć z niego futerko i wyprawić je. Czuliśmy się przy nich jak mieszczuchy. Kiedy poproszono nas o pomoc przy zarżnięciu drugiej krowy, wybór padł na Janusza Mączkę. Biorąc nóż do ręki, miał w oczach wyraz paniki, w końcu niechlubnie zrejterował z miejsca kaźni.

Świeże jedzenie pozwala uniknąć zaburzeń pracy żołądka i wątroby, wynikłych z niedoboru tlenu i stresowych sytuacji. Wprowadza też nastrój domu i miłej codzienności, kiedy to na wysokości 4000 metrów można zjeść świeży *borsz*, czyli zupę jarzynową wzbogaconą mięsem i ostrymi przyprawami.

Pierwszego dnia w bazie czułam lekki ból głowy i niechęć do wysiłku fizycznego. Organizm, mimo że wcześniej byłam dwukrotnie powyżej 7000 metrów, nie przystosował się jeszcze do nagłych zmian wysokości, nie nadążał z adaptacją do niższego ciśnienia. Musiał mieć czas, by wytworzyć dodatkowe czerwone krwinki, niemal podwoić ich liczbę. Jeszcze nie wiem o tym, że moja aklimatyzacja będzie bardzo utrudniona, a szybkie wyjście do góry może doprowadzić do katastrofy. Przyczyna? Mam silną anemię, znaczny niedobór hemoglobiny. Ale o tym dowiem się później.

Mimo złego samopoczucia pracuję przy rozstawianiu namiotu. Kilofem wyrąbuję kamienie, łopatą czyszczę teren z lodu. Mamy własne namioty, przywiezione z Polski. Danka, Janusz i ja śpimy w „Warcie 4”, Ewa i pozostała trójka chłopców – w dużym, 8-osobowym namiocie. Ewa unikała ostentacji. Zespół kobiecy – poza działalnością w górach – w bazie nie musi przebywać wyłącznie ze sobą. Wydaje mi się, że większość dziewcząt, które podejmowały próby przejść kobiecych lub przechodziły drogi w zespołach kobiecych, starała się odjąć temu charakter ostentacji. I dobrze. Jesteśmy tu jedną wyprawą, a więc nie wyodrębniajmy się specjalnie.

Po uzyskaniu zgody Wadima na działalność zespołu kobiecego stanęłam przed koniecznością opracowania planu działania. Dotychczas byłam tylko jednym z wykonawców planów opracowanych przez innych. Wydawało mi się to proste – rozłożyć wszystkie wyjścia w czasie, zaplanować, gdzie

i w jaki sposób przeprowadzić aklimatyzację, pomyśleć o sprzęcie i żywności. Praca ta poszła mi gładko, ale nie uniknęłam potknięć.

Wybrałyśmy Pik Czetyrioch (około 6400 m) jako cel aklimatyzacyjny Potem wrócimy do bazy na trzydniowy odpoczynek. Po nim wejdziemy w stylu alpejskim, bez zakładania obozów pośrednich, na Pik Eugenii Korzeniewskiej. Znów kilka dni odpoczynku w bazie, nim zmierzymy się z Pikiem Kommunizma. Taki był plan w ogólnych zarysach.

Nasi koledzy w celach aklimatyzacyjnych wybrali wejście na Pik Worobiowa (5718 m) i mieli schodzić na naszą stronę Piku Czetyrioch.

Zajęta przygotowaniem wejścia aklimatyzacyjnego, zbagatelizowałam jedną sprawę – jak podejść pod Pik Czetyrioch? Ponieważ przed nami kursowali na tej drodze Uzbecy, sądziłam, że znajdziemy ich ślady. I popełniłam błąd. Śladów nie znalazłyśmy. Podchodziłyśmy od niewłaściwej strony lodowca, plącząc się w serakach, pokonując trudne uskoki i wspinając się stromymi, kruchymi zboczami. Zajęło to tyle czasu, że tego dnia nie udało się nam dotrzeć nawet do podnóży szczytu.

Następnego dnia okazało się, że to ostatni dzień pogody. Straciłyśmy czas na błądzenie. We mgle i śnieżycy niepodobieństwem było wchodzenie na szczyt. Trudno, rozstawiłyśmy namiot i postanowiłyśmy zaczekać na kolegów, którzy tego dnia mieli schodzić z Piku Worobiowa. Aby we mgle nie błądzili na nieznanym lodowcu, wychodzimy im naprzeciw. Bez kompasu, bo w przeciwieństwie do alpinistów radzieckich nie mamy zwyczaju używania go. Kierunek wybieramy intuicyjnie. Niekiedy, na chwilę tylko, wiatr rozgarnia mgłę i wtedy możemy skorygować drogę podejścia. Wreszcie usłyszałyśmy głosy kolegów, ale dopiero w odległości około 50 metrów zaczęły wyłaniać się z mgły ich sylwetki. Po naszych śladach zeszliśmy wszyscy razem do namiotu. Dalej, dzięki przypadkowo spotkanej grupie Rosjan wracających z grani, już bez błądzenia zeszliśmy do bazy.

Krzysztof czuł się bardzo kiepsko. Był przeziębiony, prawdopodobnie miał anginę. Schodził bardzo powoli. Wszyscy, z wyjątkiem Onyszka i mnie, pobiegli do przodu. My konwojowaliśmy osłabłego Krzysztofa. W bazie Janusz objechał „szybkobiegaczy”, że nie zatroszczyli się o chorego kolegę…

Zastanawiałam się nad tym wiele razy. Jak to się dzieje, że w górach, gdzie każdego alpinistę obowiązuje pewien kodeks etyczny, zdarzają się jednak sytuacje z nim niezgodne, takie na przykład, jak pozostawienie osła-

bionego partnera? Może to dlatego, że przywykliśmy do niebezpieczeństwa i do tego, że sami musimy się z nim uporać. Nie tylko ja, ale mój partner również. Nie zawsze dostrzegamy, w którym momencie nasza pomoc jest naprawdę potrzebna. Nieraz zwlekamy, by nie ingerować w czyjeś przeżycia, dać mu możliwość satysfakcji samodzielnego pokonania trudności i niebezpieczeństw.

Jeden z najlepszych operatorów górskich, Anglik Leo Dickinson, obok alpinizmu zajmujący się lotniarstwem, narciarstwem, nurkowaniem, uprawiający prawie wszystkie niebezpieczne sporty, nakręcił film z zimowego przejścia północnej ściany Matterhornu. Jest tam scena, która szczególnie utkwiła mi w pamięci – trójka alpinistów podchodzi pod ścianę, czwarty, Leo, filmuje.

Znam ten teren – bardzo strome podejście, niebezpieczne, narażone na lawiny. Sama w tym miejscu spadłam z małą lawinką śnieżną. Przypomnienie własnych przeżyć znajduję w kolejnych kadrach filmu. Jeden z podchodzących, ogarnięty olbrzymią lawiną pyłową, osuwa się wraz z nią. Widać wyraźnie, jak go kotłuje. Jego partnerzy przystanęli i patrzą w dół. Leo nie przerywa filmowania. Zmieciony lawiną alpinista w końcu zatrzymuje się. Usiłuje wstać, wstaje, otrzepuje się, sprawdza, czy nic mu się nie stało. Podnosi czekan i macha nim w kierunku tych na górze – wszystko w porządku! Uspokojeni ruszają dalej, nie czekając, aż partner dojdzie do nich. Nie zważają na fakt, że ten uspokajający gest jest być może pozorny, a ich towarzysz może się znajdować w stanie szoku, w którym nie czuje się, na przykład, bólu złamanej nogi, i próbuje się wspinać dalej.

Tym razem rzeczywiście wszystko okazało się w porządku. Ale analizując zachowanie dwójki alpinistów, można przypuścić, że nie było ono spowodowane obojętnością. To raczej, jak już wspomniałam, niechęć do ingerencji w czyjeś przeżycia, w prawo do przeżyć niebezpiecznych, w prawo do ryzyka i strachu. Pomoc powinna być udzielona tylko wówczas, gdy ktoś o nią prosi, albo kiedy wyraźnie widać, że jest potrzebna.

Ten mechanizm obserwowałam bardzo często w górach i wierzę, że nie jest to egoizm ani obojętność na los drugiego człowieka. Góry kształtują bardzo silną więź między wspinającymi się partnerami, uczą solidarności. Ale przy wyższym stopniu umiejętności występuje pewne zobojętnienie na los partnera i niebezpieczeństwo. Stajemy się trochę zadufani we własne siły i wierzymy, że każdy z tych dobrych da sobie radę. Niebezpieczeństwo

chcemy pokonywać wspólnie, ale zostawiamy każdemu jakby pewną strefę indywidualną na przeżywanie go. Bo każdy tego trochę potrzebuje – samotności w działaniu i przeżywaniu, zda – wania egzaminu górskiego tylko przed sobą. Najłatwiej przychodzi to na wyprawach. W dużym, kilkunastoosobowym zespole nie sposób myśleć o każdym uczestniku wyprawy, nie sposób interesować się poczynaniami każdego z nich. Ograniczamy się do kilku osób, które lubimy. Nie wszyscy znajdą się w kręgu zainteresowania, a i my możemy znaleźć się poza uwagą innych. Wówczas łatwo przegapić moment, kiedy jeden drugiemu powinien przyjść z pomocą.

Z Krzysztofem, którego lubimy, tak się nie stało.

Podobna sytuacja powtórzyła się kilkanaście dni później. Tym razem Danka pozostaje z tyłu przy zejściu z Piku Kommunizma, mimo że na szczyt prawie wbiegła. Teraz wlecze się ostatnia. Po Krzysztofie można było poznać, że jest chory, okazywał to ostentacyjnie. Danka natomiast mało komunikuje się z zespołem, nie skarży się, tylko na rozległym, firnowym Wielkim Plateau porusza się wolniej niż inni. Zresztą ci inni również mają już dość.

Wszyscy są po akcji na Piku Kommunizma, pod wrażeniem śmierci Ewy i po transporcie jej ciała na przełęcz między Pikiem Duszanbe a Pikiem Kommunizma, gdzie na wysokości prawie 7000 metrów została pochowana. Są wyczerpani długim przebywaniem na tej wysokości, nadmiernym wysiłkiem fizycznym, niewyspaniem i niejedzeniem. Jeden z kolegów zwichnął staw skokowy. Zespół właściwie jest w rozsypce.

Wreszcie ktoś zauważa brak Danki i czeka na nią. Gdy po dłuższym czasie dochodzi, zostaje zwymyślana – że nie idzie ze wszystkimi. Nikt nie pyta, czy może źle się czuje, czy nie należy jej pomóc? Danka załamuje się. Prosi o radiotelefon. Potrzebuje oparcia, chce usłyszeć parę ciepłych słów, chce rozmawiać ze mną.

W tym czasie jestem w bazie. Rozżalona, mówi rzeczy, których nie powinna mówić. Po powrocie do bazy, a nawet później, już w kraju, będzie to roztrząsane. Ale rozmowa pomogła jej zebrać się. Danka zresztą z natury jest twarda i odporna na agresję.

Wiele razy zastanawiałam się nad tym wydarzeniem. Czy był to tylko epizod, nieważny w gruncie rzeczy, wynikły z deterioracji i wyczerpania, poczucia zagrożenia w trudnej sytuacji, kiedy słownictwo mało przypomina salonowe, a formy zwracania się do siebie stają się agresywniejsze? Ta

agresja w górach to wynik zagrożenia, podświadoma samoobrona. Poprzez utrzymanie się w takim nastroju człowiek czuje się przygotowany do zmagań z niebezpieczeństwem albo też rozładowuje zbyt silne napięcie. Ale agresja rozproszona na wszystko dookoła nie rozładowuje. Dopiero skupiona na kimś lub na czymś daje tę możliwość. Ten ktoś to w podświadomości umowny sprawca zagrożenia, niepewności. Tępienie i gnębienie go to odwet.

W każdym zbiorowisku ludzi zagrożonych zostanie wyznaczony kozioł ofiarny. Zostaje nim ktoś najbardziej różniący się od pozostałych, co nie znaczy, że gorszy. To niemalże atawizm, jak dziobanie przez stado ptaka o innym upierzeniu. Dlaczego ofiarą tego atawistycznego zachowania padła właśnie Danka?

W Pamirze zetknęłam się po raz pierwszy z problemem „kobieta partner w zespole męskim". Partner, a nie beniaminek, maskotka. Kobieta w zespole męskim to drażniąca w sytuacjach stresowych inność, budząca agresję lub eliminację z grupy przez obojętność, większą niż w stosunku do najmniej łubianego partnera. A więc, jeżeli kobieta chce być tylko partnerką w grupie mężczyzn i nie ma tradycyjnej ochrony w postaci męża lub przyjaciela, to oprócz tego, że musi być dobrą alpinistką, powinna odpowiadać wyobrażeniom grupy o kobietach. Różnym, w zależności od grupy. Danka różniła się najbardziej od akceptowanego przez kolegów wizerunku, została więc kozłem ofiarnym. Uświadomienie sobie tych mechanizmów jeszcze bardziej skłaniało mnie do wspinaczek i wypraw kobiecych, każąc zapominać o ich złych stronach. Dopiero wówczas, kiedy standardowy, akceptowany wizerunek kobiety w grupach męskich zmieni się, a kobiety podejmą działalność dotychczas wyłącznie męską, ich udział w wyprawach alpinistycznych będzie czymś naturalnym. Zmianę wizerunku mogą spowodować konkretne osiągnięcia kobiet, osiągnięcia samodzielne.

W Pamirze w 1974 roku nasza trójka to precedens. Po raz pierwszy w górach wysokich Polki będą wchodzić na szczyty siedmiotysięczne w zespole kobiecym. Radzieckie alpinistki wyprzedziły nas o dwa lata. 26 lipca 1972 roku, po 6 dniach od wyjścia z bazy na lodowcu Moskwina, na szczycie Piku Eugenii Korżeniewskiej staje czwórka alpinistek. Elwira Szatajewa, inicjatorka przedsięwzięcia, napisze później:

A jednak stoimy na szczycie. Niezupełnie co prawda stoimy, raczej chwiejemy się. Ï ta kipiąca radość z osiągnięcia celu, ogromna radość urzeczy-

wistnienia dawnego marzenia. Jesteśmy zupełnie same na wysokości 7105 m. I nawet nie te metry są ważne, ważne jest to, że stoimy tu same. A mężczyźni? Mężczyźni są teraz daleko w dole.

Koledzy, trenerzy i inni uściskami dłoni i pocałunkami pożegnali tę czwórkę 16 lipca w bazie na lodowcu Fortambek.

– Bez zwycięstwa nie wracajcie! – powiedział na pożegnanie Witalij Michajłowicz Abałakow, mistrz sportu, żyjąca legenda radzieckiego alpinizmu, pokrywając wzruszenie surowością. Słowa te inaczej brzmiały w dniu zwycięskiego powrotu z Piku Korżeniewskiej, a innego znaczenia nabrały w dwa lata później.

W 1974 roku Elwira podjęła kolejną próbę – po zdobyciu Piku Korżeniewskiej i trawersie kaukaskiej Uszby – kobiece wejście na Pik Lenina (7134 m).

30 lipca osiem alpinistek wyruszyło z bazy na Łukowej Polanie. Szły powoli, zbyt powoli, ale wytrwale. 5 sierpnia osiągnęły szczyt. 6 sierpnia straszliwa zawierucha odcięła im drogę powrotu. Wiatr w strzępy porwał namioty, zaginęły w zawiei śpiwory i maszynki do gotowania. Uwięzione na wysokości prawie 7000 metrów umierały, zamarzając po kolei. 7 sierpnia wieczorem Elwira zgłosiła się przez radiotelefon do bazy po raz ostatni:

– Pozostało nam tylko pół godziny życia…

Radiotelefon zamilkł. Tym, którzy słuchali w bazie, przez ściśnięte gardła nie mogły wydobyć się żadne słowa pociechy. Nie było dla dziewczyn żadnej nadziei. Wielu alpinistów płakało.

8 sierpnia na miejsce tragedii dotarł zespół japońskich alpinistów, uczestników międzynarodowego obozu „Wysotnik”. Siedem ciał wiatr omiatał śniegiem. Ślad ósmej dziewczyny prowadził w stronę północnego obrywu. Jej ciała nie odnaleziono. Tak zginęły: Elwira Szatajewa, Nina Wasiljewa, Walentyna Fatajewa, Ilsijar Muchamiedowa, Tatiana Bardaczowa, Irina Liubimcewa, Galina Pieriechodiuk i Ludmiła Manżarowa.

W tym samym czasie, kiedy one szły na Pik Lenina, my planujemy kobiece wejście na Pik Eugenii Korżeniewskiej. Trochę nawet żartujemy na temat opisu wejścia Elwiry i jej koleżanek na Pik Korżeniewskiej. Dziewczyny szły niezwykle ostrożnie, z pełną asekuracją tam, gdzie my chodziłyśmy niezwiązane. Dziwimy się, że zdecydowały się na tak wiele obozów – co kilkaset metrów. Wydaje nam się to błędem. Na znacznej wysokości należy przebywać jak najkrócej. Bardziej niż wysiłek podejścia wyczerpuje

samo przebywanie w strefie śmierci, kiedy organizm ma ujemny bilans energetyczny. Rosjanki były tak wzruszająco sentymentalne! Tuż pod szczytem rozmawiają z bazą przez radiotelefon. Cieszą się z bliskiego zwycięstwa, płaczą, spierają się, która ma wejść pierwsza na szczyt. Każda wskazuje na koleżankę. W końcu obejmują się i wchodzą wszystkie razem.

U nas odbywa się to jakoś zwyczajnie. Ot, zwykłe wyjście w góry. Pakujemy plecaki i 2 sierpnia wychodzimy z bazy. Każda z nas wie, co ma robić, spędziłyśmy wspólnie wiele czasu w górach. Danka, choć drobna i niewysoka, w górach jest niespożyta. Kokieteria jest u niej tak nieodłącznym odruchem, że na wysokości 6000 metrów maluje tuszem rzęsy, choć wiadomo, że tylko my będziemy ją oglądały „pod bronią". A przy tym jest bardzo twarda i odporna, stawia zazwyczaj jasno sprawy, nie ma w sobie cienia obłudy i zawiści. Nie wszyscy ją lubią. Wydaje mi się, że znalazłam do niej klucz i lubimy się, choć mam jej czasem to i owo za złe, a i ona mnie. Zaprzyjaźnił nas północny filar Eigeru, trochę zimowych i letnich wspinaczek w Tatrach.

Ewa od czasów Noszaka bardzo dojrzała. Nie ma zmiennych nastrojów, czuje się pewniej w górach. Ciągle aktywna, w naturalny sposób zdyscyplinowana, myśląca o innych, wciągająca ludzi w ciekawe rozmowy, choćby o terenach zielonych – jest architektem przestrzeni – o których opowieści wydają się tak niezwykłe tutaj, gdzie ostatnia, mizerna zieleń pozostała kilka tysięcy metrów niżej. Ewa ani na chwilę nie poddaje się tak częstej na wysokościach bezmyślnej stagnacji, byle tylko przetrwać. Ja czuję się wyraźnie źle. Nie rozumiem, dlaczego tak trudno mi się podchodzi.

3 sierpnia przenosimy *zabroskę* – zostawiony wcześniej na wysokości 5800 metrów namiot z jedzeniem i paliwem – na przełączkę w grani, leżącą 200 metrów wyżej. W nocy załamuje się pogoda. Rano wiatr niesie kłęby śniegu. Widoczność prawie żadna. Ale z tego miejsca nie sposób już zabłądzić. Wystarczy trzymać się ostrza grani, by osiągnąć szczyt. Dlatego, mimo złej pogody, ruszamy do góry. Uskok skalny, wznoszący się nad obozem, pokonuję bez trudności, wspinaczka nie jest tak męcząca, jak żmudne podchodzenie. Zostawiamy linę poręczową na zejście. Potem znów grzęźniemy w śniegu. Torujemy na zmianę, ale silny wiatr tak szybko zasypuje ślady, że druga osoba, idąca za torującą, już ich nie dostrzega. Umęczone wiatrem poddajemy się. Rozstawiamy namiot na 6500, zamiast 200 metrów wyżej.

Następnego dnia walczymy dalej, choć pogoda nie poprawia się. Uszłyśmy niedaleko. Jeszcze jeden nocleg na grani. Może ostatni?

6 sierpnia widoczność poprawia się, choć wiatr wieje nadal. Jest bardzo zimno, co najmniej minus 20°C. Jednak decydujemy się – wychodzimy!

W nocy miałam kłopoty z oddychaniem, bolały mnie plecy, dusiłam się. Nie mogłam spać. Męczyłam się, leżąc z nosem przy zimnej, dygocącej na wietrze ścianie namiotu. Kusiło, żeby przyznać się dziewczynom, że jestem chyba chora. Rano, mimo że wokół tak wiele przestrzeni, czułam się jak w pułapce. Z niepokojącym uczuciem duszenia się podchodziłam kilkaset metrów wspólnie z Ewą i Danką, torując na zmianę. Potem zaczęłam zostawać w tyle, coraz bardziej tracąc siły.

– Idźcie same, nie czekajcie na mnie! – zawołałam.

Postały chwilę, pogadały między sobą i ruszyły do góry. Szybko zniknęły za śnieżnym uskokiem grani. Ruszyłam i ja, wolnym tempem, często odpoczywając. Jakoś zmęczę te kilkaset metrów do szczytu – dodawałam sobie otuchy. Żmudnie torowałam zasypany śniegiem ślad po dziewczynach. Psychicznie czułam się dobrze, choć miałam świadomość własnej słabości. Próbowałam zmóc ją chytrością, zmieniałam tempo, zażyłam glucardiamid. 200 metrów przed szczytem dostrzegłam przed sobą dwie sylwetki. Dziewczyny wracały. Króciutkie ukłucie zazdrości, ale i radość. Moje zdobycie lub niezdobycie szczytu niczego już nie zmieni. Jako zespół odniosłyśmy sukces. Z trudem porozumiewamy się w wichurze. Są bardzo wychłodzone wiatrem uniemożliwiającym dłuższe przebywanie na szczycie. Zostawiły na nim proporczyk, zabrały „zapiskę” naszych kolegów, którzy byli tu przed kilkoma dniami. Chcą, bym schodziła razem z nimi, ale jeszcze nie poddaję się. Przerażone moim uporem nie mogą nic zrobić, nie ściągną mnie przecież na dół siłą. Schodzą do namiotu, a ja mozolnie, z uporem pnę się do góry.

Grań podszczytowa co chwila mami, że za kolejnym śnieżnym uskokiem zobaczę wreszcie wierzchołek. Silny wiatr utrudnia utrzymanie i tak chwiejnej równowagi. Słabnę coraz bardziej, choć mam świadomość, że jeszcze mogę się uratować. Wreszcie wyłania się kopuła wierzchołka. Wiatr wywiał jego zbocza aż do kamieni. Nad granią widzę przelatujące czarne ptaki. Majaczę? Nie, *ptice* są prawdziwe. Ale przestraszyłam się. Jeszcze trochę i nie będę miała sił na zejście. Zawracam!

W chwili podjęcia decyzji już poczułam się bezpieczna. Tak jakby odwrócenie się od szczytu i schodzenie w dół niwelowało fakt, że znajduję się na wysokości 7000 metrów, że jestem sama i czeka mnie 500 metrów brnięcia w śniegu, zmagania z wiatrem i słabością na śnieżnej grani, pociętej uskokami. Schodziłam z trudnością. Dziewczyny co jakiś czas wychodziły przed namiot, wyglądały mnie. Kiedy dotarłam do namiotu, nie komentowały mojej samotnej próby.

Noc miałam ciężką. Dusiłam się, a plecy dokuczały coraz bardziej. Następnego dnia dotarłyśmy do skalnego uskoku nad przełęczą wgrani. Zjeżdżałam pierwsza w kluczu zjazdowym. Kiedy zwolniłam linę, stojąc już na śniegu, rozpoczęła zjazd Ewa. Kilka metrów nade mną nagle zatrzymała się, przywierając do skały. Może była to chwilowa niedyspozycja spowodowana zmęczeniem, ciągłym uczuciem zagrożenia, obawą przed odpadnięciem? Podeszłam i przypięłam ją do haka, który pospiesznie wbiłam. Na chwilę jej pomogłam, choć pomoc ta jakże była iluzoryczna!

Bo tak naprawdę w górach nikt nikomu nie pomoże. Nie weźmie na plecy i nie zniesie na dół wyczerpanego kolegi. Może jedynie zmobilizować tego drugiego, by sięgnął do swoich rezerw. Może stworzyć, być może złudne, poczucie bezpieczeństwa, przywrócić wiarę we własne siły, zachęcić do dalszego działania.

Może dzięki tej chwili odpoczynku i odprężenia, kiedy przywiązana do dającego pewność haka była bezpieczniejsza, Ewa poczuła się lepiej. Spokojnie zjechała pozostałe kilkanaście metrów, dzielące nas od namiotu. Dalsze zejście jest łatwe. Schodzimy każda swoim tempem, one trochę szybciej niż ja. Żleb nad lodowcem Moskwina jest teraz przykryty warstwą śniegu. Buty ślizgają się na mokrych kamieniach, tracimy równowagę, osuwamy się z małymi lawinkami kamiennymi.

Dochodzimy do bazy. Wychodzą nam naprzeciw koledzy. Mają ze sobą śmieszne medale wycięte z papieru – „Za wejście”. Ale o nich dowiedziałam się później. Aby nie robić mi przykrości, kiedy dowiedzieli się, że nie byłam na szczycie, nie wręczyli medalu żadnej z nas.

Teraz już wiem, dlaczego z takim trudem wchodziłam. Obrzęk płuc. Helikopter odtransportował mnie do szpitala w Dżirgitalu. Wprawdzie wróciłam do bazy po tygodniu, ale już nie miałam szans na udział w dalszej akcji. Ze szpitala wracałam również helikopterem, okrężną drogą, gdyż pilot chciał mi pokazać góry Pamiru w całej okazałości. Na wysokości 6000 me-

trów lecieliśmy w stronę Piku Lenina. W cztery lata po wejściu na ten szczyt znów go zobaczyłam. Wylądowaliśmy w znanym mi już obozie „Wysotnik” Panował tu nastrój smutku i przygnębienia. Od alpinistów radzieckich dowiedziałam się o śmierci ośmiu alpinistek nagrani Piku Lenina. W górze było wtedy wiele grup, Japończycy, Polacy i Amerykanie, ale ich radiotelefony działały na innej częstotliwości i z bazy nie można było porozumieć się z nimi, by prosić o pomoc dla dziewcząt. Grupa alpinistów, która wyruszyła z bazy na poszukiwanie, nie odnalazła ich na rozległej grani. Fatalna pogoda ograniczała widoczność do kilkunastu zaledwie metrów.

Spośród tych, które zginęły, znałam tylko Elwirę. Poznałyśmy się w Szwajcarii na międzynarodowym spotkaniu alpinistek. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych, ale poprzez góry związała się ze sportem. Była odważna w górach i poza nimi, chciała przełamywać bariery psychiczne i zwyczajowe, piętrzące się przed alpinizmem kobiecym, inicjowała przedsięwzięcia górskie zespołów kobiecych.

Tragedia pod Pikiem Lenina wstrząsnęła mną. Podobne katastrofy górskie pochłonęły wiele już ofiar. Ginęli w nich jednak głównie mężczyźni. Jeśli kobiety podejmują takie samo ryzyko, to nie mogą łudzić się, że góry potraktują je łagodniej. Ale śmierć Elwiry i jej koleżanek była przerażająca i jakoś bardziej niesprawiedliwa. O moim wejściu na Pik Kommunizma nie było już mowy. Lekarz nie chciał nawet rozmawiać na ten temat. Musiałam pozostać w bazie. Zespół kobiecy liczył już tylko dwie osoby i przestał być zespołem. Ewa i Danka dołączyły do kolegów.

Rosjanie nie wyrażali zgody, by nasi chłopcy robili nową drogę na murze Piku Kommunizma, wyprowadzającym na Pamirskie Plateau od strony lodowca Waltera. Zgodzili się jedynie na wejście filarem Borodkina. Byłoby to drugie przejście tej drogi. Filar był znakomicie widoczny z naszego obozu bazowego.

Przed polskim zespołem wyruszyli tą drogą alpiniści radzieccy – grupa graniowa i grupa wspomagająca, która miała ułatwić tym pierwszym podejście pod Pik Kommunizma, donieść niezbędny sprzęt i zabrać niepotrzebny.

Polska grupa wyruszyła dwa dni później. Obserwowałam ich poczynania przez lunetę. Dla mnie w bazie panowała już wakacyjna atmosfera. Pogodzona z tym, że jestem wyłączona z akcji, z dużą przyjemnością piekłam szaszłyki z Wadimem, który jako *rukowaditiel* pozostawał w bazie i obserwował działalność swej wyprawy. Było niewiele osób, co stwarzało nie-

zwykle miłą, kameralną atmosferę. Zajadałam się ziemniakami w mundurkach z masłem i marynowanymi śledziami z cebulą.

Grupa idąca filarem Borodkina była widoczna tylko przez dwa dni. Potem zniknęli na Pamirskim Plateau. Ich dalsze losy znam już tylko z późniejszych relacji. Onyszek opowiadał, że we mgle, która ich tam ogarnęła, nagle natknęli się na Rosjan, którzy przecież wyszli dwa dni wcześniej. Z niezrozumiałych dla nas przyczyn szli bardzo wolno. Dopiero zdopingowani tempem zespołu polskiego, który mimo mgły szedł ostro do góry, zwinęli obóz i wyruszyli na przełęcz między Pikiem Duszanbe a Pikiem Kommunizma.

Tego dnia do bazy przyleciał helikopter, który miał zrzucić żywność na Plateau. Nie wytrzymałam tych bazowych wywczasów i zabrałam się „okazją". Pamirskie Plateau to równina leżąca na wysokości 6000 metrów, obrywająca się uskokiem o wysokość 2000 metrów. Niesamowite wrażenie sprawiał moment wznoszenia się helikoptera i przekraczania granicy Plateau. Wydawało się, że kiedy lecimy nad równiną, jesteśmy bezpieczni. Zupełnie irracjonalny strach poczułam, kiedy zbliżyliśmy się do krawędzi uskoku – tak jak byłaby jakaś różnica, czy spadniemy z wysokości 100 czy 2000 metrów.

Zrzuciliśmy żywność – świeże mięso, wysokokaloryczne jedzenie, a nawet jakieś ciepłe danie zawinięte w srebrną folię i wróciliśmy do bazy. Znów przez lunetę obserwowałam sylwetki pnące się już na kopułę szczytową Piku Kommunizma. Dzień był słoneczny, widoczność znakomita. Patrzyłam na kolegów i usiłowałam wczuć się w ich doznania w tej chwili. Żeby choć w ten sposób nie być bezsilną i wyeliminowaną, nie być obok. Była to godzina kontaktu z nimi. Nagle usłyszałam krzyk Wadima:

– Wanda, szybko! Ewa spadła!

Rzuciliśmy się do lunety. Na oświetlonej zachodzącym słońcem ścianie, 300 metrów poniżej kopuły szczytowej, widać było maleńką plamkę – czerwoną kurtkę Ewy…

Po powrocie do Polski przez dłuższy czas nie mogłam się uporać ze sobą. Gorączkowałam, co było następstwem obrzęku płuc i anemii. Zakończyło się to szpitalem. Na łóżku szpitalnym miałam sporo czasu na rozmyślania. Nie były one optymistyczne. W końcu września robiłam bilans 1974 roku. Wynik był ujemny pod każdym względem. Zawodowo byłam na znacznie gorszej pozycji niż koledzy ze studium doktoranckiego – czas przeznaczony

na doktorat wykorzystałam na góry. Po rozwodzie miałam kłopoty mieszkaniowe, a po tragicznej śmierci ojca uczestniczyłam w wielu posiedzeniach sądu jako oskarżyciel posiłkowy. Poza tym sprawy związane z alpinizmem – mimo że poświęcałam im tak wiele czasu – również nie przedstawiały się dobrze.

Wiosną tego roku nieoczekiwanie dla siebie samej nie zostałam uwzględniona w składzie zimowej wyprawy na Lhotse. Wydawało mi się, że moje osiągnięcia są najlepsze wśród osiągnięć polskich alpinistek. Za sobą miałam trudne przejścia tatrzańskie latem i zimą, Eiger, Trollryggen, a także dwa siedmiotysięczniki. Ale udział alpinistki w tej wyprawie miał być elementem dodatkowym do zasadniczej działalności zespołu męskiego. Jeżeli się uda, wprowadzi się dziewczynę na Lhotse. Już samo określenie – „wprowadzi się" – doskonale charakteryzowało całe przedsięwzięcie, stawiało uczestniczkę wyprawy w podrzędnej nieco roli. Później dowiedziałam się, że mój udział był niepożądany, bo za bardzo chciałabym wejść na szczyt, zagrażając w ten sposób spokojowi na wyprawie.

Przeżyłam ogromny wstrząs, kiedy okazało się, że jedzie inna alpinistka. Nie wystarczy być dobrym alpinistą i nie wystarczy chęć zdobycia szczytu – trzeba jednocześnie zmieścić się w kalkulacjach, czy taka akurat osoba jest potrzebna wyprawie. Jeżeli mój udział był niedogodny z punktu widzenia interesów wyprawy, należało przyjąć to jako rzecz normalną. Niestety, potraktowałam to jako osobistą porażkę.

Było to pierwsze duże niepowodzenie związane z górami, a które spotkało mnie poza nimi. Potem był Pamir i choroba, co jakby potwierdziło moją nieprzydatność. Ale żeby iść pod górę, trzeba znaleźć się na dole. Po latach oceniam ten rok jako okres przygotowawczy do wielu następnych lat, twórczych, niekiedy szczęśliwych.

Postanowiłam zmobilizować się do działania. Nie czekać, by ktoś zabrał mnie na wyprawę, lecz zorganizować ją sama. Jeszcze ze szpitala rozpoczęłam rozmowy telefoniczne z Ewą Krasińską i Januszem Kurczabem. Chciałam reaktywować komitet organizacyjny wyprawy warszawskiej, która za cel wybrała Annapurnę. Wyprawa była planowana na rok 1974 lub 1975, jednak nie otrzymała zezwolenia na Annapurnę I. Komitet organizacyjny był w rozsypce – Ewa Czamiecka-Marczak, która była motorem tej wyprawy, zginęła w Pamirze, ja leżałam w szpitalu, a Janusz Kurczab szykował

się na K2 – został kierownikiem narodowej wyprawy na ten szczyt. I prawdę mówiąc, poza mną i Januszem Onyszkiewiczem, nie został nikt.

Postanowiłam przejąć tę sprawę, korzystając z faktu, że wyprawa była zatwierdzona w programie warszawskiego Klubu Wysokogórskiego, i wrócić do pomysłu wyprawy kobiecej, który powstał, kiedy z Alison żegnałyśmy Arlene Blum po wyprawie na Noszak.

Zaczął się najwspanialszy okres, choć nieraz oczy piekły ze zmęczenia i głowa pękała po wielogodzinnych dyskusjach. Początkowo nad celem i formą tej wyprawy rozmawiałam głównie z Ewą Krasińską. Bardzo spokojna, rozważna, realnie i wnikliwie potrafiła ocenić nasze szanse. Rozmowy z Ewą, a potem z Alison i Januszem Onyszkiewiczami zaowocowały projektem zorganizowania wyprawy kobiecej i męskiej; współdziałających ze sobą, ale mających różne cele. Organizacja w kraju miała być wspólna, a po przybyciu na miejsce działania wyprawy miały się rozdzielić.

Wybrano dwa sąsiadujące szczyty – Gasherbrum II (8035 m) i Gasherbrum III (7952 m), leżące w paśmie Karakorum. Był to dobry plan. Zarówno organizacja wyprawy w kraju, jak i domarsz mogły być przeprowadzane wspólnie, co obniżałoby koszty i ułatwiało załatwianie różnych spraw, natomiast działalność górska byłaby już niezależna. Pomysł na takie organizowanie wyprawy miał dodatkową zaletę – zespół kobiecy nie stanąłby od razu wobec pełnej samodzielności, zwłaszcza organizacyjnej, która, być może, przerastałaby nasze możliwości i doświadczenia. Podejmując taką inicjatywę i startując z pozycji, wydawałoby się, straconej, nie można było sobie pozwolić na błąd lub niedopatrzenie, którego konsekwencją mogło być niepowodzenie wprawy. A ta wyprawa musiała się udać. Z wielu powodów.

Po śmierci ośmiu alpinistek radzieckich w Pamirze nastąpił właściwie koniec alpinizmu kobiecego w Związku Radzieckim. Obawiałyśmy się, że może to mieć wpływ na decyzję naszych władz sportowych. Żeby stworzyć zaufanie i wiarę w samodzielne działanie kobiet w górach, należało przeprowadzić udaną wyprawę. Potrzebny był sukces.

GORYCZ SUKCESU

Próbowałam
nie udawało się
wiele razy
wodziło na pokuszenie
poddaj się
mogłam znaleźć wykręt
choćby zwolnienie lekarskie
„niezdolna do walki”
nie zrobiłam nic
walczę
aż do gorzkiego końca

przeciwko nim
przeciwko tobie
przeciwko sobie samej
i wygram
ponieważ
nie mam
innego
wyjścia.

W roku 1975 dochodzi do skutku wyprawa, którą kieruję, a jednocześnie jestem kimś więcej niż tylko jej współtwórczynią. Utożsamiałam się z wyprawą i to tak dalece, że uważam ją niemal za swoją własność. Dla niej odłożyłam na bok prawie wszystko. Organizowałam ją z beznadziejnych pozycji. Właściwie prawie każda wyprawa startuje z takich pozycji, przynajmniej tak sądzą organizatorzy i uczestnicy zarazem. Muszą przebić się przez konkurencję, zdobyć pieniądze, przygotować żywność, sprzęt i transport.

Ale nasza wyprawa była naprawdę niezwykła. Po raz pierwszy z Polski w góry wysokie miała wyruszyć wyprawa kobieca. I dlatego miała więcej niż inne wyprawy zarówno zwolenników, jak i przeciwników. Do jej zbilansowania chcę przystąpić pod kątem własnych zysków i strat, opowiedzieć, dlaczego była dla mnie tak ważna. Nie zamierzam więc zdawać dokładnego sprawozdania z przebiegu wyprawy. Tę rolę w dużym stopniu spełnia książka „Zdobycie Gasherbrumów", praca zbiorowa uczestników. Z kolei film, który powstał na podstawie wydarzeń wyprawowych – „Temperatura wrzenia" Andrzeja Zajączkowskiego – skupia uwagę na relacjach zespół – kierownik, na sposobach, jakimi kierownik realizuje swój cel czy też cel wyprawy. Film nie jest dokumentem w pełnym tego słowa znaczeniu, nie zawiera najistotniejszych informacji o dokonaniach wyprawy – dwu zdobytych szczytach, czterech udanych atakach szczytowych i dwunastu zdobywcach.

Wyprawa okazała się, jak stwierdził Polski Związek Alpinizmu, do roku 1975 najowocniejszą z polskich wypraw powojennych. Dla mnie stała się punktem zwrotnym w alpinistycznym życiorysie, źródłem niezapomnianych przeżyć i podstawą do rozważań, które snułam w czasie wyprawy i długo po powrocie z gór.

Do zorganizowania wyprawy skłoniło mnie wiele czynników. Sportowe – niezdobyta góra, Gasherbrum III (7952 m) w Karakorum i zespół alpinistek, mogący pokusić się o pierwsze wejście na ten szczyt. Z innych czynników wymienię dwa subiektywne. Pierwszy z nich był negatywny – wyprawę poprzedzał okres zasłużonych i niezasłużonych porażek, a nagromadziło się ich sporo. Narastała więc we mnie chęć zwalczenia złej passy. Drugi czynnik wynikał z coraz wyraźniej uświadamianej sobie potrzeby tworzenia – określenia zadania, zebrania zespołu, zorganizowania środków i przeprowadzenia akcji górskiej aż do osiągnięcia celu, czyli zdobycia szczytu.

Aby wyprawa kobieca mogła dojść do skutku, należało przyjąć, że ze względów taktycznych i organizacyjnych równolegle do niej będzie działał zespół męski, prowadząc nową drogę na Gasherbrum II (8035 m), zdobyty w 1956 roku przez Austriaków. Tuż przed wyjazdem z kraju okazało się jednak, że zespół męski nie otrzymał zezwolenia władz pakistańskich na ten szczyt. Stał się więc zespołem towarzyszącym wyprawie kobiecej, która miała pierwszeństwo w zdobywaniu Gasherbrumu III. Gdyby nam się nie

powiodło, prawo zdobywania szczytu odstępowałyśmy kolegom. Oni nie tracili jednak nadziei, że w Pakistanie uzyskają zgodę na swój pierwotny cel i nie będą odgrywać drugoplanowej roli.

Wyprawa zainicjowana w Klubie Wysokogórskim w Warszawie musiała jednak wydostać się spod jego „opieki". Prezes klubu i kierownik wyprawy na K2, planowanej na rok 1976, utrudniali jak mogli działanie „konkurencji". Wyprawę naszą przejął pod swój patronat Polski Związek Alpinizmu. Dzięki temu stała się imprezą centralną, korzystając z wielu udogodnień wynikających z nowego statusu.

Po półrocznym okresie zmagań organizacyjnych wyprawa była gotowa do wyjazdu z Polski bez opóźnień. Należało uznać to za pierwszy sukces. Nie byłby on możliwy bez współdziałania wielu osób spoza kręgu uczestników. Czynniki warunkujące ten pierwszy sukces były bardzo niespójne i przypadkowe, ale szczęśliwie ich wypadkowa raźno posuwała organizację wyprawy do przodu. Wychodziłam temu szczęściu naprzeciw z determinacją i wiarą, zarażającą chyba innych.

Przygotowanie przedsięwzięcia, które chce się przeprowadzić, jest jego integralną częścią, równie ważną jak ono samo. Połączenie umiejętności organizacyjnych i wspinaczkowych jest w alpinizmie konieczne. Nie można sobie wyobrazić sytuacji, kiedy organizator lub działacz stawia alpinistę pod ścianą i odgwizduje początek wspinaczki. Sukcesy alpinistyczne odnoszą ci, którzy potrafią łączyć obie umiejętności, jak na przykład Reinhold Messner, Chris Bonington, a z polskich alpinistów – Andrzej Zawada, Janusz Kurczab i Wojciech Kurtyka.

Ale organizacja jest mniej wdzięcznym zadaniem niż wspinanie się, więc niektórzy wykręcają się od niej. Nie mogą, nie chcą, z lenistwa i wygody. A przy organizacji wyprawy trzeba być wszystkim – „mózgiem", reprezentantem oficjalnym, sekretarką, gońcem, tragarzem, zaopatrzeniowcem, pakowaczką. Jestem takim „omnibusem". Pozostali uczestnicy nie wszyscy w równym stopniu biorą udział w przygotowaniach. Więc pierwszy dysonans. Czy można traktować wyprawę jako spółkę akcyjną, w której każdy może otrzymać udział w zyskach w zależności od wkładu, w tym przypadku pracy? Czy faworyzować słabszego fizycznie, ale ofiarnego uczestnika, czy przymknąć oko na migającego się od roboty, ale asa wgórach?

Problem ten nie był wówczas jątrzący, ponieważ ginął w ogólnym entuzjazmie. Mieliśmy sporo zrozumienia dla siebie nawzajem, bo każdy był

czymś ograniczony – rodziną, pracą. Dopiero kiedy oderwiemy się od tego wszystkiego – myśleliśmy – i będziemy już w górach, wtedy wszyscy będą mogli zaangażować się w „czarną robotę” wyprawową. Ale tak się nie stało. Ci, którzy unikali pracy w kraju, unikali jej również w górach. Nie było równości w wypełnianiu obowiązków. Mimo wszystko ten pierwszy okres działalności wyprawy w kraju pozostał we wdzięcznej pamięci. Wszystko było przed nami i każde działanie w widoczny sposób zbliżało nas do celu.

Potem, w górach, zostaliśmy sami ze sobą. Przez dwa miesiące osiągnięcie celu zależało tylko od nas, choć wiele razy mieliśmy wątpliwości, czy jakaś podjęta decyzja zbliża do niego. Po raz pierwszy miałam kierować dwudziestoosobowym zespołem i, jak się później okazało, nie zdawałam sobie sprawy z wielu mechanizmów, działających w tak licznej grupie. Nie występowały one w małych zespołach, z którymi dotychczas miałam do czynienia. Im społeczność wyprawowa większa, tym podobniejsza do normalnego społeczeństwa, ze wszystkimi regułami jego funkcjonowania.

Ale wyprawa nie działała w warunkach normalnych, lecz w sytuacji zagrożenia, niejako w stanie wyjątkowym. Zaskoczyło mnie, że pod Gasherbrumami niektórzy koledzy nie uznali nadzwyczajności działania. Chcieli, by w górach obowiązywały takie same reguły społeczne, jak na dole – demokracja, poszanowanie form dialogu władzy ze społeczeństwem, istnienie opozycji, pełna informacja, jawność oraz niezmienność decyzji i ustaleń. I to niezależnie od zmieniających się okoliczności. Władza powinna być reprezentantem społeczeństwa i bronić jego interesów.

Później odkryłam, że społeczeństwo tym głośniej domaga się od władzy przestrzegania tych reguł, im bardziej jest z władzy niezadowolone, czuje się zagrożone i nie ma do niej zaufania. Jest skłonne wiele wybaczyć, jeśli czuje się bezpiecznie, dostatnio i lubi swego przywódcę.

Na wyprawie kierownik nie jest reprezentantem społeczności uczestników, przynajmniej na klasycznej wyprawie, jaką byliśmy. Zespół nie wybiera kierownika. To kierownik dobiera uczestników. Takich, których umiejętności gwarantują osiągnięcie celu postawionego przed wyprawą. Akcja górska przebiega w warunkach zagrożenia i kierownik jest odpowiedzialny za życie uczestników. Stąd, z założenia, w klasycznym modelu wyprawy kierownik ma taką władzę, jaką ma przywódca każdej zagrożonej społeczności. Większą niż w czasie pokoju.

Podejmując się prowadzenia wyprawy, miałam pełną świadomość tej odpowiedzialności, ale nikłe wyobrażenie o sposobach pracy z dużym zespołem. Lubiłam działanie zespołowe, odczuwałam satysfakcję z budowania czegoś razem. Naiwnie zakładałam, że poczynania zespołu będą zmierzały wyłącznie ku celowi, że nie będzie działań odśrodkowych. Każdy odłoży na bok swe antypatie, będzie żył wyprawą. Byłam przekonana, że kierowanie takim zespołem to niemal formalność, gdyż zespół ożywiony zapałem i wiarą będzie się rządził sam. Sądziłam, że w dyskusjach wypowiedzi będą konstruktywne, a jeśli krytyczne, to zarazem obiektywne, odnoszące się do spraw, a nie osób. I że moje potknięcia będą wybaczone ze względu na dobre chęci mną powodujące. Na domiar wierzyłam jeszcze, że wszyscy będą się lubili, polubią nielubianych tylko z racji partnerstwa przy tak wielkiej sprawie. Dlatego do zespołu weszli wszyscy, którzy mogli się wyprawie przydać. Nawet jeśli miałam z niektórymi z nich wcześniej nieporozumienia.

Tak więc w dziesięcioosobowym zespole kobiecym znalazły się: Anka Okopińska, Alka Bednarz, Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Anka Czerwińska (Czerwosia), Ewa Abgarowicz, Halina Krüger-Syrokomska, Krystyna Palmowska, Maria Mitkiewicz, Sylva Kysylkova z Czechosłowacji i ja. Zespół męski to: Janusz Onyszkiewicz (Onyszek) – mój zastępca i szef zespołu męskiego, Leszek Woźniak (Brodacz), Leszek Cichy, Andrzej Łapiński (Łapa), Marcin Zachariasiewicz (Marcysia), Marek Janas i Krzysztof Zdzitowiecki (Pomurnik). Dołączyli do nich filmowcy – Andrzej Zajączkowski (Zając) i Zbyszek Pietrzkiewicz, a także pakistański oficer łącznikowy, kapitan Saeed Ahmed Malik.

17 KWIETNIA. Łapa, Brodacz i Marcysia wyruszają z Wirszawy Jelczem 316 z dziewięciotonowym ładunkiem. Alison i ja odlatujemy z Warszawy 29 kwietnia – przez Moskwę do Kabulu, skąd 3 maja docieramy mikrobusem do Rawalpindi i rozpoczynamy działalność organizacyjną. Zatrzymujemy się w hotelu „Mrs. Davies”. Załatwiamy sprawy w Tourism Division, na policji, w urzędzie celnym, w urzędzie ubezpieczeniowym, w biurze PIA, Pakistańskich Linii Lotniczych. Kupujemy, w czym pomaga nam Saeed, prowiant dla tragarzy: ghee, soczewicę dhal oraz papierosy K2. Mąkę kupimy w wioskach po drodze, a samochód wyprawy dowiezie z Polski cukier, sól i herbatę. Do Islamabadu, leżącego kilkanaście kilometrów od Rawalpindi, Jelcz przybywa 7 maja i parkuje na wielkim campingu. Tam też będą mieszkać pozostali uczestnicy wyprawy, którzy w dwóch grupach docierają 13 i 18 maja.

Na campingu jest parno i gorąco, łazi robactwo, gryzą komary Ale namioty stoją na kamiennych podestach, gotować można w budyneczku kuchennym z bieżącą wodą, jest też pawilon z natryskami. Do pracy w monsunowej duchocie trzeba się zmuszać. A pracy przy przepakowywaniu sprzętu i żywności jest sporo. Wszystkie urzędy, oprócz ambasad, znajdują się w Rawalpindi. Dlatego też mieszkamy tam z Alison w hotelu. Po ścianach naszego pokoju biegają jaszczurki, nie ma klimatyzacji, są tylko wentylatory. Nasz „apartament" jest dwupokojowy, z łazienką. To wystarcza, by komfort kłuł w oczy mieszkających na campingu kolegów. A przecież wyprawy nie stać na to, by w hotelu kosztującym 7 dolarów dziennie od osoby ulokować wszystkich. Tak więc na początku powstaje niezręczna sytuacja – oni na campingu, my w hotelu. Właściwie drobiazg, ale…

Ciężar reprezentacji spoczywa na Alison, obywatelce brytyjskiej. Ledwo poznaję dawną Alison. W Warszawie znajdowała się trochę w cieniu męża. Może z powodu trudności językowych nie była zbyt aktywna. Teraz jest pełna pomysłów i inicjatywy. Delikatna i wiotka, bez obawy wchodzi w egzotyczny tłum uliczny w muzułmańskim kraju. I nic się nie dzieje z tego powodu.

Cóż za głupstwa opowiadali! – myślę o tych, którzy straszyli nas przed wyjazdem niebezpieczeństwami czyhającymi w Pakistanie na kobiety.

23–26 MAJA. Po wielu interwencjach w PIA znajdują się dla nas miejsca w samolotach. Dzięki patronatowi, jaki nad wyprawą objęła pani Bhutto, żona ówczesnego premiera, udaje się załatwić również przelot naszego bagażu do Skardu.

Skardu jest stolicą rejonu północnego, oddaloną 600 km od Islamabadu. Zostawiamy w Skardu część żywności przeznaczoną na powrót, a także jedną radiostację. Wynajmujemy jeepy, traktory i docieramy do odległej o blisko 90 km wioski Baha. Tu formujemy karawanę tragarzy. Zwerbowanie tragarzy, podział ładunków i kontrola to zadanie Saeeda.

28 MAJA. Pierwszy dzień karawany. Tego dnia docieramy do wioski Dusso. Nie ma chętnych do noszenia ładunków, ponieważ większość mieszkańców wiosek leżących na drodze do lodowca Baltoro pracuje już przy innych wyprawach, które poszły w góry przed nami. Poczynając od Dusso, za karawaną ciągle pozostają w wioskach ładunki, których nie ma kto nieść, oraz alpiniści, usiłujący znaleźć tragarzy. Tak jest na postojach w Dusso, Gomboro, Chongo i Askole. Onyszek ofiarnie zabezpiecza tyły karawany przez cały czas do marszu. Spotka się z nami dopiero na Concordii, stąd pozostają dwa dni marszu do bazy To niewdzięczne zadanie może opóźnić dotarcie do bazy a co za tym idzie – aklimatyzację. Każdy wyrywa się jak może z tego ogona, tylko Alison i Marek dotrzymują dłużej towarzystwa Januszowi.

2 CZERWCA. Dzień odpoczynku karawany w ostatniej wiosce na trasie, Askole, położonej na wysokości 3000 metrów. Kupujemy 2,5 tony mąki dla tragarzy, bo od tej pory będziemy ich żywić. W Askole pozostawiamy dużo ładunków, wciąż nie możemy zwerbować dostatecznej liczby tragarzy. Wbrew wcześniejszym ustaleniom, że alpiniści będą podchodzić „na lekko", każdy z nas musi nieść ponaddwudziestokilogramowy plecak.

Trzy dni drogi od Askole wybucha strajk trzystuosobowej karawany. Tragarze żądają wyższych stawek, codziennej wypłaty, paliwa i namiotów oraz ciepłej odzieży. Przez dwa dni wyprawa stoi w miejscu. Wraz z Marcinem i Saeedem prowadzę negocjacje z przedstawicielami tragarzy. W zasadzie racja jest po naszej stronie, gdyż zobowiązani jesteśmy zapewnić tragarzom tylko to, co jest wymienione w warunkach organizacji karawan, dokumencie sporządzonym przez Tourism Division. Nie ma tam słowa o codziennej wypłacie. Jej wypłacanie mogłoby grozić tym, że tragarze w każdej chwili, gdy zechcą, opuszczą karawanę. Nie jesteśmy też zobowiązani do dania im skarpet i paliwa, a tylko obuwia i okularów przeciwsłonecznych. Los wyprawy wisi na włosku. W końcu, po kilku demonstracyjnych odejściach i powrotach tragarzy, osiągamy kompromis, który nadszarpnie trochę nasze finanse i uszczupli zapas paliwa.

Zaabsorbowanie kłopotami, ciągła praca przy ratowaniu wyprawy uniemożliwiają mi bliższy kontakt z zespołem. W rozwiązywaniu problemów pomagają mi głównie koledzy, są prężniejsi, bardziej doświadczeni. Przyzwyczajeni do wspólnego działania, do decydowania w nowych, nieznanych warunkach. Byliśmy pierwszą polską wyprawą w tym rejonie i jedną z nielicznych po długim okresie zamknięcia przez władze rejonu Baltoro Mustagh dla cudzoziemców. Tylko nieliczne koleżanki próbowały wyszukiwać wyjście z różnych kłopotów, w jakie wyprawa w czasie domarszu popadała. Głównie Alison i Alka z własnej inicjatywy przychodzą mi z pomocą. Marysia leczy tłum chorych tragarzy i mieszkańców mijanych wiosek, Sylva ma wysoką temperaturę i źle się czuje, debiutantki wyprawowe – Czerwosia, Krystyna i Ewa – są trochę pasywne z braku doświadczenia, Anka ma pretensje, że nie dotrzymałam słowa i musi iść z ciężkim plecakiem, a Halina – że nie uzgadniam z nią swych poczynań i traktuję ją niewłaściwie.

Jestem tak zmęczona tysiącem spraw ważnych i drobiazgów, że przechodzę nad tym wszystkim do porządku dziennego. Dopiero później uświadamiam sobie, co to znaczy. To nieważne, że brakuje tragarzy do niesienia podstawowych nawet ładunków wyprawy. Jeżeli coś się ustali ze społecznością, należytego dotrzymać. I osobiste rzeczy każdego z alpinistów powinien nieść tragarz. Moje zdziwienie wynikało z faktu, że jak jeszcze kilku kolegów, byłam na etapie himalaizmu spontanicznego, entuzjastycznego, kiedy każdy wychodzi naprzeciw drugiemu z pomocą w kłopotach, na plecy bierze ciężar największy, jaki tylko może unieść. A okazało się, że to nie tak. Że dla niektórych liczą się uporządkowane formy współżycia społecznego, przeniesione z dołu. To nie jest nasza wyprawa, tylko wyprawa, na której są oni – uczestnicy i ja – kierownik. Choć mamy określone prawa i obowiązki, przede wszystkim ja powinnam wziąć na siebie obowiązek dotrzymania ustaleń.

Taka postawa reszty ustawiała mnie bardziej na pozycjach kierowniczych, niż początkowo zamierzałam. Oczekiwałam, że uczestnicy również utożsamią się z wyprawą i pospieszą z przyjacielską współpracą. Oczekiwałam tego również od Haliny. Jeżeli już nie przyjacielskiej, to lojalnej współpracy na rzecz całej wyprawy. Zaprosiłam ją do udziału w wyprawie, gdyż sądziłam, że ułatwi mi kontaktowanie się z zespołem, odciąży choć trochę w robocie. W alpinistycznym życiu towarzyskim w kraju wodziła

rej, a w grupach na wyjeździe stawała się towarzyskim prowodyrem. Postawiłam na to. Chciałam, by przejęła ode mnie funkcję wydawania poleceń i egzekwowania ich. Dla mnie był to nieznośny obowiązek. Władza nad ludźmi nie była magnesem, choć władza kierownika wyprawy była mi potrzebna jako niezbędny czynnik tworzenia. Rozumiałam ją bardziej jako doglądanie procesu tworzenia niż przewodzenie, ale na tym potknęłam się.

Wydawanie poleceń i egzekwowanie ich wykonania jest mniej wdzięczną dziedziną niż życie towarzyskie, wystawia na próbę popularność i wiąże się z odpowiedzialnością. Twórcy popełniają błędy, unikają ich ci, którzy nic nie robią. Nie popełniają ich również krytycy, co najwyżej niewłaściwie kogoś lub coś ocenią. Ale konsekwencji ich błędów nie ponosi bezpośrednio społeczność. Krytycy powinni wspomagać proces tworzenia, wytykając jego dewiacje. Krytyka nie powinna jednak być skierowana przeciw twórcom, ponieważ w przypadku wyprawy są oni wartością *constans*, ustaloną na czas jej trwania. W zasadzie nie wchodzi w grę możliwość wyboru innego kierownika wyprawy.

Traktując Halinę jako wspólniczkę, popełniłam błąd, nie wiedząc lub nie chcąc wiedzieć, że od razu ustawiła się w opozycji. Nie przeszła na stronę współtwórców wyprawy. Wolała wykonywać polecenia, krytykować je lub ich brak. Nie była lojalna w stosunku do mnie. Są tysiączne sposoby podważenia czyjegoś autorytetu nie wprost, w bezpośredniej konfrontacji stanowisk, a poza plecami w ironicznych komentarzach, niepochlebnych uwagach i lekceważących słowach. Wyczuwałam, co się dzieje, ale bagatelizowałam to. Nie neutralizowałam jej działania, gdyż wydawało mi się to niegodne. Byłoby to przyznaniem się, wbrew temu, co zakładałam, że nie wszyscy odłożyli na bok chęć osobistych rozgrywek w imię celu stojącego przed nami. Poza tym miałam coraz więcej roboty i musiałam coraz częściej podejmować decyzje związane z „być albo nie być” wyprawy.

Oczekiwano ode mnie kierownictwa. W czasie domarszu większość uczestników nie tęskniła za demokracją. Byłaby bardzo męcząca, nieprzynosząca w zamian żadnych satysfakcji i korzyści. Bo cóż może przynieść mozolne podchodzenie, zmęczenie mięśni, piekące stopy? Co najwyżej ciepły posiłek w końcu dnia i odpoczynek na postoju. Ci, którzy byli po raz pierwszy na wielkiej wyprawie, woleli pracować nad przydzielonym zadaniem, niż wychodzić z inicjatywą, przewidywać, myśleć. Zbyt wiele wysiłku kosztowało podchodzenie kilkunastu kilometrów dziennie po bezdrożach, z ciężkim plecakiem. Grzbiet i mięśnie nóg bolały mnie wieczorem tak samo jak innych, plecak był tak samo ciężki. Ale mimo zmęczenia musiałam cały czas myśleć, kalkulować, przewidywać, bo karawana tragarzy była trudnym do okiełznania żywiołem. I mnie wciąż brakowało czasu, by przewidywać wszystko.

Podczas tej wyprawy nieustannie dziwiłam się, jak łatwo ludzie ulegają emocjom, jak bardzo instynktowne, impulsywne są niektóre ich reakcje. Sprawa sympatii czy antypatii do kogoś okazuje się bardzo istotna. Instynktowna niechęć do Sylvy była dla mnie zupełnie niezrozumiała. Nikt poza mną nie znał jej wcześniej, choć jej nazwisko było bardzo dobrze znane w świecie alpinistycznym. Halina reagowała na ten „czeski akcent” w wyprawie niezwykle emocjonalnie, z instynktownym buntem przeciwko

drażniącej inności, z ledwo tłumioną agresją. Podobnie było początkowo z Ewą Abgarowicz. Jej inność polegała na tym, że była spoza klanu sportowców. Na wyprawie pełniła funkcję fotografika. Obserwowałam w zadziwieniu, jak powstaje i rozszerza się w zespole niechęć do niej, choć niczym jej nie prowokowała, była prostolinijna, trochę szorstka.

Działało prawo stada – nie tolerować osobnika, którego przywódca wykluczył z grupy. Dorosłe kobiety nie były mądrzejsze od dziewczynek, które zapamiętałam z dzieciństwa. Tamte gnębiły koleżankę, którą posądziły o to, że jest „czarownicą". I nie pomogły żadne próby tłumaczeń czy okup w postaci cukierków. Psychoza ogarniająca całą grupę wykluczyła ją na stałe, a dokuczanie i tępienie jej było warunkiem przynależności do grupy. W trakcie wyprawy Ewa zdobyła jednak w końcu sympatię i uznanie.

Zachowania nadmiernie emocjonalne czy wręcz histeryczne na tej wyprawie nie były wyłącznie domeną kobiet. Mężczyźni reagowali podobnie, choć z zupełnie innych przyczyn. Kobiety z powodu drobiazgów, jak na przykład czyjaś inność, nad czym koledzy przechodzili do porządku dziennego. Z kolei oni popadali w panikę ze względów istotnych, jak możliwość odejścia tragarzy i pozostawienia wyprawy „na lodzie", w przenośni i dosłownie.

Kiedy trzon karawany wchodzi na lodowiec Baltoro, druga kilkudziesięcioosobowa grupa tragarzy z Alison i Onyszkiem posuwa się dzień drogi za nami. Udało im się wynająć dostateczną liczbę tragarzy i mogli nawet zabrać ładunki pozostawione w Askole jako mniej ważne. My jesteśmy już w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie. Lodowiec przysypany jest warstwą szutru, z błyszczącymi, różnokolorowymi kamykami znoszonymi z gór przez boczne lodowce. U czoła lodowca Baltoro znajduje się tradycyjne miejsce postoju wszystkich karawan, zwane Paiju, skąd doskonale widać czoło lodowca, jednego z największych w Pakistanie, jak również wspaniałe, w większości niezdobyte, skalno-śnieżne szczyty po obu stronach doliny.

Dwa dni drogi od Paiju kolejne miejsce postoju – Urdukas. Po raz ostatni widzimy zieloną trawę i kwiaty porastające boczną morenę lodowca. Wysokość znaczna – 4000 m. Tu trzeba rozstrzygnąć, co zrobić z Sylvą. Od kilku dni ma temperaturę 38° C. W tym stanie nie może iść wyżej. Wprawdzie jest z nami lekarz z apteczką, ale przy niektórych chorobach najlepszym lekarstwem jest łagodniejszy klimat i lepsze warunki, a przede wszystkim większa ilość tlenu w powietrzu. Wyprawa nie może czekać na wyzdrowienie Sylvy, bo każdego dnia trzeba wypłacać tragarzom za transport tysiąc dolarów, a za czekanie połowę tej sumy Na dodatek trzeba nakarmić kilkusetosobową grupę ludzi, bez względu na to czy idą, czy mają dzień odpoczynku.

Postój w Urdukas był dla mnie jedną z kilku najdramatyczniejszych chwil na wyprawie. Miałam zdecydować, kto pozostanie z Sylvą i sprowadzi ją na dół. Konwojowanie chorej do Skardu potrwa tydzień, oczekiwanie na lot do Islamabadu parę dni. Gdyby konwojujący chciał wrócić do wyprawy, miałby około miesiąca opóźnienia w akcji aklimatyzacyjnej, co uniemożliwiałoby mu włączenie się do działalności górskiej i pozbawiało szans wejścia na szczyt. Nie łudziłam się, że ktoś zgłosi się dobrowolnie. Wszyscy z niepokojem oczekiwali na moją decyzję.

Uznałam, że zespół kobiecy jest nie do ruszenia. Trzeba wybrać kogoś z zespołu męskiego. Ale kogo? Nie może to być ktoś, kto da odczuć Sylvie, jak bardzo się dla niej poświęca. Może to zrobić tylko z wewnętrznego przekonania. Na dodatek musi to być ktoś, czyja nieobecność nie osłabi nazbyt wyprawy. Ci najlepsi byli więc chronieni. Wiedzieli o tym i nie przeżywali rozterek sumienia. Wreszcie zdecydowałam – Marek. Zachował się tak, jak przypuszczałam. Nie zaprotestował, bez komentarzy przyjął do wiadomości moją decyzję. W sytuacjach podbramkowych zawsze się nim wyręczałam; gdy trzeba było coś trudnego załatwić, na przykład zostać za karawaną z resztą ładunków bez widoków na szybkie znalezienie tragarzy. Wiedziałam, że na Marku mogę polegać.

Choć Marek pogodził się z moją decyzją, to koledzy jednak zaprotestowali – jeżeli nie zmienię decyzji, odłączą się od wyprawy i zejdą na dół. Tylko Leszek nie poparł protestu i postanowił pójść z nami. Nie zważałabym na takie deklaracje, gdybym była całkowicie przekonana, że nikt inny, oprócz Marka, nie może zejść z Sylvą. A przekonana nie byłam. I choć w momentach oporu staję się twarda i nieustępliwa, tym razem rozsądek kazał mi się zastanowić nad ponownym wyborem „ofiary”. Rozmawiam z Marysią i Onyszkiem. Pozostali, jakby przyczajeni, obserwują nas. Na kogo kolej? Zemocjonowana Halina reaguje agresywnie:

– Dobrze ci tak! – napada bezlitośnie – a mówiłam, żeby nie brać Sylvy!

Nie lubi ani Sylvy, ani mnie. Nie mam co szukać u niej rady czy oczekiwać współdziałania. Trzeba samej z tym się uporać. Nagle olśnienie! Najmniej osłabi wyprawę nieobecność fotografika. A więc Ewa. Inna sprawa, czy będzie to wybór sprawiedliwy. Nie, nie będzie. Ewa włożyła dużo pracy w organizację wyprawy, wniosła sporo dewiz za swój udział. Ale na pytanie: – Czy pójdziesz z Sylvą? – odpowiedziała: – Jak trzeba, to pójdę. Powrotu Ewy w góry nie przewiduje się, ponieważ może okazać się zbyt kosztowny.

Kiedy wyprawa rusza w dalszą drogę, Sylva ma łzy w oczach. Przegrywa swą szansę w sposób nieoczekiwany, niesprawiedliwy. Właśnie ona musiała zachorować na malarię! W przeciwieństwie do polskich uczestników, którzy wpłacili z własnej kieszeni tylko nieznaczne pieniądze, Sylva za udział w wyprawie musiała zapłacić znacznie więcej.

Ewa trzyma się dzielnie, choć dla niej to także cios – wyprawa, w którą włożyła tyle nadziei i zachodu, oddala się bezpowrotnie. Jednak szczęśliwy przypadek, a także jej odwaga i inicjatywa sprawiły, że po odprowadzeniu Sylvy do Skardu powróciła na lodowiec Baltoro. Razem z gońcami pocztowymi wrocławskiej wyprawy na Broad Peak Middle, spotkanymi w Skardu, Ewa trafiła do bazy tej wyprawy. Do naszej bazy nie znała drogi. Pod koniec działalności górskiej nawiązaliśmy przypadkowy kontakt radiotelefoniczny z wrocławiakami. Dowiedzieliśmy się, że Ewa jest z nimi. Wysłaliśmy po nią kuchcika Gulama. I tak Ewa uczestniczyła w dwu wyprawach, robiąc wiele wspaniałych zdjęć. Początkowo odczuwałam wyrzuty sumienia, ale później, dzięki swej determinacji, Ewa uwolniła mnie od nich. Mimo wszystko, gdyby taka sytuacja powtórzyła się, postąpiłabym tak samo…

Od Urdukas tragarze maszerują w otrzymanych od nas trampkach. Dostali też okulary lodowcowe, paliwo, część namiotów, materacyki. Niestety, namioty i materacyki nie mogą być później wykorzystane, gdyż przesiąkły zapachem nie do wytrzymania.

Trzy dni później, w rozwidleniu lodowca Baltoro, przeżywamy kolejny dramatyczny konflikt z tragarzami. Do Concordii dotarli w zamieci śnieżnej i żadna siła nie mogła ich zmusić do pójścia dalej. Za podwójną stawkę zgodziło się pójść zaledwie czterdziestu kilku. Ostatnie, dwudniowe podejście do bazy powtarzaliśmy więc kilkakrotnie, donosząc ładunki na własnych plecach.

Do bazy wszyscy uczestnicy i prawie wszystkie ładunki dotarły między 15 a 19 czerwca…

Namioty bazowe rozstawiamy kilkadziesiąt metrów od bazy wyprawy francuskiej na Gasherbrum II, kierowanej przez Pierre a Fresafonda. Baza znajduje się na wysokości 5150 m. Widać z niej nasze szczyty. Dzieli od nich uskok lodowca Gasherbrum Południowy – około 600 metrów różnicy wysokości. Dzięki Francuzom nie musimy szukać przejścia przez niebezpieczny lodowy labirynt. Oni przemierzyli go wielokrotnie. Teraz kończą działalność górską.

18 czerwca Yannick Seigneur i Marc Batard z ostatniego obozu, leżącego na wysokości około 7600 metrów, wchodzą na Gasherbrum II. Po zdobywcach z 1956 roku jest to drugie wejście, ale dokonane nową drogą, prawą grzędą. Tą drogą zamierzali pójść nasi koledzy. Teraz, nawet gdyby mieli zezwolenie na Gasherbrum II, zostali pozbawieni przez Francuzów możliwości zrobienia nowego przejścia. Pozostało im tylko wchodzenie wraz z zespołem kobiecym aż do przełęczy między Gasherbrumem II a Gasherbrumem I i poprowadzenie nowej drogi od przełęczy.

Ponowny atak Francuzów na Gasherbrum II nie udaje się. Louis Audobert uchodzi z życiem, ale jego partner, Bernard Villaret, pozostaje w górach na zawsze, w małym namiocie ostatniego obozu na wysokości 7600 metrów. Niepogoda uniemożliwia akcję ratunkową. Francuzi opuszczają bazę i schodzą z karawaną do Skardu. Pozostajemy w górach sami, wciąż mając przed oczyma czerwoną plamkę namiotu na grzędzie Gasherbrumu II…

Od 19 czerwca do 10 lipca zakładamy trzy obozy. Pierwszy na wysokości około 6000 metrów, na wspaniałej równinie górnego piętra lodowca Gasherbrum Południowy, rozlewającego się w dolinę podchodzącą do stóp wszystkich Gasherbrumów – od I na VII kończąc. Z obozu I jak na dłoni widzimy całą dalszą drogę lewą grzędą Gasherbrumu II. Na niej 4 lipca, na wysokości 6500 metrów, stanęły namioty obozu II, następnie zaś o 850 metrów wyżej, u lewego skraja podstawy piramidy szczytowej Gasherbrumu II, założyliśmy obóz III.

Podczas tych dni wielokrotnie wychodziliśmy z bazy z ładunkami i wracaliśmy po następne lub na wypoczynek. Prawie na całej wysokości grzędy rozpięliśmy liny poręczowe. Założyliśmy też ubezpieczenia na uskoku lodowca. „Oswajaliśmy” górę, przygotowując się do dnia, kiedy zdobywszy aklimatyzację, ponownie ruszymy do obozu III, by następnego dnia zmierzyć się z nieznanym – zdobyć dziewiczy Gasherb rum III i poprowadzić nową drogę na Gasherbrum II.

Ofiarnie nosiliśmy ładunki: mężczyźni po 15, kobiety po 10 kg. Przy zakładaniu obozów i zaopatrywaniu ich starałam się jak najczęściej być w górze. Chciałam wszystkiego sama dotknąć, zobaczyć, by nie polegać tylko na relacjach i opiniach innych. Do nielicznych bowiem miałam zaufanie, przede wszystkim do tych, których znałam z wypraw w Hindukusz czy Pamir. Mogłam zawierzyć bez wahania Onyszkowi, Pomurnikowi i Brodaczowi – że obóz można postawić tylko w tym miejscu, że niebezpieczny, lawiniasty odcinek należy minąć w taki, a nie inny sposób. Jednak chciałam być obecna przy takich decyzjach. Chciałam wiedzieć, jak naprawdę wygląda teren, poznać trudności i testując siebie, poznać, jaki wysiłek jest potrzebny na ich pokonanie.

Więcej niż połowę dni spędziłam powyżej bazy, kursując między górnymi obozami, układając często tam, w górze, „grafik" – plany ruchów poszczególnych zespołów, z którymi mijałam się po drodze, pilnując odpowiedniego zaopatrzenia obozów w żywność, sprzęt i paliwo, komunikując się z pozostałymi przez radiotelefon. Starałam się tak planować akcję, by zespoły kobiece towarzyszyły męskim, by nie było zdecydowanej przewagi jednych lub drugich. Skład zespołów, zaplanowany na początku, zmieniał się w czasie trwania wyprawy. Choroby, kontuzje i niedyspozycje przegrupowały uczestników. W miarę możności starałam się pilnować tylko tego, aby każdy miał dobrą aklimatyzację i co najmniej raz przekroczył 7000 metrów.

W bazie mieszkałam w namiocie sprzętowym sama. Sądziłam, że jako osoba decydująca o składzie zespołów szczytowych nie powinnam wiązać się z określonym zespołem, a raczej być trochę na zewnątrz wyprawy. Wyobcowanie towarzyskie i rzadkie pobyty w bazie sprawiły, że nie wiedziałam, co dzieje się na wyprawie.

A działo się coraz więcej…

Zazwyczaj na wyprawie wszystko widać niezwykle wyraźnie przez ograniczenie czasu, miejsca i liczby osób. Jesteśmy razem w bazie, razem działamy w górach, w ściśle określonym czasie musimy osiągnąć cel, bo – na przykład – później nie starczy nam żywności. Nam – to znaczy ciągle tym samym osobom, których nie można wymienić na inne. Ta ostrość widzenia wynika także ze stresów, głodu, zmęczenia, strachu i niepokoju. Również z tego, że ludzie są nieustannie w fizycznej bliskości i widzą siebie twarzą w twarz, bez możliwości zachowania prywatności życia. Obraz jest ostry, czarno-biały, bez półtonów. Wszystko jest jednoznaczne – złe albo dobre, miłe albo nienawistne. Reakcje na tę jednoznaczność są odpowiednio kontrastowe – od agresji i niechęci czy wręcz nienawiści do pełnej akceptacji czy bezkrytycznego uznania. Poprzez fakt, że wydarzenia zachodzące na wyprawie widoczne są jak na dłoni, obserwatorom wydaje się, że widzą wszystko. Ale każdy widzi obraz wyprawy tak, jak pozwala mu na to jego zdolność postrzegania i wyciągania wniosków. Czasem zaś widzi tylko to, co chce widzieć.

Jak już wspomniałam, zakładałam, że poczynania zespołu będą zmierzały wyłącznie ku celowi, nie będzie działań odśrodkowych. Rzeczywistość okazała się inna. Uczestnicy byli naprawdę zaangażowani w osiągnięcie celu, pracowali bardzo ofiarnie w górach, podporządkowywali się nawet tym decyzjom, których nie akceptowali. Ale nie przestawali kalkulować i nie zapominali o sobie.

W poszanowaniu ich jako jednostek chcieli znaleźć wyzwolenie od ciągłego stresu i poczucia zagrożenia, którego źródłem były góry. Stąd większość nie przestała być wrażliwa na formy. A ja, były zdyscyplinowany zawodnik innych dziedzin sportu, nie zważałam na nie. Siebie i innych traktowałam trochę instrumentalnie. Podporządkowałam ludzi grafikom, wykresom akcji i kalkulacjom strategicznym dość bezceremonialnie. Prowadziłam strategię wojenną, a oni pragnęli pokojowej i uporządkowanej. Pomimo tych rozbieżności akcja górska rozwijała się sprawnie.

Mimo założenia trzech obozów na pierwszy sukces przyszło czekać całe trzy tygodnie. Od 10 lipca trwały akcje dalszego zaopatrywania obozów.

19 LIPCA pierwszy zespół szczytowy opuścił bazę. Są w nim Leszek, Marek, Pomurnik i Onyszek. Ponieważ oficer łącznikowy na własną rękę udzielił im zezwolenia na Gasherbrum II, zamierzają wyjść na przełęcz i z niej zdobywać szczyt.

Dzień później, 20 lipca, wychodzi sześcioosobowy zespół kobiecy, z którego wyłoni się czteroosobowy zespół szczytowy. Są w nim Alka, Alison, Czerwosia, Halina, Anka i ja. Następnego dnia bazę opuszcza zespół rezerwowy: Krystyna, Brodacz, Łapa, Saeed i Marysia.

Pogoda miesza szyki. Wszystkie zespoły przeczekują zamieć w obozach III, II i I. W końcu wycofują się do bazy.

Następne próby wejścia na przełęcz trwają aż do 31 lipca. Tego dnia zespół kobiecy i męski podchodzą do obozu III. Idziemy razem ze względu na konieczność torowania drogi w głębokim, świeżym śniegu.

1 SIERPNIA rozdzielamy się. Leszek, Onyszek i Pomurnik idą w prawo – na Gasherbrum II, ja z Haliną na lewo – pod wschodnią grań Gasherbrumu III. Grań jest bardzo trudna i nie rokuje nadziei na zdobycie szczytu w ciągu jednego dnia. Wycofujemy się więc. Natomiast koledzy wchodzą od strony chińskiej na Gasherbrum II. Nowa droga prowadzi śnieżną ścianą, w połowie wysokości przeciętą pasmem skał. Jest pierwszy sukces.

Gasherbrum III pozostaje nadal niezdobyty, mimo że już od 6 tygodni działamy w górach. Wszyscy są już górami i sobą wzajemnie zmęczeni. W dyskusjach nad dalszą akcją Anka i Leszek uważają, że nie wykorzystaliśmy do tej pory wszystkich szans, ale nie mamy już żadnych i należy wracać.

Nie podnosiłam głosu, nie krzyczałam, nie klęłam, nie dawałam się sprowokować, nawet pod wpływem silnych stresów. Nie tych spowodowanych górami, lecz zachowaniem zespołu. Akceptowałam krainę lodu, śniegu i skał, uważałam za coś zupełnie naturalnego swój pobyt tutaj, z dala od domu, bliskich i zwyczajnej codzienności. Nie męczyło mnie tak długie tu przebywanie, nie chciałam się wyrwać do domu. Lubiłam lodowiec, nasze szczyty. Trochę też bałam się, byłam więc bardzo ostrożna. To rzutowało na sposób planowania akcji górskiej i poruszania się zespołów.

W stosunku do siebie wyczuwałam narastającą niechęć. Odbierałam ją tak, jakby wszyscy byli przeciwko mnie, choć była to niechęć tylko kilku osób, która jednak zarażała innych, biernych lub obojętnych, którzy nie atakowali, ale i nie bronili mnie.

W dyskusjach prowadzonych w bazie widziałam podobieństwo z dyskusjami na zebraniach klubowych, typowymi dla środowiska warszawskiego.

Wrocławskie środowisko, w którym wyrosłam, było zupełnie inne. Nieco rodzinne, serdeczne, tolerancyjne, pobłażliwe dla słabostek innych. Wiedziałam, że jestem lubiana, nawet gdy podśmiewano się z moich błędów. Stanowiliśmy zżytą grupę, do której czułam bardzo silnie swą przynależność. Natomiast środowisko warszawskie, skupione w dużym klubie, nie stanowiło jednego zespołu. Składało się raczej z koterii skupionych wokół przywódców, wybitniejszych osobowości czy ludzi z władz klubowych. Walka o władzę, znaczenie i możliwości realizacji własnych ambicji, była prowadzona metodami walki politycznej.

Duża, wieloosobowa wyprawa tego klubu, jaką była nasza, zachowała wiele cech swego środowiska. Poznałam na niej minispołeczność jakże różną od tej sprzed trzech lat, z wyprawy na Noszak. A spodziewałam się takiej samej, entuzjastyczno-rodzinnej. Nie zmieniając nastawienia i struktury osobowości, weszłam w układ bardziej skomplikowany, nietolerujący struktur tego typu. Kilka osób niechętnych, z zadawnionymi urazami do mnie, moje nastawienie oraz błędy wystarczyły, by nastroje zespołu zaczęły się polaryzować na „nie".

Zespół nie czuł się przeze mnie szanowany, był dotknięty, że nie liczę się z jego zdaniem. A przecież liczyć się ze zdaniem dwudziestu osób jest niezwykle trudno. Demokracja nie jest najlepszą metodą prowadzenia dużych wypraw himalajskich.

Po raz pierwszy alpinistki, zdobywające dotychczas doświadczenie pojedynczo przy męskich wyprawach, nie znając swych możliwości, próbowały działać razem. Działać pod presją – pierwsza kobieca wyprawa! Jeśli się nie uda, może pogrzebać przyszłe szanse kobiet w alpinizmie, tak jak w Związku Radzieckim śmierć ośmiu alpinistek na Piku Lenina zahamowała na długie lata rozwój samodzielnego alpinizmu kobiecego.

Nie miałam dużego zaufania do tych współtowarzyszek, które nigdy lub rzadko wspinały się w zespołach kobiecych, a sukcesy swe osiągały biernie – nie podejmując decyzji za innych, nie odpowiadając za nic i za nikogo. Jednocześnie potrzebowałam konsultacji z zespołem przy planowaniu akcji. Szybko zorientowałam się, że nie mogę pozwolić sobie na dyskusje bez przygotowania, na rozterki czy wahania. Moje wypowiedzi były traktowane jako ostateczny wyraz mego stanowiska. Oczekiwano ode mnie propozycji, by móc się do nich ustosunkować, skrytykować je bądź pochwalić. A ja potrzebowałam twórczej, przyjacielskiej „burzy mózgów", roboczej dyskusji niezobowiązującej mnie do niczego przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Próby „burzy mózgów" nie powiodły się. Zdania były rozproszone, czasem niewynikające z przekonania, ale z chęci wykazania się przed pozostałymi. Kiedy indziej były to wzorce zaczerpnięte z innych wypraw, nieuwzględniające specyfiki naszej wyprawy Słowem, nie były to zdania jednakowo znaczące i wartościowe na tyle, by można było na ich podstawie konstruować zdanie demokratycznej większości. Dlatego na robocze dyskusje pozwalałam sobie jedynie w małym gronie, z Onyszkiem czy Pomurnikiem, odsłaniając się bez obaw, że moje słabości czy rozterki będą dyskutowane poza moimi plecami. Do Haliny, jak i do reszty zespołu, przychodziłam z gotowym już planem. Dyskusja w szerokim gronie była mi potrzebna najczęściej wtedy,

gdy chodziło o sondaż opinii uświadamiający mi, w jakich warunkach plan będzie realizowany.

Można twierdzić, że kierownik kształtuje zespół i atmosferę w zespole. Ale również zespół kształtuje kierownika. Jeśli nie mogą nawiązać kontaktu, jeśli powstanie taka sytuacja, jaka wytworzyła się podczas podejścia do bazy, to jedynym rozsądnym wyjściem dla kierownika jest zaprzestanie prób nawiązania kontaktu z zespołem. Bo od pewnego momentu, momentu utraty zaufania i akceptacji, kontakt jest niemożliwy. Wszystko, cokolwiek kierownik zrobi, będzie złe. Ponieważ jednak musimy być razem do końca i nie można powiedzieć: „To ja się z wami nie bawię i jadę do domu", trzeba stać się „twardym". Nie kokietować, tylko narzucać, wymagać i stanowczo egzekwować swe prawa kierownika.

Działanie „twardą ręką" to najczęściej wynik przegranej władzy, metoda środka ostatecznego. Kierownik i zespół zmagający się ze sobą to coraz szybciej obracające się koło. Może nastąpić taka sytuacja, w której kierownik, traci zbyt wiele sił na spory z zespołem zamiast na góry, a zespół może zapomnieć, po co przyjechał w góry. Stając w opozycji do kierownika gotów jest przegrać, byleby ten nie wygrał. Pierwsze głosy za odwrotem wprawiły mnie w konsternację. Nie zdawałam sobie sprawy z faktu, że wyprawa jest już zmęczona, zbyt długo poddawana najróżniejszym stresom.

3 SIERPNIA odbywa się w bazie dyskusja nad planem akcji szczytowych. W jej wyniku zapadają postanowienia: w góry wyruszą trzy zespoły w różnych terminach.

Pierwszy zespół, w skład którego weszli Brodacz, Łapa i Marek, zaczął podchodzić do obozu I już następnego dnia. Po okresie niepogody i opadów śniegu rola pierwszego zespołu była bardzo ważna. Mając prawo wchodzenia na Gasherbrum II drogą Austriaków, przygotowywali tym samym drogę dla następnych zespołów, torując szlak i odkopując spod śniegu namioty.

Następny zespół: Alisonka, Janusz, Pomurnik i ja miał wyjść z bazy 6 lub 7 sierpnia, jednak wyszliśmy dopiero dzień później. Rozpoczęcie akcji przez nasz zespół opóźniła wiadomość, przyniesiona przez Ewę z bazy wyprawy wrocławskiej: 28 lipca w szalejącej wichurze ginie w zejściu trzech z pięciu zdobywców szczytu Broad Peak Middle. Jesteśmy wstrząśnięci tą tragedią, zginęli nasi najbliżsi koledzy: Marek Kęsicki, Bohdan Nowaczyk i Andrzej Sikorski.

9 SIERPNIA wyrusza do obozu I trzeci zespół – Anka, Halina, Krystyna i Saeed. Tego dnia, przy pięknej pogodzie, na szczycie Gasherbrumu II staje pierwszy zespół. To już drugi sukces wyprawy.

Powyżej bazy na różnych wysokościach znajduje się w sumie 11 osób. W bazie pozostali tylko chorzy i kontuzjowani: Leszek z odmrożonymi stopami, Marcysia – z zapaleniem krtani, Czerwosia – z nogą w gipsie i Alka – ze skaczącym ciśnieniem. Opiekuje się nimi lekarz wyprawowy, Marysia. W bazie znajduje się również Ewa, która tak nieoczekiwanie dołączyła do wyprawy.

Jest to nasz ostatni zryw, ostatnia szansa zdobycia Gasherbrumu III. Na powtórny atak nikt nie miałby już siły…

Zadania drugiego zespołu były podzielone. Alisonka i ja – zakładanie lin poręczowych na wschodniej grani Gasherbrumu III, czyli przygotowanie drogi dla dziewcząt

z trzeciego zespołu. Ubezpieczają nas Onyszek i Pomurnik – mieli pozostać na przełęczy podczas naszej akcji. Gdyby okazało się to możliwe, mogłybyśmy podjąć próbę dojścia aż do szczytu, w co nie bardzo wierzyłam. Po niepowodzeniu naszej próby do akcji miały wejść Anka, Halina i Krystyna. Gdybyśmy jednak zdobyły szczyt, dziewczyny miały iść na Gasherbrum II drogą Austriaków razem z oficerem łącznikowym. Saeed wyraził zgodę na atakowanie tego szczytu przez zespół kobiecy pod warunkiem, że będzie mógł iść z tym zespołem. Chciał mieć szansę zostania „najwyższym Pakistańczykiem", pierwszym na wysokości ponad 8000 metrów.

11 SIERPNIA o godz. 7.30 drugi zespół – po noclegu w obozie III – osiąga przełęcz. Rozstawiamy namioty i o 8 przystępujemy do ataku na Gasherbrum III, lecz nie wschodnią granią, a śnieżno-skalnym kuluarem w środku wschodniej ściany. Zmianę planu spowodowała prognoza pogody, która na popołudnie przewidywała zamiecie i wiatr o szybkości 20-35 węzłów oraz temperaturę minus 24° C. Wobec zbliżającego się pogorszenia pogody należało wejść na szczyt w ciągu jednego dnia. A tylko kuluar stwarzał taką możliwość. Trzeba było więc połączyć siły i całą czwórką torować drogę w śniegu. Po żmudnej wspinaczce przez progi skalne, w stromym i kopnym śniegu, o 18 stanęliśmy na szczycie. Główny cel wyprawy został osiągnięty, choć nie w taki sposób, jak było to planowane. Po czterech godzinach, częściowo zjeżdżając na linach, wróciliśmy do namiotu na przełęczy.

Następnego dnia, mimo pesymistycznych prognoz, pogoda wciąż była dobra. Zgodnie z planem alternatywnym z obozu III ruszają dziewczęta z Saeedem. Anka idzie bez raków – zagubiła je gdzieś w śniegu. W połowie drogi zasłabł Saeed. Krystyna postanawia sprowadzić go z powrotem do obozu III, swoje raki zaś oddaje Ance. Około 16 Anka i Halina stają na szczycie Gasherbrumu II. Są pierwszymi kobietami, które bez mężczyzn zdobywają ośmiotysięczny szczyt. Bez kłopotów wracają do obozu III, gdzie czekam na nie z Krystyną jako zespół asekurujący.

Kusi mnie, by następnego dnia – pogoda wciąż dobra! – wejść z Krystyną na Gasherbrum II. Mimo trudnej wspinaczki na Gasherbrum III i trzech nocy spędzonych na wysokości ponad 7000 metrów czuję się bardzo dobrze. Jednak rezygnuję. To wejście nie jest wyprawie potrzebne, a stanowi dodatkowe ryzyko…

Wyprawa zdobyła dziewiczy szczyt, wprowadziła zespół kobiecy na Gasherbrum II drogą austriacką, poprowadziła nową drogę na ten szczyt i dokonała jeszcze jednego wejścia drogą austriacką. Dziesięciu uczestników wyprawy stanęło na wierzchołku, w tym dwóch na obu szczytach.

Kiedy wszyscy zeszliśmy do bazy, a parę dni później wrócił również zespół likwidujący obozy wysokie, można było powiedzieć, że wyprawa zakończyła się szczęśliwie. Ale nastrój daleki był od entuzjazmu. Wyniki były inne od zamierzonych. Na Gasherbrumie III stanęli również mężczyźni, mimo że zezwolenie władz miał tylko zespół kobiecy. Ten cel numer jeden wyprawy miał być tylko zdobyczą pań. Z kolei Gasherbrum II zdobyły też kobiety, mimo że był to cel zespołu męskiego.

Po powrocie do kraju rozpoczęły się przetargi, czyj sukces był ważniejszy. Pomimo oficjalnego uznania władz klubowych dla wyników wyprawy i dla mnie jako jej kie-

rownika środowisko długo ekscytowało się wewnętrznymi sporami zespołu, podjudzane żalami zawiedzionych uczestniczek.

Obraz wyprawy, jaki powstał w wyniku tej akcji, a także dzięki filmowi Zająca, nie wystawiał najlepszego świadectwa ani uczestnikom, ani mnie. Film, a właściwie jego autorzy nie byli wobec wyprawy fair. Ukazali tylko drugą, gorszą stronę medalu. Przysłoniła ona tę, która mówiła o wspaniałej, wspólnej walce zespołu, o zmaganiach z mrozem, śniegiem, wiatrem i wysokością, o pokonaniu samego siebie, strachu, słabości, zmęczenia, o walce z własnym zwątpieniem. I o tej największej radości – zdobycia szczytu. A ja, choć wygrałam, bo musiałam, nie mając innego wyjścia, gorzko odczułam smak tego zwycięstwa.

GÓRA PRZEKLĘTA

Zarówno zaproszenie na wyprawę na Nanga Parbat, jak i późniejsze, na Mount Everest, nastąpiło dzięki Gasherbrumom.

W Islamabadzie poznałam doktora Karla Herrligkoffera, kierownika zachodnioniemieckiej wyprawy na Nanga Parbat. Po sukcesie naszej wyprawy nastąpiła wymiana listów, w wyniku której wiosną 1976 roku otrzymałam wstępne zaproszenie na wyprawę everestowską, planowaną na rok 1978.

Karl miał już wówczas zezwolenie władz Nepalu na ten szczyt i był pewien, że będzie organizował wyprawę. Mnie wydawała się ona nierealna. Poza tym nie wiedziałam, jak potraktować to zaproszenie. Herrligkoffer w środowisku alpinistycznym cieszy się dużym autorytetem, a jednocześnie niezbyt dobrą opinią. Jest pełen uporu, wielkiej pasji i namiętności, jaką stały się dla niego Himalaje, a przede wszystkim Nanga Parbat, jeden z najbardziej nieprzyjaznych i zdradzieckich szczytów himalajskich, którego pokonanie wymaga najwyższych umiejętności wspinaczkowych. Zainteresowanie Karla Herrligkoffera i jego związki z tą górą trwają od roku 1934. Wówczas to jego przyrodni brat, Willy Merkt po raz drugi kierował wyprawą niemiecko-austriacką na ten wciąż niezdobyty szczyt. Dwa lata wcześniej prowadził wyprawę amerykańsko-niemiecką. Wyprawa z 1934 roku zakończyła się tragicznie – śmiercią Merkla, Wielanda, Welzenbacha i dziewięciu Szerpów.

Herrligkoffer, jakby chcąc zakończyć podjęte przez brata zadanie, rozpoczyna działalność wyprawową w Himalajach. Najpierw postanowił rozliczyć się z Nanga Parbat. Niemiecko-austriacka wyprawa z 1953 roku, kierowana przez Karla i poświęcona pamięci jego brata, osiąga sukces. Po samotnym ataku 3 lipca na szczycie Nanga Parbat (8125 m) staje Austriak Hermann Buhl, jeden z największych alpinistów świata.

Autentyczność jego wejścia przez dłuższy czas była kwestionowana, a wokół wyprawy panowała atmosfera wątpliwości i niedomówień. Było w tym wiele ludzkiej zawiści, niewiary w zasady etyki panującej w górach. Alpiniści to ludzie, którzy nie przypisują sobie osiągnięć nieprawdziwych. Owa etyka jest silniejsza od ewentualnych korzyści wynikających z hochsztaplerstwa. Zresztą zazwyczaj takie sprawy wcześniej czy później wychodzą na jaw, bo nie sposób nie dać się przyłapać na mistyfikacji. Jednak historia alpinizmu zna kilka takich przypadków, do dziś niewyjaśnionych – czy ktoś był rzeczywiście na szczycie, czy był tylko mistyfikatorem?

Mimo bardzo osobistego stosunku do Himalajów Herrligkoffer wyprawy organizuje jak dyrektor-menedżer. Bez sentymentów, za to na ogół skutecznie. Biada więc entuzjastom, którzy nie zadają sobie trudu, aby przestudiować umowę uczestnictwa przed wyprawą. Zachodzi w niej dysonans między chęcią, by uczestnicy wyprawy traktowali góry jako cel, dla zdobycia którego każdy daje z siebie maksimum wysiłku, bez oglądania się na własne korzyści, a wymaganiem, by jednocześnie przestrzegali określonych przepisów. Powoduje to uczucie ograniczenia, takiego samego jak w społeczeństwie na dole, gdzie obowiązują prawa, nakazy i zakazy. W tak uporządkowanej grupie społecznej trudno jest wyzwolić z ludzi spontaniczność.

Każdy z uczestników wyprawy podpisuje umowę określającą stawki i zakres obowiązków. Natomiast umowa ta nie bardzo wyraźnie precyzuje, co w zamian uczestnik otrzymuje. Dość ogólnikowo stwierdza, że wyprawa ma na celu zdobycie określonego szczytu. Korzyść uczestnika pozostaje niejako w domniemaniu – będzie miał prawo zdobywać szczyt i być może zdobędzie go, ale nie ma na to żadnej gwarancji. Z jakiego punktu widzenia wyszedł Herrligkoffer, określając w taki sposób zasady uczestnictwa w jego wyprawach?

Otóż twierdzi on, że jeżeli wyprawa osiąga sukces, to osiąga go jako swego rodzaju instytucja. I nie powinno być z tego tytułu korzyści dla poszczególnych uczestników. Zwłaszcza że bohaterami zostają ci, którzy osiągnęli szczyt. Ich nazwiska zna szeroka publiczność i tylko nimi interesuje się. Oni mają okazję zdyskontowania sukcesu poprzez zdjęcia, wywiady, prelekcje. A przecież sukces stał się możliwy dzięki pracy całej wyprawy, a przede wszystkim organizatora. Dlatego też alpiniści, podpisując umowę uczestnictwa w wyprawach Herrligkoffera, zobowiązują się do oddania or-

ganizatorowi wszystkich zdjęć z wyprawy. On ma pierwszeństwo w ich publikowaniu. Uczestnicy mogą sobie zamówić tylko duplikaty a dochody z tytułu sprzedaży muszą przekazywać na konto organizatora, czyli Himalaya Club z Monachium, którego reprezentantem jest Herrligkoffer.

Każdy alpinista biorący udział w wyprawach organizowanych przez Himalaya Club musi mieć własny sprzęt: raki, czekan, pas wspinaczkowy, karabinki, śpiwory, kurtkę puchową i anorak. Himalaya Club zapewnia: namioty, żywność, dodatkowy sprzęt i transport.

Wbrew temu, co sądzi się o wyprawach Herrligkoffera, nie są to wyprawy bogate. Myślę, że w jego kraju dawno już minęła potrzeba podbijania dumy narodowej wyprawami alpinistycznymi. Sądzę nawet, że po II wojnie światowej RFN raczej stara się unikać demonstracji osiągnięć narodowych. Pewnie dlatego Herrligkoffer ma zawsze kłopoty z pieniędzmi na swoje wyprawy. Ich podstawą finansową jest odpłatność za uczestnictwo, która pokrywa mniej więcej połowę kosztów. Herrligkoffer musi mieć zawsze jakieś rezerwy finansowe z poprzednich wypraw i dodatkowe pieniądze za reklamę sprzętu i żywności. A po wyprawie – dochody ze sprzedaży zdjęć, filmów, książek.

Mimo wręcz zawodowej organizacji i rygorystycznych przepisów na wyprawach tych panuje nie mniejszy chaos niż na innych. Prawdę mówiąc, nie jest on możliwy do uniknięcia. Zależność od zmiennych warunków klimatycznych, organizacyjnych i wielu innych może przewrócić do góry nogami najlepszy plan.

Zanim doszła do skutku wyprawa na Mount Everest, Herrligkoffer zaproponował mi udział w wyprawie na Nanga Parbat w roku 1976. Ponieważ polskie władze sportowe mniej interesowało zaproszenie dla jednej osoby, Karl zgodził się zaprosić jeszcze jedną Polkę. Zwiększało to szansę osiągnięcia przez polskie alpinistki szczytu.

Bardzo cenię Herrligkoffera, między innymi i za to, że nie jest typowym kierownikiem wyprawowym, uważającym himalaizm za sport wyłącznie męski. Nie chroni zazdrośnie tego obszaru działania, zastrzeżonego w potocznym rozumieniu dla prawdziwych, bohaterskich mężczyzn. Być może jest to spowodowane faktem, że sam nie miał ambicji wchodzenia na szczyty. Ważniejsze dla niego było przeprowadzenie akcji i wprowadzenie na szczyt innych. Jest on przede wszystkim strategiem wyprawowym, przez to nie obawia się konkurencji. Na chłodno, choć może i z sympatią dla kobiet,

kalkulował, na ile ich udział w wyprawie opłaca mu się. Ewentualny sukces kobiety dodaje wyprawie dodatkowego waloru i łatwiej daje się „sprzedać".

W wyprawie na Nanga Parbat obok mnie wzięła udział Danuta Gellner-Wach z Katowic, legitymująca się znakomitymi zimowymi osiągnięciami w Tatrach, a także mająca doświadczenie w górach wysokich. Zaprzyjaźniłyśmy się podczas przejścia północnego filara Eigeru, a potem w Pamirze. W Islamabadzie nieoczekiwanie dołączył do nas Jan Jaworski. Wyprawa nie miała lekarza, więc gdy tylko znalazł się, a jego udział w wyprawie nie był związany z dodatkowymi kosztami, został przyjęty z dużą radością. I tak Janek został lekarzem wyprawy.

W wyprawie bierze udział dziewięć osób: Austriacy – Mathias Gradnitzer, Werner Haim, Sebastian Arnold; Niemcy – Herbert Holzmaier, Willy Klimek, Karl Wehrle oraz polska trójka. W ten sposób wyprawa stała się austriacko-niemiecko-polska.

Wyprawa, której uczestnicy nie znają się wcześniej, jest zawsze ryzykowna, a jeśli jeszcze składa się z alpinistów trzech narodowości – już tylko ten fakt wprowadza potencjalne zagrożenie dla spokoju wyprawy. Każdy bowiem, oprócz własnego, chce osiągnąć sukces narodowy. Z tym wiąże się nie tylko chęć rewanżu sponsorom, ale również zdobycie konkretnych korzyści.

W naszej wyprawie, na domiar złego, bardzo skomplikowane były sprawy związane z jej kierownictwem. Początkowo kierownikiem miał być Herrligkoffer, ale nie otrzymał wizy Pakistanu. Kiedy zaś dowiedział się, że nie uzyska również zezwolenia na wyprawę na swoje nazwisko, wysłał papiery na nazwisko Mathiasa Gradnitzera i wyprawę nazwał „austriacką", choć w dalszym ciągu był jej organizatorem. Austriacy otrzymali zezwolenie. Herrligkoffer – chcąc, by ktoś bezpośrednio reprezentował Himalaya Club – powierzył mi kierownictwo ze strony organizatora. Tak więc zostałam *coleaderem*, czyli drugim kierownikiem wyprawy.

Udział w tej wyprawie był dla mnie zupełną nowością. Po uzyskaniu akceptacji polskich władz sportowych nie musiałam zajmować się sprawami organizacyjnymi, którymi byłam obarczona przy wyprawie na Gasherbrumy. Przygotowanie sprzętu puchowego i namiotów dla wszystkich uczestników wyprawy – co miało równoważyć nasze koszty uczestnictwa w wysokości 2500 dolarów – niebyło kłopotliwe. Załatwianie tego odbywało się

utartymi, znanymi sposobami, wprawdzie nie bez przeszkód, ale nie wymagało szczególnej inwencji i przebijania się przez niewiadome.

Wyprawę potraktowałyśmy ambitnie, ale jednocześnie jako niezwykłą przygodę. Dotychczas przez zaangażowanie w sprawy wypraw, w konkretną pracę przy ich organizowaniu, bardzo dużo traciłam. Brakowało mi poczucia luzu, przeżywania wyprawy tylko na własny rachunek. W zespole 9-osobowym nie przytłaczały mnie nadmiernie obowiązki drugiego kierownika. Większość spraw załatwiało się mechanicznie. Nie miałam też poczucia odpowiedzialności za los całej wyprawy i niepewności, co z tego pomysłu wyniknie.

Przygotowanie sprzętu opóźniło się, co uniemożliwiło zabranie go przez samochód wyprawowy, startujący z Monachium. Kiedy więc powstał problem transportu sprzętu z Polski, wpadłyśmy na pomysł, że do Pakistanu dowieziemy go samochodem. Ale jakim samochodem? Zwróciłyśmy się z prośbą do dyrektora Bieleckiego, by Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu udostępniła wyprawie fiata 125 combi. Danka miała zawodowe prawo jazdy, ja amatorskie, ale jeszcze nie byłam zbyt doświadczonym kierowcą.

Samochód dostałyśmy i 23 lipca wyjechałyśmy z kraju. Duśka okazała się nie tylko znakomitym kierowcą, ale i ambitnym mechanikiem. Pierwsza awaria – pęknięcie uszczelki pod głowicą, niesprawna pompa wodna i gotująca się woda w chłodnicy. Dla mnie to zupełne nieszczęście, natomiast Duśka z energią zawinęła rękawy i wzięła się do wymontowywania pompy. Z trudem wybiłam jej ten pomysł z głowy, jako że było ciemno, a my nie miałyśmy latarek. Pomoc drogowa szybko uporała się z defektem i już bez kłopotów dojechałyśmy do Monachium.

Wyprawa miała opóźnienie. Okazało się też, że samochód ze sprzętem wyprawowym jeszcze nie wyjechał, nie musiałyśmy więc z całym bagażem jechać do Islamabadu. Przeładowujemy więc sprzęt z fiata i możemy lecieć samolotem. Ale nie chcemy zostawiać samochodu. Rezygnujemy z samolotu, a pieniądze przeznaczone na bilety Herrligkoffer daje nam na benzynę. Zabieramy ze sobą dwóch alpinistów: Niemca Herberta Holzmaiera i Austriaka Sebastiana Arnolda, zastrzegając sobie prowadzenie samochodu.

Z Monachium wyruszamy 15 sierpnia.

Z wyprawy tej pozostały mi w pamięci nie góry, a właśnie podróż przez Turcję, Iran, Afganistan i Pakistan. Była ona niepowtarzalną okazją do bliż-

szego poznania tych krajów. Przejazd przez Turcję, mimo wcześniejszych obaw, minął gładko. Ale tuż za jej granicą, u zbiegu granic tureckiej, radzieckiej i irańskiej, zaczęło się coś niedobrego dziać z samochodem. Za ciasno spasowane łożysko przedniego koła rozgrzało oś i zablokowało hamulce. Po ostudzeniu i stwierdzeniu, że hamulce jednak trochę działają, wleczemy się do warsztatu z prędkością 30 kilometrów na godzinę. Dojeżdżamy do niewielkiej miejscowości, przepychamy się zatłoczonymi ulicami. Jadący za nami samochód daje sygnał klaksonem i uparcie pilnuje nas, przebijając się przez natychmiast zamykający się po naszym przejeździe strumień pojazdów. Pomimo że cały zmotoryzowany Wschód trąbi bez szczególnych przyczyn, zatrzymujemy się. Co za niewiarygodne szczęście! Za nami jechał fabryczny wóz polskiego fiata, w którym znajdował się serwis techniczny z ekipą mechaników. Spadli nam jak z przysłowiowego nieba. Z ogromną radością witamy rodaków, którzy ofiarowują nam pomoc. Mieszkają w Julfie, następnego dnia jadą do Teheranu. Jedziemy więc za nimi do Julfy.

Do hotelu, w którym zatrzymali się nasi rodacy, przyjeżdżamy nocą. Natychmiast zabierają się do naprawy samochodu, abyśmy następnego dnia mogli pojechać z nimi do Teheranu.

Rano samochód jest w idealnym stanie. Ruszamy do Teheranu. Przesiadam się do samochodu inżyniera Lipkowskiego, nasz prowadzi jeden z mechaników. Obaj dobrze znają trasę i sposób poruszania się po szosach irańskich. Dotychczas Duśka świetnie radziła sobie ze wschodnim zamętem panującym na drogach. Prowadziła wóz agresywnie, nie dając się zahukać i zastraszyć innym kierowcom. Sprytnie wychodziła z najgorszych korków. Jednak gdy za kierownicą naszego fiata zasiadł mechanik z FSO, koledzy wyprawowi przestali się zupełnie odzywać. Tylko widoczne w ich oczach przerażenie i co chwila zduszonym szeptem wymawiane „Herr Gott!” świadczyło, że nie przywykli do takiej jazdy. Z dwojga złego woleli już nasz sposób prowadzenia.

Z widoczną ulgą powitali Teheran.

Z Teheranu jedziemy przez Demawend na północ, w stronę Morza Kaspijskiego. Trudne odcinki górskie, ostre serpentyny, szosa zapchana ciężarówkami TIR.

Nasi współtowarzysze zapadnięci na tylnych siedzeniach czują się nienajlepiej, pozbawieni możliwości prowadzenia samochodu. Rekompensują

to agresją skierowaną przeciwko nam. Co tu ukrywać, dochodziło niekiedy do najzwyklejszych pyskówek. W Iranie sytuacja stała się tak napięta, że wysadziłyśmy panów z samochodu z pieniędzmi na dalszą drogę. Najmilszy moment z dotychczasowej podróży to pożegnanie z naszymi pasażerami. Gdyby nie gapie, odtańczyłybyśmy z Duśką dziki taniec radości. Nareszcie same!

Nastają wspaniałe czasy. Świetna pogoda, oślepiające słońce, a przy tym orzeźwiający wiatr. Po kilku dniach dojeżdżamy do granicy z Afganistanem i zmierzamy w stronę Heratu i Kandaharu. Droga do przejścia granicznego z Pakistanu mogłaby biec równoleżnikowo, byłaby wówczas najkrótsza, ale cała środkowa część Afganistanu to góry. Droga omija je, kierując się na południe przez Wielką Słoną Pustynię. Dopiero po minięciu pustyni zawraca na północ, kierując się do Kabulu. Byłam urzeczona pustynią – zmienną o każdej porze dnia, wszechobecną. Na horyzoncie niekiedy majaczyły góry o fantastycznych kształtach.

W Kabulu mamy zamiar wymienić pieniądze. Wieziemy pokaźną sumę dolarów, którą musimy wymienić na rupie pakistańskie. 20 sierpnia opuszczamy Kabul, mijamy Dżelalabad i po południu osiągamy przełęcz Khyber, gdzie jest punkt graniczny. Formalności paszportowe i graniczne trwają długo. Po stronie pakistańskiej znajdujemy się dopiero po zachodzie słońca. Wzbudzamy zainteresowanie strażników granicznych. Ostrzegają przed dalszą jazdą nocą; możemy natknąć się na grasujące grupki rabusiów. Nocujemy więc w hotelu na punkcie granicznym.

Przejazd przez przełęcz dostarcza mocnych wrażeń. Khyber Pass to znakomity punkt strategiczny, prowadzi tędy droga z Afganistanu do Pakistanu, łącząca Kabul z Peszawarem. Ostrymi serpentynami rwie w górę, część płaska ma 35 mil, wszędzie fortyfikacje, od czasu do czasu można zauważyć strażników.

Mijamy Peszawar. Do dawnej stolicy Pakistanu – Rawalpindi – docieramy tego samego dnia. Jest koniec sierpnia. Z resztą wyprawy spotykamy się w hotelu „Mrs. Davies”. Jesteśmy w komplecie – dziewięcioro alpinistów i kierowca wyprawy.

Kierownictwo wyprawy jest podwójne, jednak ani w Islamabadzie, ani w górach nie dezorganizowało to naszej działalności. Mathias Gradnitzer okazuje się „równym chłopem”. Wszystko omawiamy wspólnie, a decyzje przez nas podejmowane on przekazuje zespołowi.

Nawet antagonizmy podróżne z Sebastianem i Herbertem w ogólnej dobrej atmosferze zanikają. Ton nadają bardziej doświadczeni alpiniści – bardzo dobra trójka: Mathias Gradnitzer, Willy Klimek i Werner Haim. Podporządkowują sobie młodszych, mniej doświadczonych, którzy nie znają się i dla których jest to debiut himalajski. Rzutuje to również na stosunek do naszej grupy – nie ma wyraźnego antagonizmu i sporów.

W Islamabadzie dwa tygodnie oczekiwania na zezwolenie na dotarcie wybraną drogą pod Nanga Parbat. Okazuje się, że władze Pakistanu nie wydają zezwoleń obcokrajowcom na przejazd drogą najprostszą – Karakorum Highway – ogromną magistralą północ-południe, budowaną przez Chiny. Zupełnie nie potrafimy wymyślić, jak dobrać się do tej góry.

Pomaga nam przypadek. A właściwie czteroosobowa grupa Austriaków, która uzyskała dodatkowe zezwolenie i zaatakowała w międzyczasie Nanga Parbat. Grupa ta miała wejść w skład naszej wyprawy, ale nie doczekawszy się nas, załatwiała sobie zezwolenie. Zdążyli wrócić z gór, kiedy my pojawiliśmy się w Islamabadzie. Byli to: Hans Schell, Robert Schauer, Hillmar Sturm i Sigfried Günter. Spotkaliśmy ich oficera łącznikowego, kapitana Sher Khana, z którym udało nam się nawiązać kontakt. Alpinista całą duszą, syn księcia z plemienia Hunzów, bardzo wykształcony, znający Europę, błyskotliwy i dowcipny, a przy tym wszystkim bardzo nam życzliwy. Od niego dowiedzieliśmy się, że Austriacy zdobyli szczyt drogą, którą i my planowaliśmy. Odebrali nam pierwszeństwo, czyli cel wyprawy.

Wahamy się, co robić dalej. Decydujemy się jednak na powtórzenie drogi – nie ma innego wyjścia. Sher Khan wynajduje nam drogę dojazdu pod Nanga Parbat – obok jeziora Sat Parah, a dalej przez przełęcz Chilim Choki. I ten wariant dojścia zgłaszamy do władz. Po kilku dniach oczekiwania otrzymujemy zgodę.

Do Skardu lecimy z bagażem całej wyprawy, a tam wynajmujemy kilkanaście jeepów. Sprawdzamy ich stan techniczny. Arnold ogląda opony – to chyba najgorsze opony w całym Pakistanie.

Z trudem udaje się skompletować karawanę samochodów.

W końcu ruszamy. Kierunek – jezioro Sat Parah i przełęcz Chilim Choki.

Droga początkowo dobra, piękne krajobrazy i urzekające jezioro. Potem robi się coraz stromiej. Jak jeepy wytrzymają tę drogę? Jadę wozem, w którym nie ma sprężyny odciągającej pedał hamulca. Zamiast niej jest sznurek, który co chwila podciągam do góry. Droga przypomina ścieżki turystyczne

w naszych Tatrach. Na niektórych odcinkach przepychamy jeepy. Arnold podczas jazdy miał wypadek. Przy kolejnej próbie podjazdu jego jeep stracił przyczepność – tylne koła znalazły się tuż nad przepaścią. Powoli zsuwał się coraz niżej, aż wylądował na drzewie. Gdyby nie ono… Arnold wyskoczył z samochodu blady, wstrząsany torsjami.

Nareszcie przełęcz. Widać z niej rozległy płaskowyż. Wiedzie przezeń droga niezbyt wyraźna, ale już nie tak trudna. Czeka nas jeszcze 20-30 kilometrów jazdy, cały czas na wysokości 4500 metrów. To już odczuwalna wysokość. Nie jesteśmy zaaklimatyzowani, gdyż zbyt szybko osiągnęliśmy tę wysokość. Niektórzy koledzy cierpią na silne bóle głowy. Zapach benzyny i choroba lokomocyjna mnie również dają się we znaki. Mam już dość samochodu. Ale podróż trwa nadal, choć zaczyna się zmierzchać. Wioski Rampur nie osiągniemy przed nocą, zbyt jesteśmy skonani. Zatrzymujemy się. Ostatnim wysiłkiem woli zabezpieczamy samochody i ładunki, szykujemy nocleg, gotujemy. Po kolacji – poobijani, ale zadowoleni, że nic pod nami się nie trzęsie – zapadamy w sen.

Biwak przywrócił dobry nastrój. Wyruszamy wcześnie rano. Przed Astor skręcamy w lewo. Po drugiej stronie Indusu zmierzamy w stronę wiosek Bunji i Rampur, gdzie następuje koniec przygody samochodowej, która dawno przestała być fascynująca, przynajmniej dla moich kości – każda z nich boli oddzielnie. Po prawie 200 kilo metrach jazdy po czymś, co tylko w przybliżeniu można nazwać drogą, następuje radosna chwila, czyli wypłata należności kierowcom jeepów.

Zaczyna się formowanie karawany. Pomaga w tym oficer łącznikowy, kapitan Mahmud. Jest również Saeed, nasz oficer łącznikowy z Gasherbrumów, którego spotkaliśmy w Islamabadzie. Ma już doświadczenie w pełnieniu tej funkcji i pomaga Mahmudowi w załatwianiu wszystkich spraw. Nie jest to jednak najszczęśliwszy układ, Mahmud bowiem czuje się trochę niepotrzebny.

Czeka nas niedługie, zaledwie półtoradniowe podejście. Co sprawniejsze karawany docierają pod Nanga Parbat w ciągu jednego dnia. Prawie cały czas idziemy przez rejon zamieszkany – doliną Rupal podchodzącą pod południowe zbocze Nanga Parbat. Gdy kończy się jedna wioska, zaczyna się zaraz druga, nie mamy więc kłopotu z tragarzami i wyżywieniem ich. Karawana nie jest zwartym organizmem. Po wejściu do wioski tragarze gdzieś się rozpraszają, kiedy zaś nadchodzi pora wymarszu, równie niespodziewa-

nie pojawiają się. Biwak zakładamy w pięknym miejscu – zielona trawa, owoce przynoszone przez wieśniaków, drzewa dające cień.

Następnego dnia idziemy nadal przepiękną doliną Rupal. Obóz bazowy u stóp Nanga Parbat coraz bliżej, ale góry wciąż nie widać. Po kilku godzinach marszu zjawiła się nieoczekiwanie, jak góra ze snu. Za kolejnym kamienistym wzniesieniem ukazała się biała zjawa. Przyspieszyłam kroku. Już widać jej południową ścianę, najpotężniejszą w całych Himalajach. Różnica wysokości od podnóża góry do szczytu wynosi aż 4500 metrów. Tysiąc metrów więcej niż podejście z bazy na szczyt Mount Everestu…

Nasza baza staje na wysokości 3600 metrów. Od podnóża góry jest oddalona może o kilometr. Widzimy stąd prawie całą ścianę, giną jedynie jej górne partie.

Namioty rozstawiamy na ziemi, a nie na lodowcu, wokół rośnie soczysta zielona trawa i krzewy, a tuż obok przepływa strumień, czysty i chłodny. Wieczorami można rozpalać ognisko. Płonie w nim drewno, którego jest sporo wokół obozu. Co wieczór wzrusza mnie ten niezwykły kontrast – śnieżny olbrzym i maleńki ogieniek u jego stóp.

To wspaniałe położenie ma również jednak minusy. W czasie akcji górskiej konieczna będzie większa liczba obozów, między którymi będą duże odległości. Po zapłaceniu tragarzom odprawiamy karawanę. Nie zostajemy jednak sami, jesteśmy bowiem tak blisko wiosek, że wciąż pojawiają się ciekawscy pasterze baranów pasących się nie opodal. Ale najczęstszymi gośćmi są dzieci. Trochę niepokojące są te wizyty, obawiamy się o nasz dobytek, który na czas akcji górskiej zostanie bez opieki. Na szczęście mamy gospodarza bazy. Jest nim kierowca ciężarówki – Willy. Obowiązki swe pełni z talentem i skutecznie.

Mathias Gradnitzer planuje założenie obozu I aż 1600 metrów powyżej bazy, w miejscu obozu Austriaków. Po raz pierwszy jestem na wyprawie, gdzie obóz I jest tak bardzo oddalony od bazy. Pierwsze podejście zajmuje dużo czasu, później podchodzimy szybciej. Z ładunkiem w trzy godziny osiągamy obóz I i jeszcze tego samego dnia schodzimy. Podejście jest stosunkowo łatwe, prawie jak na Rysy, jedynie dwukrotnie dłuższe.

Akcji górskiej mieliśmy niewiele, zaledwie tydzień. W tym czasie założyliśmy obozy I i II. Wychodziłam do góry pięć razy i w sumie razem z Jaśkiem osiągnęłam 9000 metrów przewyższenia, czyli tyle, ile przy wchodzeniu na Everest wraz z całą akcją aklimatyzacyjną.

Po powrotach z obozu I do bazy, najczęściej tego samego dnia, popołudnia mamy dla siebie. Można zrobić pranie, ugotować coś dobrego, przygotować rzeczy na wyjście następnego dnia lub w spokoju popatrzeć na górę. Fascynowała mnie swoim pięknem, ale wciąż pamiętałam tragiczne dzieje jej zdobywania.

W wyjściach do obozu I towarzyszą mi przeważnie Duśka i Jasiek. Nasz lekarz zdobył sympatię uczestników wyprawy. W czasie domarszu bardzo troskliwie zajmował się chorymi. W mijanych wioskach wykonał też kilka operacji. Dla ich mieszkańców przemarsz karawany to jedyna okazja do korzystania z pomocy lekarskiej. Jasiek nie miał w sobie obojętności cechującej niekiedy wyprawowych lekarzy, dla których sytuacją zwracającą uwagę jest dopiero konieczność odcięcia nogi, a co najmniej palca. Takie drobiazgi, jak nogi w pęcherzach, biegunka czy bóle głowy, to przypadki, którymi nie warto się przejmować.

Podejście do Jedynki jest wspaniałe. Długi czas idziemy zboczem moreny porośniętej niskopiennym, skarłowaciałym lasem, rosną tu kwiaty i wrzos. Później las rzednie, zostaje tylko wysuszona trawa. Dalej jest już teren najlepiej znany alpinistom – kamienie, lód i śnieg.

Powyżej obozu I znajduje się kluczowy, trudny odcinek – bardzo stromy, wymagający już wspinaczki. Po linach poręczowych, zostawionych jakoby przez Austriaków, nie ma śladu.

26 września z obozu I wyruszają Werner Haim, Sebastian Arnold i Herbert Holzmaier. Mają założyć poręczówki i obóz II. Nasza trójka rusza z bazy do obozu I. Rozzuchwaleni tym, że podejście zajmowało zazwyczaj mało czasu, wychodzimy z bazy bardzo późno, zapominając o tym, że tym razem niesiemy bardzo ciężkie plecaki. Wyruszyliśmy o piętnastej, ale o osiemnastej jesteśmy dopiero w połowie drogi. Zmierzch zapadał godzinę później.

Podczas podejścia z trzydziestokilogramowym plecakiem wyraźnie słabnę. Nie ma co iść dalej. Ale biwak? To prawie kompromitacja. Cholerne plecaki!

Nazajutrz z nową energią ruszamy do obozu I. Docieramy do niego po dwóch godzinach. Patrzę na trudny uskok skalny o ponadtrzystumetrowej wysokości. Powyżej teren jest łatwiejszy, stromy śnieg poprzetykany skałkami.

Godzina dziewiąta. Na krawędzi uskoku nagle pojawia się sylwetka ludzka. Poznaję Wernera Haima. Dzieli nas niewielka odległość, pozwalająca zrozumieć jego krzyk:

– Arnold spadł!…

Z niewypakowanym ciężkim plecakiem, by nie tracić czasu na poszukiwanie apteczki, zbiegam stokiem śnieżnym w stronę różowoczerwonej rynny, wyżłobionej spadającym ciałem. Dotarliśmy z Jaśkiem do niego w 20 minut po okrzyku Wernera. Z trudem patrzyłam na to, co zostało z Arnolda. Ciało powyginane w różnych kierunkach, nogi i ręce sterczące pod nieprawdopodobnym kątem. Najgorsza była twarz – wyraźna, rozpoznawalna, choć z tyłu głowy niewiele pozostało. Usta otwarte do krzyku, oczy z zastygłym przerażeniem patrzące w niebo. Jasiek stwierdził zgon. Nic już nie możemy zrobić. Pozostaje tylko zabezpieczyć ciało przed zepchnięciem w dół przez kamienną lawinę. Później je pochowamy.

Rąbiemy półkę w lodzie. Zajmuje to sporo czasu, ale najgorsze przed nami – przeciągnięcie Arnolda na półkę. Nie przypuszczałam, że martwe ciało waży tak wiele. Starałam się nie patrzeć, nie zastanawiać się nad tym, co robię. Na półce ciało przywiązaliśmy do śrub wkręconych w lód i otuliliśmy je płachtą.

Wróciliśmy do obozu I, gdzie zastaliśmy już Wernera. Mimo szoku potrafił samotnie pokonać w zejściu trudny uskok. Opowiedział nam przebieg wypadku. Okazał się bardzo typowy – wystarczyła chwila nieuwagi. Schodzili już do obozu I i znajdowali się w nietrudnym terenie. Werner przysiadł na chwilę, by odpocząć. Spoglądał na nadchodzącego jego śladami Arnolda, który prawie doszedł do niego. Dzieliło ich zaledwie kilka metrów. Arnold akurat rozpinał kask, kiedy stracił równowagę. Nie wiadomo dlaczego, czy zahaczył rakiem o rak, czy pośliznął się? Zamachał tylko rękami, chcąc złapać równowagę, ale już nie zdołał jej utrzymać. Spadł z około dziesięciometrowego uskoku, znajdującego się poniżej miejsca, w którym siedział Werner. Ten pierwszy upadek odebrał mu jakiekolwiek szanse ratunku, gdyż stracił wówczas przytomność. Następne 300 metrów zsuwał się bezwładnie w łatwym terenie. Doświadczony alpinista, jeśli nie straci przytomności, w takim miejscu może jeszcze się uratować. Ale los nieprzytomnego Sebastiana był przesądzony. Kiedy osunął się do krawędzi wielkiego, trzystumetrowego uskoku, nie miał najmniejszych szans – przerzuciło go przez

krawędź. Obijając się o skały, spadał, aż zatrzymał się z małą lawiną śnieżną 100 metrów poniżej obozu I. Tam go znaleźliśmy.

Po wysłuchaniu relacji Wernera zawiadomiliśmy bazę. Mathias Gradnitzer i inni uczestnicy doszli do nas po południu. Mathias był załamany:

– To już koniec – mamrotał – nie zdobędziemy tej przeklętej góry…

Zaproponowałam, by w obozie I nie dyskutować o dalszych losach wyprawy. Jeszcze tego samego dnia zeszliśmy do bazy. Jednak dyskusja rozpoczęła się tego sa mego wieczoru. Byłam przeciwna zastanawianiu się nad dalszą akcją, powinniśmy raczej dyskutować, co zrobić z ciałem Arnolda. Należało się otrząsnąć, decyzje podjąć na spokojnie. Podczas dyskusji Austriacy – Gradnitzer i Haim – powiedzieli, że nie będą dalej uczestniczyć w akcji górskiej i rezygnują z wyprawy. Było ich trzech, a po śmierci Arnolda zespół przestał istnieć. Solidarnie przyłączyli się do nich Niemcy.

Ten, który zginął, chciał wejść na szczyt. I zapewne nie chciałby, aby jego śmierć uniemożliwiła innym osiągnięcie tego celu. Myślałam tak, być może dlatego, że nie zdążyłam zaprzyjaźnić się z Sebastianem, nie stał się jeszcze dla mnie towarzyszem liny, nie łączyły nas wcześniejsze wspinaczki.

Ponieważ Austriacy i Niemcy postanowili nie kontynuować akcji, grupa polska musiała również zrezygnować. Dalsze działania były podejmowane już pod kątem likwidacji wyprawy. Ustaliliśmy, że raz jeszcze podejdziemy do góry, pochowamy Arnolda, a jeden zespół zlikwiduje obóz II.

Transport ciała Arnolda na dół okazał się zbyt niebezpieczny, pozostawiliśmy go więc na tej samej wysokości, ale na zboczu śnieżnym, nienarażonym na lawiny. Dokopaliśmy się do piargu. Mathias, Willy i Janek pracowali ubezpieczeni stumetrową liną opuszczoną z obozu I. Herbert i ja asekurowaliśmy akcję. Grób wykopany w piargu był bardzo płytki. Owinęliśmy ciało Arnolda w srebrną folię i złożyliśmy je w półmetrowej jamie. Najtrudniejszą chwilą było przysypanie go kamieniami, a potem śniegiem. Na miejscu spoczynku Arnolda pozostawiliśmy krzyż, czekan i kask. Pozostaliśmy chwilę, odmówiliśmy modlitwę i wróciliśmy do obozu I.

Nazajutrz ktoś musiał wyjść do obozu II. Chętnych nie było. W końcu znaleźli się – Willy, Janek i ja. Podchodziliśmy, wykorzystując częściowo poręczówki założone przez Arnolda i Wernera. Na trudnym uskoku była już wspinaczka w skali tatrzańskiej do „piątki”, gdzieniegdzie za pomocą poręczówek. Wspinaliśmy się na lekko, więc wcześnie dotarliśmy do obozu II.

Zamiast jednak schodzić od razu, po spakowaniu pozostawionych przez Wernera i Sebastiana rzeczy, pozostaliśmy dłużej. Nasze wyjście było jednocześnie pożegnaniem z górą, pożegnaniem niespełnionych nadziei. Siedzieliśmy długo, wygrzewając się w słońcu, nieświadomi, że „góra przeklęta" pożegna się z nami na swój sposób.

Po południu pogoda zaczęła się pogarszać z minuty na minutę. Nim zdążyliśmy się zebrać, zerwał się wiatr, a padający śnieg przysłonił świat. Dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że przed trzema dniami tą samą drogą schodził Sebastian. Załamanie pogody sprawiło, że poczuliśmy się wciągnięci w pułapkę, pewni, że niezadługo przyjdzie nam walczyć o życie.

Schodziliśmy ostrożnie, jak nigdy dotąd, asekurując się do przesady. W bazie przez cały czas był na nasłuchu Mathias, a w obozie I czekał Herbert. Później Mathias opowiedział mi, jak przestraszony nagłą zmianą pogody Herbert zaczął przez radiotelefon płakać:

– Co mam robić, pada śnieg, zadymka, jestem sam! Jak mam zejść? – histeryzował.

Zdziwiło mnie to, przecież to my w górze musieliśmy uporać się z zejściem, a wycofywanie się z obozu I nie przedstawiało żadnych trudności. Herbert w panice nie bał się o nas, tylko o siebie. Mathias przez ten czas chyba bliski był szaleństwa.

Udało nam się jednak pokonać uskok i dojść do obozu I. Nocleg nie był spokojny. Byliśmy pod wrażeniem niedawnego pogrzebu, jak też drogi, która dla Sebastiana okazała się ostatnią, a którą niedawno szczęśliwie przeszliśmy. Mimo że byliśmy sami w górach, słyszałam nawoływania, gwizdy, metalowy brzęk. Truchlałam ze strachu. Zaczęłam odmawiać modlitwę za umarłych.

Rankiem zobaczyliśmy, że pozostawione przed namiotem rzeczy, zwłaszcza jedzenie, były porozciągane. Okazało się, że to świstaki i małe lisy niepokoiły nas przez całą noc.

Załadowaliśmy do plecaków tyle, ile mogliśmy unieść i rozpoczęliśmy schodzenie. W bazie panowała lekka psychoza strachu, nawet dojście do obozu I wydawało się ryzykiem. Z trudem udało nam się namówić pozostałych uczestników do całkowitego zlikwidowania obozu I. Ci, którzy nie poszli w górę, przygotowywali symboliczny grób Sebastiana, gdyż ten wysokogórski zapewne niedługo potrwa – zasypią go lawiny, kamienie… Znaleźliśmy duży, piękny głaz, na którym wyryto imię, nazwisko i datę śmierci.

Symboliczny pogrzeb odbył się następnego dnia. Tak zakończyło się zdobywanie „góry przeklętej”.

3 października wyruszyliśmy z bazy w dół. Koniec wyprawy tak wspaniale zapowiadającej się, a tak smutnie zakończonej. Absurdalnie przypadkowa śmierć zmieniła wszystkie plany.

Po kilku dniach koledzy trochę żałowali, że tak pochopnie podjęli decyzję odwrotu. Do śmierci w górach jesteśmy przyzwyczajeni, w każdym z nas bowiem gdzieś głęboko tkwi myśl, że i mnie może ona dosięgnąć. Choć tak naprawdę nikt w to nie wierzy – w górach zawsze giną inni.

W tydzień po śmierci Arnolda być może zostaliby i prowadzili akcję nadal. Mathias, jako kierownik, zbyt szybko podjął decyzję odwrotu. Może nie wierzył w sukces i było to rozsądne posunięcie. Śmierć Arnolda znacznie uszczupliła siły wyprawy. Z młodych uczestników, takich jak płaczący ze strachu Herbert, wysoko nie byłoby zbytniej pociechy. Tylko Haim zdecydowanie nie chciał wchodzić – przyjaźnił się z Arnoldem i jego stanowisko było jednoznaczne: „Mój przyjaciel nie wszedł na szczyt, to ja też nie pójdę”.

Jeszcze w bazie postanowiliśmy, że podczas powrotu polska grupa spróbuje wchodzić na inny szczyt. Miał to być Haramosh (7397 m) leżący o dzień drogi od Indusu, wzdłuż którego mieliśmy jechać do Skardu.

Pakując w bazie sprzęt i żywność, oddzielamy część ładunków na akcję górską naszej grupy. Duśka, która w górach zwykle jest twarda i odporna, teraz oklapła. Może śmierć Arnolda sprawiła, że zatęskniła za mężem i domem, tymi wszystkimi sprawami, które są bliskie i bezpieczne. Zostaliśmy więc we dwójkę – Jasiek i ja. Ciągle jeszcze z niedosytem gór, zdecydowani nawet w dwuosobowym zespole wchodzić na Haramosh.

W Rampur dwa dni oczekujemy na jeepy. Chcemy wysłać telegramy: do Herrligkoffera – zawiadamiający o śmierci Arnolda i przerwaniu wyprawy oraz do Tourism Division – z prośbą o zgodę na wejście na Haramosh. Trzeba jednak w jakiś sposób dotrzeć do wioski Astor, gdzie jest najbliższa poczta. W tym celu oficer łącznikowy i ja dostaliśmy konie pod wierzch. Na szczęście dla mnie lepszego i ambitniejszego dostał Mahmud. Wiedziałam mniej więcej, z której strony należy dosiadać konia i jak trzymać wodze, ale to było wszystko, co umiałam.

Od Astor dzieliło nas około 25 kilometrów. I tyle trwał wyścig koni. Droga była wystarczająco szeroka dla jednego jeepa, ale dwa konie, galopujące

prawie bez przerwy łeb w łeb, mieściły się na niej z trudem. Pod koniec jazdy nie miałam siły siedzieć w siodle, stałam więc tylko w strzemionach. Obawa, by koń Mahmuda nie zepchnął mojego w przepaść, i ciągła uwaga, by nie trzasnąć głową o występ skalny, potęgowały emocje. Galopując na czele chmury pyłu, wpadaliśmy do wiosek, gdzie dzieci, psy i kury umykały spod kopyt na wszystkie strony. Po kilkunastu kilometrach droga zaczęła wznosić się i do Astor przybyliśmy w wolniejszym tempie. Konie nareszcie się zmęczyły.

Wysłaliśmy telegramy, u miejscowego nauczyciela wypiliśmy herbatę, poczęstowano nas też ciapatami i morelami. Droga powrotna znów była próbą szybkości dla naszych ambitnych wierzchowców. Wypoczęte, ze zdwojoną energią rozpoczęły wyścigi. W Rampur, po zejściu z konia, z trudem dotarłam do namiotu.

Powrót do Skardu przebiegał spokojnie. Skróciliśmy sobie nawet drogę – wyjechaliśmy skoro świt i chyłkiem przejechaliśmy Karakorum Highway, dzięki czemu nie musieliśmy wracać przez przełęcz Chilim Choki. Do Skardu wracaliśmy wzdłuż Indusu.

Z powodu przebudowy drogi tydzień czekaliśmy w Bundji, aż będzie można przejechać.

Odpowiedzi z Tourism Division nie doczekaliśmy się. Zrezygnowaliśmy więc z Jaśkiem z odłączenia się od reszty wyprawy. Kiedy powiedzieliśmy kolegom, że nie idziemy na Haramosh, nasze oświadczenie przyjęto w nieoczekiwany sposób – wszyscy rzucili się w stronę ładunków, w których była odłożona dla nas żywność. Nastąpiło wielkie żarcie. Okazało się, że nasi koledzy – wiedząc, że za kilka dni znajdą się w Islamabadzie – zostawili sobie na powrót gorszą żywność. Teraz nie żałowaliśmy sobie niczego – pysznych kompotów, słodyczy, wymyślnych gotowych dań.

W Islamabadzie na Duśkę czekał telegram: *Wracaj natychmiast. Rodzice*. I żadnych wyjaśnień. W Duśkę jakby grom strzelił. Przypuszczała wszystko co najgorsze: „Na pewno coś złego przytrafiło się Zbyszkowi w górach”… Wyrywała się z Islamabadu, jak najszybciej chciała być w Polsce. Mamy jeden awaryjny bilet lotniczy z Kabulu, który przeznaczamy, oczywiście, dla niej. Ale jak dostać się najszybciej do Kabulu? Nie może przecież pojechać sama. Rozumiejąc powagę sytuacji i chcąc pomóc Duśce, zaraz po przybyciu do Islamabadu rozliczam wyprawę, wydaję ostatnie dyspozycje; wszystko w wielkim pośpiechu. Jeszcze tego samego dnia ostatnie wizyty, zdanie

relacji z przebiegu wyprawy w Tourism Division, niezbędne zakupy, przygotowanie samochodu.

Wieczorem jesteśmy gotowi. Nie ma mowy o spaniu, jest trójka kierowców, będziemy więc prowadzić na zmianę. Pożegnanie z kolegami jest smutne, mam wyrzuty sumienia, że zostawiam wyprawę. Nie mamy żywności na drogę, gdyż nie było już czasu, by przepakować bagaże. Umawiamy się, że w Kabulu będziemy czekać na samochód wyprawy i zabierzemy pieniądze oraz żywność na dalszą podróż do Polski.

Pomimo ciemności, ludzi pieszych i na rowerach, bydła pętającego się na drodze, jedziemy możliwie najszybciej. Niedaleko Taksili pierwszy pech – łapiemy gumę. Szybka zmiana koła i… po kilkunastu kilometrach następna guma. Głęboka noc, do osiedli daleko. Jasiek zatrzymuje jakąś ciężarówkę i zabiera się razem z kołem, mając nadzieję naprawić je w najbliższej miejscowości. Zostajemy same. Trochę boimy się. Po kilkunastu minutach zatrzymuje się przy nas osobowy fiat. Kierowca zachowuje się jednak zupełnie inaczej, niż się tego obawiałyśmy. Ofiarowuje pomoc – zostanie z nami do powrotu Jaśka. Był to bardzo sympatyczny gest gospodarza kraju, dbającego, by jego gościom nie przydarzyło się nic złego.

Przez trzy godziny rozmawiamy. Opowiadamy o Polsce, o wyprawie, a nasz opiekun o swej pracy – jest urzędnikiem państwowym – o swoim kraju. Wraca Jasiek z naprawionym kołem. Żegnamy się serdecznie i ruszamy dalej.

Zbliżamy się do Peszawaru. Przejazd przez miasto jest skomplikowany. Choć ulice nocą puste, mamy trudności z odczytywaniem źle widocznych drogowskazów, w większości wypisanych w języku urdu. Próbujemy zapytać o drogę jakiegoś starszego mężczyznę w turbanie. Patrzy na nas nieżyczliwie, wręcz groźnie, ale wreszcie wskazuje kierunek na Khyber. Sześćdziesiąt kilometrów za Peszawarem powoli rozwidnia się. Ze zdziwieniem zwracam się do Jaśka:

– Słuchaj, to dziwne, dwa razy mijamy taki sam most – wiszący, z wąskim przejazdem, ograniczenie szybkości do 30 km na godzinę!

Przypatrujemy się dokładniej drogowskazom. Psiakrew! Przecież jedziemy z powrotem do Islamabadu! W ten sposób nadłożyliśmy ponad 120 km. Wściekli zawracamy. Dziś odlatuje samolot z Kabulu do Moskwy, więc już nie zdążymy. Jedziemy teraz spokojniej, trochę jeszcze źli, że tak nas wy-

strychnięto na dudków. Duśka też jakby się uspokoiła i pogodziła z faktem, że dziś nie odleci.

Dość pewnie czuję się już w roli kierowcy. Ktoś, kto ustanawiał w Pakistanie przepisy drogowe, prawdopodobnie nie bardzo wierzył w to, że będą przestrzegane. Wymyślono więc różne *speed breakery*, czyli wymuszone ograniczniki szybkości. Na przykład przed skrzyżowaniem nawierzchnia jest tak pofałdowana, że nie sposób przejechać szybko, żeby nie zniszczyć samochodu. Trzeba zwolnić. Podobnie na serpentynach – zamiast linii środkowej widnieje wbudowany w szosę rząd kilkunastocentymetrowych, ostrych kamieni, co zdecydowanie powstrzymuje kierowców od ścinania zakrętów.

Przed nami nareszcie Kabul. Tu czuję się prawie jak w domu. Są znajomi Polacy i wiadome drogi powrotu. Nie możemy znaleźć szybkiego połączenia lotniczego dla Duśki. I widzę, jak obawa i niepokój o Zbyszka miesza się z radością. Skąd ta radość? Jesteśmy przecież w środku świata bazarów pełnych bajkowo kolorowych strojów, skór i futer, cudacznych świecidełek i biżuterii z półszlachetnych kamieni, pachnideł przyprawiających o zawrót głowy. Duśka wie, że być może nie wróci tu już nigdy i cieszy się w skrytości ducha, że jeszcze nie żegna się ze Wschodem.

18 października odlatuje do Moskwy, stamtąd do Warszawy. Czekając na samochód wyprawy, pozostaję z Jaśkiem wciąż bez pieniędzy i żywności. Oczekiwanie trwa dwa tygodnie. Codziennie zaglądamy do hotelu „Intercontinental”, w którym umówiliśmy się z kolegami. Na ulicach wypatrujemy znajomego samochodu.

W Kabulu zwiedzamy wszystko, co tylko można zwiedzić, docieramy nawet do podmiejskich miejscowości, ale na dłuższe wycieczki nie możemy sobie pozwolić.

Po długich dniach oczekiwania wreszcie zjawia się ciężarówka wyprawowa. Zabieramy co nasze do fiata, jeszcze raz żegnamy się z kolegami i ruszamy w drogę. Od czasu do czasu wspominamy Duśkę, zastanawiając się, co było przyczyną wysłania telegramu.

Po dwunastu dniach jazdy jesteśmy w Monachium. Czeka na nas list od Duśki. Rzucam się nań gorączkowo. Może nareszcie dowiemy się, co stało się w Polsce? A Duśka ze spokojem pisze, co mam zabrać z Monachium, gdzie są sznurówki, jakieś bzdurne drobiazgi, przyprawy – słowem, lista rzeczy do zabrania, spraw do załatwienia i… ani słowa wyjaśnienia.

Po powrocie do kraju okazało się, że to stęskniony mąż wysłał telegram! A gdy robiłam mu wyrzuty, że niepotrzebnie stawaliśmy na głowach, by jak najszybciej wyekspediować jego żonę do kraju, Zbyszek ze spokojem odrzekł:

– Liczyłem, że właśnie w ten sposób postąpicie.

CZAS EVERESTU

Pod koniec roku 1977 dr Karl Herrligkoffer – kierownik wyprawy na Mount Everest planowanej na rok 1978 – ponownie zaprosił mnie do udziału w zachodnioniemiecko-francuskiej wyprawie na ten szczyt. Grupą francuską miał kierować Pierre Mazeaud, znany alpinista oraz były minister sportu i młodzieży.

A więc mój udział w wyprawie na Mount Everest, jeszcze dwa lata temu mało prawdopodobny, stał się realny. Jednak warunkiem mego uczestnictwa była zgoda i pomoc Polskiego Związku Alpinizmu, każdy uczestnik wyprawy bowiem musiał wnieść minimalną opłatę w wysokości 6 tysięcy marek zachodnioniemieckich. Herrligkoffer zaproponował, by mój udział został zrealizowany w sprzęcie; „w posagu" miałam wnieść 25 kurtek i spodni puchowych. Zawiadamiał również, że ze względu na moje kwalifikacje alpinistyczne planuje włączenie mnie do zespołu szczytowego.

Po uzyskaniu zgody na dofinansowanie i pomoc Polskiego Związku Alpinizmu, rozpoczęłam przygotowania do wyprawy; miała ona wyruszyć z Katmandu pod koniec lipca 1978 roku.

W marcu wyjechałam w Alpy z Anną Czerwińską, Ireną Kęsą i Krystyną Palmowską. Po trzyipółdniowej wspinaczce przeszłyśmy północną ścianę Matterhornu. Dramatyczny przebieg wejścia, odmrożenie Ireny, a także akcja ratunkowa na szczycie wzbudziły zainteresowanie opinii publicznej i środków masowego przekazu. Ten największy mój sukces wspinaczkowy dał mi od nowa przeżyć uczucie partnerstwa i przyjaźni.

Po powrocie z Alp pozostało mi zaledwie trzy miesiące na przygotowania organizacyjne do wyprawy na Mount Everest. Łatwo więc przewidzieć, jak wyglądały tygodnie dzielące mnie od wyjazdu – praca w Instytucie Maszyn Matematycznych, przygotowywanie sprzętu, zdobywanie funduszy, załatwianie mnóstwa spraw związanych z wyjazdem, no i oczywiście treningi. Toteż nabadania do przychodni sportowo-lekarskiej zgłosiłam się do-

piero w ostatnich dniach. Sprzęt był już przygotowany, bilety lotnicze wykupione, formalności paszportowe załatwione, a wiadomość o moim wyjeździe podano w prasie, radiu i telewizji.

Cios padł z najmniej oczekiwanej strony, choć mogłam się go spodziewać, biorąc pod uwagę tryb życia, jaki prowadziłam przez ostatnie miesiące. Po badaniach dowiedziałam się w przychodni, że karty zdrowia sportowca nic dostanę, gdyż mam… anemię!

Po wysłuchaniu diagnozy łzy zakręciły mi się w oczach. Uprosiłam w przychodni, aby zapomnieli o mojej wizycie, zapewniłam, że jestem w pełni świadoma mego stanu zdrowia i odpowiedzialność biorę na siebie.

Musiałam podjąć decyzję – jechać czy nie? Właściwie nie miałam wyboru – przecież wszystko gotowe do wyjazdu!

W ostateczności mogę nie wchodzić na szczyt. Spośród alpinistów, którzy próbowali zdobyć Everest, wielu o znanych nawet nazwiskach musiało wycofać się. Przegrana w walce z takim „przeciwnikiem” jest czymś wysoce prawdopodobnym i nieprzynoszącym ujmy. Pojadę, rozejrzę się, będę filmować, pochodzę trochę między bazą a obozami. Wysokość mobilizuje organizm do produkcji hemoglobiny. Może zdążę się zaaklimatyzować. Na wszelki wypadek zaopatrzyłam się w preparaty krwiotwórcze i odżywki.

12 sierpnia ze sprzętem puchowym dla wyprawy i bagażem osobistym znalazłam się na warszawskim lotnisku. Żegnali mnie najbliżsi, rodzina i przyjaciele, przedstawiciele PZA, dziennikarze. Na pół godziny przed odlotem zorientowałam się, że nie mam przy sobie paszportu. Mój bagaż był już załadowany do samolotu.

W szalonym pośpiechu pognałam samochodem na pocztę, na której załatwiałam ostatnie formalności. Poczta była już zamknięta, ale udało mi się odnaleźć paszport. W równie zwariowanym tempie powrót na lotnisko. Samolot odlatuje z niewielkim tylko opóźnieniem. Pełna emocji zapadam w fotel, ściskając w dłoni szary, wapienny kamyk. Podarowany na szczęście przez Irenę Kęsę, pochodził ze Skałek Rzędkowickich, w których wspinałyśmy się przed wyjazdem.

Lot z Delhi do Katmandu odbywam samolotem Nepalskich Linii Lotniczych. Czekam niecierpliwie, kiedy usłyszę przez głośniki komunikat o przekroczeniu granicy indyjsko-nepalskiej. Mam nadzieję, że zaraz zobaczę śnieżne olbrzymy. Niestety. Początkowo lecimy nad Terajem, nizinną

częścią Nepalu. Później też nie widzę gór, gdyż są ukryte w chmurach, a ja jestem nieco oszołomiona radością i odrobiną ginu z tonikiem.

Na lotnisku czeka Karl Herrligkoffer. Od razu robi się raźniej, gdyż obawiałam się, że nie odnajdę wyprawy. Trafiłam w sam środek pory monsunowej, jest gorąco, parno i duszno. Przyjeżdżamy do hotelu „Taragaon" pod Katmandu. Znakomita architektura projektu Szwajcarów, idealne wkomponowanie w otaczający krajobraz. Dookoła pełno kwiatów i zieleni.

W pobliżu hotelu znajduje się tybetańska wioska, w której jest największa w Nepalu stupa buddyjska – Buddanath. Na kopule świątyni ogromne oczy Buddy, tak wyraziste, że sprawiają wrażenie wszystkowidzących.

Codziennie leje deszcz. W jego strugach odbywa się domarsz do bazy. Jedynie Herrligkoffera, jego towarzyszkę Doris oraz mnie omija ta przyjemność. Ponieważ Karl chce przyspieszyć swoje dojście do bazy i uniknąć trudów marszu z karawaną, postanawia lecieć helikopterem do Lukli, od razu na wysokość 2800 metrów, „oszczędzając" około 12-14 dni podejścia. Lecę z nimi, by dogonić trzyosobową grupę stanowiącą forpocztę wyprawy, w której są najlepsi alpiniści: Hubert Hillmaier, Georg Ritter i Sepp Mack. Pozostali od Katmandu idą z karawaną „na nogach". Tylko na bardzo krótkich odcinkach transport odbywał się samochodem.

Po godzinie lotu wylądowaliśmy w Lukli. Oczekiwaliśmy, że tłumy chętnych rzucą się do noszenia naszych bagaży. Tymczasem na lotnisku, poza grupką ciekawskich dzieciaków, nie było nikogo. W okresie monsunu miejscowi chłopi pracują w swoich gospodarstwach, niektórzy z nich są zatrudnieni przy budowie dróg. Trzeba więc poczekać. Rozstawiliśmy namiot i zmęczeni nagłą zmianą ciśnienia wcześnie położyliśmy się spać. Monotonny szum deszczu szybko nas uśpił.

Lotnisko, które nazajutrz dokładnie obejrzeliśmy, to po prostu pas ziemi wspinający się na zbocze. Dzięki temu lądujące samoloty mogą wytracać prędkość na krótszym odcinku. Oprócz funkcji lotniska miejsce to pełni również funkcję placu zabaw dzieci z pobliskich wiosek. Przed południem pojawił się tragarz i obiecał znaleźć jeszcze kilku innych. Następnego dnia wyruszyliśmy z minimalnym bagażem.

Do Namche Bazar podchodziliśmy dwa dni. Nim nogi przyzwyczaiły się do ciężkich butów, szłam jak po ostrzach noży.

Z podziwem patrzyłam na Herrligkoffera, który pomimo swych sześćdziesięciu lat szedł dobrym, równym tempem.

W Namche Bazar – wiosce szerpańskiej, położonej na wysokości 3600 m – doganiamy naszą forpocztę: Huberta, Seppa i Georga. Wioska wywiera na mnie niezapomniane wrażenie. Chaty, przydomowe ogródki i pola uprawne leżą na zboczach góry, która tworzy coś w rodzaju rozległego, półokrągłego amfiteatru. Z każdej chaty widać, co dzieje się w dolnych partiach wioski. W centrum wsi, na samym dole, stoi świątynia Buddy. Na sznurach odchodzących od jej kopuły w różne strony trzepocą na wietrze modlitewne chorągiewki.

Chata, w której zamieszkali nasi koledzy, mieści się na górnym tarasie – możemy więc podziwiać piękno wioski w całej okazałości. To z niej pochodzą Szerpowie, których nazwiska są zapisane w dziejach zdobywania Himalajów. W Namche Bazar urodził się pierwszy zdobywca Mount Everestu – Tenzing Norgay. Nie mamy jednak czasu, by bliżej poznać wioskę i jej mieszkańców. Następnego dnia ruszamy dalej. Herrligkoffer zostaje – zwalnia nieco tempo, bo chce aklimatyzować się stopniowo.

Hubert, Sepp i Georg przyjmują mnie do swego zespołu bez entuzjazmu. Są już zżyci ze sobą. Byli razem w trakcie przygotowań do wyprawy, razem czekali w Katmandu i razem podchodzili do Namche Bazar. Dołączam do nich zbyt nagle, jestem kimś zupełnie obcym. Staram się włączyć w zespół w najmniej bezkonfliktowy sposób, ale startuję z przegranej pozycji. Hubert od razu stwierdza, że kobiety na wyprawach to bezsens. Na domiar złego mam być nie tylko partnerem, ale również pełnić funkcję drugiego zastępcy kierownika i być operatorem filmowym. Za mną przemawia tylko ich ciekawość. Obserwują mnie, zastanawiają się, jaka się okażę.

Od razu popełniam błąd: jestem jak zwykle partnerska, pełna inicjatywy, włączam się do dyskusji, którędy i jak iść dalej. Natychmiast odczuwają to jako próbę nadużycia uprawnień kierowniczych. Według nich powinnam siedzieć cicho.

Trudno było w kraju przewidzieć, jak mnie przyjmą koledzy, byłam przygotowana na najgorsze i już, na szczęście, uodporniona na taką sytuację. Przyjęłam ją więc z uczuciem zawodu, ale nie nieszczęścia.

W drodze mijamy wioski leżące powyżej Namche Bazar. Na wysokości 3900 metrów znajduje się klasztor w Thyangboche. Zostajemy zaproszeni przez lamę do jego rezydencji. Jest bardzo młody, w brązowym habicie, z ogoloną głową. Mówi trochę po angielsku. Częstuje herbatą, a na pożegnanie wiesza nam na szyi białe szale z czegoś, co przypomina gazę. Płaci-

my za nie symbolicznie pięć rupii i -jak nasi Szerpowie – wierzymy, że przyniosą nam szczęście przy zdobywaniu góry.

Powyżej klasztoru napotykamy osady pasterskie. Droga wiedzie głębokim kanionem, o zboczach porośniętych zielenią, wśród której rozpoznaję szarotki, goryczki i krzewy głogu. Gdzieniegdzie rosną topole, sosny i jałowce. Często przy strumieniach widzimy młyny modlitewne, które obracane przez wodę wyręczają wiernych w odmawianiu modlitwy, podobnie jak trzepocące na wietrze modlitewne chorągiewki. Pomimo znacznej wysokości, prawie 4000 metrów, lasy wciąż jeszcze zielone. Słońce przygrzewa, nie jest zimno i nawet przestało padać. Początkowo idziemy w krótkich spodenkach, jednak przy podmuchach wiatru robi się chłodno, naciągamy wówczas pospiesznie swetry i długie spodnie. Jesteśmy już powyżej chmur monsunowych, zalegających doliny.

Po tylu różnych wyprawach domarsz do bazy jest dla mnie po raz pierwszy wręcz luksusowy. Z niemiłym dreszczem wspominam Gasherbrumy – jaka ulga, że tym razem jest inaczej! W plecaku niosę tylko niezbędne rzeczy, wśród nich najcięższa jest kamera filmowa i jej osprzęt.

Od Namche Bazar towarzyszą nam Szerpowie, którzy wezmą udział w wyprawie. Rozstawiają namioty i przygotowują nam posiłki. Po długim marszu, trochę zmęczeni, zasiadaliśmy po południu do obiadu. Przed nami pojawiało się znakomite jedzenie, sałaty, a nawet desery. A co najważniejsze – nie trzeba było potem zmywać! Wszystkie te usługi były oczywiście płatne, kosztowały bardzo drogo, a korzystała z nich tylko grupa wyprzedzająca resztę wyprawy.

Pheriche i już wysokość 4900 metrów. Jest to osada pasterska, nastawiona głównie na turystów i wyprawy alpinistyczne. Są tu dwa hotele, bardzo tanie i odpowiednio do ceny prymitywne – spanie na zwykłych pryczach, jedzenie najprostsze. Hotel to zwykła wiejska chata z płonącym wewnątrz ogniskiem, na którym przygotowuje się posiłki. W Pheriche jest także szpital i lądowisko dla helikopterów. Znajdujemy się już na terenie parku narodowego. Pracownikami parku są głównie Nowozelandczycy, którzy kontrolują ruch turystyczny i wyprawowy w okolicach Everestu. Zdarza się, że przychodzą do bazy pod Everestem, by sprawdzić, do jakiego stopnia jakaś wyprawa zaśmieca i niszczy środowisko.

Dla polepszenia aklimatyzacji postanawiamy zatrzymać się w Pheriche na jeden dzień. Urządzamy wycieczkę w okoliczne góry, przekraczając wy-

sokość 5000 metrów. Po drodze mijamy pustelnię mnicha buddyjskiego – chatkę z kamieni przywartą do zbocza. Mnich zaprasza do środka. Próbujemy dowiedzieć się, co tu robi i jak żyje. Ale konwersacja jest utrudniona, odbywa się głównie na migi. Gościnność mnicha budzi w nas popłoch, gdyż chce nas poczęstować herbatą z solą, mlekiem i tłuszczem. Bardzo grzecznie, by go nie urazić, odmawiamy i tłumacząc się brakiem czasu, żegnamy go.

Nazajutrz opuszczamy Pheriche. Powyżej 5000 metrów napotykamy ostatnią, wysuniętą najdalej w głąb gór osadę pasterską – Lobuche. Dalej droga wiedzie wzdłuż jęzora lodowca Khumbu, w tej części nieefektownego, potrzaskanego i pokrytego piargiem.

Zakole lodowca – miejsce naszej bazy – osiągamy po dziewięciu dniach marszu. Stoją już tutaj namioty Francuzów. Czuję wysokość. Ból głowy i mdłości są oznaką nieprzystosowania organizmu.

Po przyjściu do bazy zabraliśmy się natychmiast do pracy, na tej wysokości nielekkiej – przygotowywaliśmy platformy pod namioty i rozstawialiśmy je. Przy jednym z nich pomagał mi Austriak Kurt Diemberger, uczestnik wyprawy francuskiej i jej operator filmowy. Ucieszyłam się bardzo z tego spotkania. Wiedząc wcześniej, że Kurt będzie pod Everestem, zabrałam ze sobą zdjęcia z jego pobytu w Warszawie.

Kurt zachował styl dawnych wielkich alpinistów, a jednocześnie należy do współczesnych znakomitości tego sportu. Zdobył już trzy szczyty ośmiotysięczne. Pełen spokoju, ciepła, wciąż zachwycony i zafascynowany górami. Góry to dla niego nie tylko sport. Pamiętając, że nadejdzie chwila, kiedy trzeba będzie pożegnać się z wyczynem, został operatorem filmów wysokogórskich. Dzięki Kurtowi wyprawa francuska będzie miała świetną dokumentację filmową, nawet ze szczytu Everestu.

Spotkanie z Francuzami to okazja zjedzenia wytwornej kolacji. Nawet na wyprawach przywiązują wagę do dobrego jedzenia i regularnych godzin posiłków. Jadalnią jest duży namiot, w nim najprawdziwsze stoły i krzesła. Jedzenie wprawdzie z puszek, ale jak przyrządzone i przyprawione! Stertę nierozpakowanych jeszcze bagaży wieńczy ogromna druciana klatka z setkami jaj. Wśród zapasów są również świeże owoce i mięso dostarczane z dołu.

Grupa francuska jest dość liczna – ośmiu alpinistów, prawie tyle samo osób liczy zespół radiowców, a i filmowców jest niewielu mniej. Radiowcy

rozstawili maszt umożliwiający poprzez satelitę łączność z całym światem. Mogłabym zatelefonować nawet do Warszawy ale minuta rozmowy kosztuje 13 tysięcy franków.

Z bazy można również wysyłać teleksy. Wśród filmowców jest znany dziennikarz Christian Briancourt oraz ciemnoskóry realizator telewizyjny Jean Claude, nieco surrealistycznie wyglądający na tle śniegu. Pierre Mazeaud – ku mojemu zaskoczeniu – wygląda jak lama, zgolił bowiem włosy „na ofiarę", by wejść na Everest! Francuzi zaangażowali dwudziestu Szerpów, my mamy tylko dziesięciu. Nasza wyprawa składa się z piętnastu alpinistów, lekarza, filmowca, kierownika wyprawy, gospodyni bazy, dziesięciu Szerpów oraz trzech „niemieckich Szerpów". Herrligkoffer doszedł do wniosku, zresztą słusznego, że wyprawa będzie tańsza, jeżeli do noszenia ładunków między obozami zatrudni niemieckich alpinistów, mających jakieś doświadczenie górskie, dla których już sam udział w wyprawie był atrakcją. Za wyprawę płacili oczywiście znacznie mniej niż „pełnoprawni" alpiniści. Głównym zadaniem „niemieckich Szerpów" był transport między bazą a obozami I i II. Dla mnie okazali się najmilszymi uczestnikami wyprawy.

Nasza baza leży na znacznej wysokości – 5350 metrów, nieco niżej niż szczyt Elbrusu i dużo wyżej niż Mont Blanc. Mamy tu spędzić prawie dwa miesiące. Po kilku tygodniach będziemy do niej wracać jak do domu, gdzie można spokojnie odpocząć i nabrać sił do dalszych zmagań z górą. Teraz na tej wysokości nie czujemy się jeszcze dobrze.

Zakole lodowca Khumbu – miejsce naszej bazy – początkowo nie było pokryte śniegiem. Piarg i kamienie skrywały olbrzymie masy lodu. Wodę czerpiemy z jeziorek lodowcowych. W październiku, kiedy temperatury były już ujemne, jeziorka zamarzały i wodę topiliśmy ze śniegu.

Nasi Szerpowie zabierają się do budowy kuchni, magazynów oraz pomieszczeń dla siebie. Kuchnia to długa budowla o ścianach z kamieni i dachu wzmocnionym krokwiami z drewnianych pali, pozostawionych przez poprzednie wyprawy. Dach pokrywa plastykowa folia. W środku kuchni jest palenisko, ale posiłki przygotowuje się na paliwie butanowym. Prawdziwe ognisko jest tu luksusem, gdyż drewno donoszone z dołu kosztuje drogo.

Z bazy nie widać całego Everestu. Widoczna jest jedynie południowo-zachodnia grań, kulminująca w formie kształtnej piramidy, przysłaniającej

główny wierzchołek. Od tego wzniesienia odchodzi grań do przełęczy Lho La. Za przełęczą widnieje szczyt Chang Tse, leżący już po stronie tybetańskiej. Dalej grań zmierza ku szczytowi Khumbutse i łagodnie przechodzi w Lingtren. Szczyty w górnej części są pokryte śniegiem, niżej zaś piarżystymi, osuwającymi się zboczami. Dolinę zamyka piękny i strzelisty szczyt Pumori. W tym samym czasie, co my Everest, zdobywają go Szwajcarzy. W wysokich obozach nieraz widzieliśmy światełka ich namiotów.

Podczas pierwszej kolacji z Francuzami zmuszałam się, by nie dać poznać, że jedzenie podchodzi mi do gardła. Czułam się znacznie gorzej niż koledzy. Niewiele pomogły tabletki odżywcze i wzmacniające zastrzyki z żelaza. Odbiegam od normy, jeśli chodzi o możliwości aklimatyzacyjne. Muszę to przezwyciężyć.

Następnego dnia wychodzę z kolegami założyć ubezpieczenia na lodowcu Khumbu. Równocześnie Francuzi, Jean Afanassieff i Nicolas Jaeger, znaleźli przejście przez lodowiec. Jest to 600 metrów stromego jęzora lodowca, spływającego z prędkością około metra na dobę, zmieniającego wciąż konfigurację. Mimo że podchodzili drogą pierwszych zdobywców, wielokrotnie powtarzaną, musieli – jak każda wyprawa – od nowa wynajdywać drogę między szczelinami, szukać mostków śnieżnych. Naszym zadaniem jest zawiesić liny poręczowe lub drabiny na lodowych ściankach, a gdy nie ma możliwości obejścia szczeliny – przerzucić przez nią duralową drabinę. Każda wyprawa robi to od nowa, spływający z gór lodowiec niszczy bowiem zakładane ubezpieczenia. Gdzieniegdzie znajdujemy zniesione przez lodowiec i nieprzydatne już ubezpieczenia, zakładane przez naszych poprzedników.

Po dwóch dniach, w większym zespole francusko-niemieckim, wyruszam ponownie do góry. Sześćset metrów powyżej bazy, nad uskokiem lodowca, znajduje się śnieżna dolina zwana Western Cwm – Zachodni Kocioł lub Dolina Milczenia. Z prawej strony ograniczona zboczem Nuptse i Lhotse, z lewej zaś – Everestu. Francuzi nie zdołali dojść do tej płaskiej części lodowca, zabrakło im jeszcze kilkadziesiąt metrów. Naszym zadaniem jest znalezienie przejścia przez ostatnie metry uskoku. Po dwóch dniach prób zakładamy obóz I w Dolinie Milczenia.

Dobrze się składa, że Hubert Hillmaier z naszej grupy cieszy się sympatią Pierre a Mazeauda. Znają się z Alp. Pierre do każdej akcji zaprasza Huberta, dzięki temu obie grupy – francuska i niemiecka – nie rywalizują ze

sobą. Bardzo to dobrze wpływa na atmosferę. Pracujemy wspólnie, choć sprzęt i jedzenie mamy oddzielne.

Przed moim wyjazdem z Polski eksperci od wypraw wątpili w sukces naszej wyprawy Nie tylko dlatego, że miała to być wyprawa pomonsunowa, a takie zazwyczaj rzadko się udawały. Również dlatego, że skład jej był wielonarodowościowy, kierownictwo spoczywało w rękach ludzi o dużych indywidualnościach i niełatwych charakterach. Wbrew prognozom stała się jednak przykładem dobrej współpracy obydwu, ich mądrej postawy, umiejętności pójścia na kompromis i dogadania się.

W pierwszych dniach września dochodzą do bazy wszyscy uczestnicy wyprawy. Otrzaskani z lodowcem, od wielu dni zmagający się ze śniegiem i lodem witamy się z nimi jak z obcymi ludźmi.

Zresztą i oni są pełni rezerwy, może zazdroszczą nam tych kilku dni aklimatyzacji więcej.

Atmosfera dopiero teraz robi się bojowa. W wyprawie bierze udział sporo osób, a piętnastka to kandydaci na wejście szczytowe. W chwili wpłaty 6 tysięcy marek każdy otrzymał od Herrligkoffera coś w rodzaju zapewnienia możliwości zmierzenia się ze szczytem. Ale nawet Herrligkoffer nie jest w stanie dać wszystkim takich samych szans. Wyprawa jest biedna, mamy za mało butli tlenowych i niewielu Szerpów. Od pierwszych wspólnych dni w bazie, kiedy jeszcze wszyscy są zdrowi i silni, ścierają się ambicje. Tracimy mnóstwo energii na dyskusje, na pilnowanie własnych interesów. Potem rozpłynie się to wszystko w zmęczeniu, choroby przerzedzą szeregi ewentualnych kandydatów na zdobywców.

W zespole znam tylko Herrligkoffera i trójkę kolegów, z którymi podchodziłam. Pozostałych uczestników wyprawy – z wyjątkiem Willy ego Klimka znanego mi z wyprawy na Nanga Parbat – poznaję dopiero w bazie. Pojawia się też druga kobieta – Marianne Walter. Odnoszę się do niej bardzo serdecznie, już widząc w niej uczestniczkę kobiecego wejścia na Everest. Ale nic z tego nie wyszło – Marianne bez męża, Josefa, nie robi kroku. Są bardzo kochającym się i zgranym małżeństwem. Poza tym Marianne brak samodzielności, która w górach jest niezbędna. Najsłabsi w naszej grupie są Helmut i Jorg Daumowie, pozostali to bardzo dobrzy alpiniści.

Przybyli lokują się w namiotach trochę przypadkowo, nie tworzą zespołów, w których później będą szli do góry. Zatrzymuję dla siebie namiocik, który miałam w czasie podejścia. Robię to nie tylko dlatego, że lubię sa-

motność; będzie to najmniej krępujące. Lubię po powrocie z górnych obozów zająć się wyłącznie sobą. Kąpiel w wodzie podgrzewanej w menażkach, mycie głowy, małe pranie – to czynności, przy których niepotrzebni są świadkowie. Herrligkoffer śpi w dużym namiocie noszącym nazwę „Namiot Kierownika", gdzie jest część sypialna, salon, pomieszczenie na bagaże. To prawie namiot campingowy, idealny na wakacje na Lazurowym Wybrzeżu.

Pierwsze zebrania i dyskusje nad planami są niezwykle burzliwe. Zbieramy się wszyscy w namiocie jadalni i gdy tak siedzimy ciasno obok siebie, widzimy, jak jest nas wielu, a każdy to pretendent do szczytu, zdecydowany walczyć o to, za co zapłacił 6 tysięcy marek. Walczyć nie tylko z górami, ale i z ludźmi stojącymi na przeszkodzie; wchodzić w przymierze z tymi, którzy jego szansę mogą zwiększyć.

Podczas jednego z zebrań koledzy postanawiają, że kobiety noszą do góry tyle samo bagażu co mężczyźni. Tłumaczą to tym, że jeśli chcemy zdobywać to, co oni, być na szczycie Mount Everestu, musimy mieć te same obowiązki. Każdy więc musi wynieść z bazy do górnych obozów co najmniej 75 kilogramów. Jest to również warunek uczestnictwa w akcji szczytowej.

Wszyscy wiedzą, że są trudności z transportem, gdyż mamy za mało Szerpów. Mąż Marianne ładuje do swojego plecaka część bagażu przypadającego na nią. Mój bagaż noszę sama. Noszę także ważącą ponad trzy kilogramy kamerę i filmy. Nie jest to lekkie, w dodatku muszę filmować. Do rozwiązania pozostaje jeden problem – czy sprzęt filmowy ma być wliczony do obowiązkowego bagażu? Na ten temat toczyła się zażarta dyskusja. Uczestnikom nie zależy bowiem na tym, by o wyprawie powstał film, z którego dochody i tak pójdą do kasy Himalaya Club. Bardziej im zależy, by każdy miał równe szanse wchodzenia na szczyt. W końcu udaje mi się przekonać ich, by przy podchodzeniu kamera była wliczana w ciężar ładunku, który mam wnieść.

W czasie dyskusji pretensje kierowano również w stronę Herrligkoffera – dlaczego jest tak mało butli tlenowych? Przecież nie starczy ich dla całej piętnastki! Herrligkoffer postanawia wysłać teleks do USA z zamówieniem na dodatkowe maski tlenowe, a jednocześnie pertraktować z Pierre em Mazeaud o odkupienie butli. Herrligkoffer jest doświadczonym kierownikiem i nie boi się takich dyskusji. Jest chłodny i sprawiedliwy, ale uczestnicy wy-

praw boją się go jak ognia. Umowa uczestnictwa, którą podpisują, wiąże im ręce. Jest ona bowiem majstersztykiem prawnym. Przy sporach kończących się w sądzie Herrligkoffer zawsze wygrywał.

Na tej wyprawie „czarną robotę" planowania akcji, zakładania i zaopatrzenia obozów wykonuje jego zastępca – Sigi Hupfauer. Herrligkoffer wkracza do akcji dopiero przy planowaniu ataków szczytowych.

Ciężka praca towarzyszy zakładaniu obozu I i II. W tej akcji biorę jeszcze udział. Wraz z Hubertem Hillmaierem rozstawiam pierwszy namiot w Dwójce. Ale już przy zakładaniu obozu III i IV nie jestem w przodzie. Przychodzi kryzys. Podczas podejścia do obozu III nie jestem w stanie pójść wyżej. Pocę się nadmiernie, z każdym oddechem tracę siły, boli mnie gardło. Chcę podchodzić, ale organizm mnie nie słucha. Z żalem patrzę na oddalających się kolegów. Wracam do obozu II. Jestem tak osłabiona, że nie chcę sama wracać do obozu I. Myślałam, że Marianne i Josef, którzy są w obozie II, nie będą w nim nocować i zejdę z nimi. Licząc na nich, nie dołączyłam do innych schodzących. Wolałam Walterów, bo wydawali mi się bardziej ludzcy. Proszenie zaś o pomoc niechętnych lub obojętnych kolegów sprawiało mi trudność.

Walterowie jednak zostają w obozie II, bo tak zaplanowali. Muszę więc schodzić sama. Odczuwam z tego powodu jednocześnie strach i podniecenie. Normalnie instynkt samozachowawczy i rozum powstrzymują mnie przed podejmowaniem ryzyka, choć odczuwam psychiczną jego potrzebę. Teraz okoliczności nie dają mi wyboru i nawet cieszę się z tego. Mogę bowiem, bez posądzenia o głupotę, podjąć ryzyko i postąpić zgodnie z przekonaniem, że w góry należy iść dopiero wtedy, jeśli ma się pewność, że da się im radę i że w razie czego należy przede wszystkim walczyć samemu.

Góry przyjmują wyzwanie, ale pierwsze ich zagranie jest nie fair – pogoda nagle pogarsza się. Tuż za obozem II wchodzę w zadymkę śnieżną i mgłę. Z trudnością odnajduję drogę, ledwo zaznaczoną chorągiewkami. Błogosławię je teraz, choć w słoneczny dzień wydawały się bezsensowne. Szlak wydeptany przez wcześniej schodzących już nie istnieje, został zasypany przez świeżo spadły śnieg oraz wiatr. Nie zawsze trafiam stopą na przysypany śniegiem ślad i zapadam się wówczas powyżej kolan. Osłabiona idę wolno. Zbliżam się do ścian Nuptse. Na pewnym odcinku szlak wiodący z obozu I do II przebiega bardzo blisko zboczy tego szczytu, niemal przecina stożki lawinowe, usypane u stóp ściany. Gdy rano na ścianie poja-

wiało się słońce, ruszały lawiny, a po świeżym opadzie spadały prawie nieustannie. Tego miejsca bałam się najbardziej. Toteż z całej wyprawy najlepiej zapamiętałam chwile pod ścianą Nuptse – były trudniejsze niż wchodzenie na szczyt Everestu.

Przy trawersowaniu we mgle śnieżnego stożka słyszę nagle łoskot walącej się lawiny W głębokim śniegu nie mogę uciekać. Zresztą dokąd? Uciekając przed lawiną, mogę wpaść w szczelinę. Zatrzymałam się. Z zupełną rezygnacją pomyślałam: „zaraz będzie koniec”. Po długiej, bardzo długiej chwili łoskot umilkł. Cisza. Lawina przeszła bokiem. Zebrawszy wszystkie siły, staram się jak najprędzej oddalić od tego miejsca. Każdy przyspieszony oddech z bólem przedziera się przez krtań. Ale nie mogę zwolnić. Ostatkiem sił dowlokłam się do obozu I. Choć organizm jest wyczerpany, odżyłam psychicznie – wygrałam tę rundę!

W obozie zastałam miłych i sympatycznych „niemieckich Szerpów” – Martina Ringa, Huberta Wehrsa i Franza Seilera. Zajęli się mną, dali jeść i pić. Do bazy zeszłam dopiero nazajutrz. Przez kilka następnych dni kurowałam się, starając się nie poddać przygnębieniu.

25 WRZEŚNIA. Po raz pierwszy po chorobie, która okazała się zapaleniem oskrzeli, wychodzę z bazy do obozu I. Jestem osłabiona, naszpikowana antybiotykami. Boję się podejścia i nawrotu choroby. Suche i mroźne powietrze wysusza i działa drażniąco na błony śluzowe dróg oddechowych. Idę z Anglikami: Dougiem Scottem i Joe Taskerem. Po drodze poprawiamy mosty, czyli drewniane liny poręczowe i drabiny. W zejściu mija nas Niemiec, Günter Härter. Żegna się, schodzi na dół. Opuszcza już wyprawę.

– Dlaczego, co się stało? – pytam.

– Muszę wracać do domu – odpowiada.

Nie przychodzi mi w tym momencie do głowy najprostsze wyjaśnienie, że Günter nie wytrzymał napięcia, które od miesiąca potęguje się z dnia na dzień. Przestał wierzyć w sukces wyprawy oraz swój, a cena za wytrwanie do końca na wyprawie wydała mu się zbyt wysoka w stosunku do tego, co pozostawił w domu.

W obozie I Anglicy rozstawiają swój namiot. Ja zaś cały dzień spędzam w towarzystwie Huberta i Martina. Pełen słońca, prawie zwyczajny dzień – porządki, gotowanie. Długo rozmawiam z Martinem, który przypomina mi trochę Jasia Franczuka. Ma w sobie coś z Jasiowej niefrasobliwości, poczucia humoru, nonszalancji w stosunku do życia, polegającej na zdaniu się w dużym stopniu na przypadek. Opowiada, między innymi o tym, jak to raz w roku – w celu „oczyszczenia” – upija się dokumentnie i wyrzuca z siebie całą nagromadzoną agresję. Potem śpi długo, a po przebudzeniu zaczyna nowe życie.

26 WRZEŚNIA. Z obozu I wraz z Martinem i Szerpami idę do obozu II. Idę ostrożnie, oddychając przez wełniany szalik.

W Dwójce nieoczekiwanie zastaję Willy ego i Sigiego, którzy następnego dnia mają zamiar iść do obozu III. Z góry schodzą Hubert i Sepp, idą do bazy na odpoczynek. Zeszli również Pierre Mazeaud i Kurt Diemberger, na wpół oślepły. Staram się jakoś pomóc, robiąc mu okłady z rumianku na oczy. Jego obecność w obozie II sprawia, że czuję się odprężona.

27 WRZEŚNIA. Wyruszam z Willym i Sigim do obozu III. Męczy mnie oddychanie, nos mam zupełnie zatkany. Przy oddychaniu ustami boli gardło. Niepokoję się. Tydzień temu doszłam tylko do poręczówek. Po półtorej godziny docieramy do początku poręczówek na ścianie Lhotse. Zakładam raki, przepakowuję plecak, dokładając zostawione tu przed tygodniem rzeczy. Idę, kontrolując tempo. Przy obozie francuskim, znajdującym się 100 metrów poniżej naszego, zatrzymałam się. Chciałam porozmawiać z Raymondem i Claudem. Okazało się, że Claude nie czuje się dobrze, widocznie zmogła go wysokość.

W obozie III, oprócz Willy ego i Sigiego, był także Szwajcar, Robert Allenbach, który wrócił z obozu francuskiego. Georg i Hans w dalszym ciągu pracowali wyżej przy zakładaniu poręczówek. Niestety, nie wolno było mi zostać w tym obozie, pomimo że bardzo tego chciałam. Sigi kategorycznie kazał mi schodzić. Czułam, że powinnam tu zostać, by lepiej się zaaklimatyzować, nadrobić braki powstałe podczas choroby. I tak już jestem dobra, przed wyjazdem miałam bowiem 9 mg hemoglobiny, a teraz już prawie 17. Ale mimo wszystko jestem jeszcze daleko w tyle za kolegami, którzy mają wyniki w granicach 20%. Przeklinam swoją skłonność do anemii i żałuję, że nie zrobiłam badań krwi dostatecznie wcześnie. Dziś mija miesiąc od przybycia do bazy. Właściwie nie mam powodów do rozpaczy, mimo że nie biegam po górach jak na Gasherbrumach. Tam, po sześciu tygodniach, z wejściem na szczyt, miałam w sumie 15 tysięcy metrów podejść, teraz zaledwie siedem.

28 WRZEŚNIA. Odpoczywam w obozie II. Noc była spokojna, spałam sama w dużym namiocie. Rano obudziłam się z przekonaniem, że wszystkiemu dam radę. Dzień pełen słońca.

W obozie III Georg i Hans odpoczywają po zakładaniu poręczówek, natomiast Willy i Sigi poszli na Przełęcz Południową, którą jako pierwsi osiągnęli tego dnia w bardzo dobrym czasie 6 godzin, bez tlenu. Założyli brakujące 300 metrów poręczówek i tego samego dnia zeszli do obozu II. Przez następne dni Szerpowie po założonych poręczówkach wnosili tlen na Przełęcz Południową.

Siedząc w obozie, rozmyślam nad swoją sytuacją. Dochodzę do wniosku, że zaproponowanie mi przez Herrligkoffera obowiązków drugiego zastępcy kierownika i filmowca od razu wzbudziło niechęć kolegów. Musiałabym być zupełnie inna, by uzyskać ich akceptację. Oczekiwano bowiem ode mnie trochę ciepła i kokieterii, a także pewnego podporządkowania. Usprawiedliwiłoby to fakt, że nie jestem mężczyzną. Bez tego byłam poddawana bezlitosnemu porównywaniu ich i moich możliwości w górach. Musiałabym być w sposób oczywisty najlepsza, aby nawet ci najsłabsi nie czuli się lepsi ode mnie.

„Jeżeli chcesz być partnerem – bądź, ale dźwigaj i pracuj tyle samo co my”. Takie postawienie sprawy nawet bardzo by mi odpowiadało, przyjęłabym je bez najmniejszego sprzeciwu, gdyby nie towarzyszący temu nastrój – niechętny, czasem wręcz wrogi. „Zobaczymy, czy wygrasz”.

Ani śladu serdeczności czy choćby obowiązkowego koleżeństwa, brak zrozumienia i tolerancji. Taki nastrój towarzyszył mi w obozie II, gdy znajdowałam się tam z pretendentami do wejścia szczytowego, tymi najsilniejszymi. Gesty serdeczne i koleżeńskie okazywali mi tylko ci, którzy nie należeli do ścisłej czołówki. Gdyby nie oni i Kurt Diemberger, życie na wyprawie byłoby dla mnie nie do zniesienia. Kurt, z racji wieku i doświadczenia, niczemu się już nie dziwił i radził mi robić to samo.

Z ponurych rozmyślań wyrwał mnie niezwykły widok – jakiś żółto upierzony ptaszek przysiadł na menażce Roberta, potem bez strachu przespacerował się po jego głowie i niespiesznie odleciał…

29 WRZEŚNIA. Do obozu III podchodzę z Robertem oraz Berndem. Będę filmować, wychodzę więc trochę wcześniej. Biorę kamerę i dziesięć kaset. Doganiają mnie przy poręczówkach, kiedy przepakowuję plecak. Jest zimno i wieje silny wiatr. Nieopatrznie powiedziałam:

– Przy takim mrozie trudno filmować.

Zapamiętali to i nie darowali mi chwili słabości. Jak się okazało, każdy mój krok i każde słowo jest komentowane, najczęściej niepochlebnie.

Podchodzi mi się fatalnie. Może to jeszcze daje znać o sobie anemia, a może pozostałość zapalenia oskrzeli i działanie antybiotyków. Nocujemy w obozie.

30 WRZEŚNIA. Nieoczekiwanie dla siebie samej schodzę do obozu II. Robert i Bernd zdecydowali się wcześniej na zejście, bo pogoda popsuła się trochę – wiało i pada drobny śnieg. Do dziewiątej czekałam na kontakt radiotelefoniczny. Dowiedziałam się, że tego dnia nikt nie będzie podchodził do góry, a ja mam zejść, zabierając jednocześnie maski tlenowe. Przecież je tu wniosłam! Tak, ale maski trzeba znieść, by Szerpowie mogli je sobie dopasować.

Pamiętając wciąż o swoich niedostatkach aklimatyzacyjnych, chciałam iść do góry, do obozu francuskiego, a potem na Przełęcz Południową. Nie mogłam więc od razu pogodzić się z koniecznością schodzenia. Poczekałam do południa, chcąc jak najdłużej być sama. Pogoda piękna, słonecznie i bezwietrznie, chociaż rano wiało. Trzeba jednak schodzić.

Szybko idę w stronę poręczówek, ale na połogiej części zastopowała mnie mgła i brak śladów. Widoczność jest ograniczona do kilkunastu metrów. Kijkiem narciarskim wyszukuję zasypany ślad wydeptanej ścieżki. Po godzinie mordęgi dotarłam do obozu. Kucharz Mingma podszedł do mnie, pomógł zdjąć plecak, podał kubek gorącej herbaty i zupę. Jakże odwykłam od takich gestów! Koledzy siedzieli w namiotach, żaden nawet nosa nie wychylił na powitanie.

Godzinę później – awantura! Komentowano właśnie fakt, że nie filmowałam w czasie podejścia do obozu III. Robert z Bemdem donieśli o tym Sigiemu, a ten wraz z Seppem napadł na mnie, nie dobierając słów:

– Jesteś niczym, taka mała, a nie wielka Wanda! – słyszę.

Jest to chyba stres wynikający z zagrożenia, przeradzający się w agresję, chęć udowodnienia sobie i mnie, że jestem niczym.

W późniejszej rozmowie na ten temat przyjazny mi Martin powiedział, że dziewięciu spośród dziesięciu żonatych uczestników wyprawy bije swoje żony, jeśli są nieposłuszne…

Wieczorem zaszyłam się w namiocie. Zaczęło wiać. Namiot trząsł się i rwał z uwięzi. Wzięłam proszek nasenny i obudziłam się dopiero rano. Wiało jeszcze mocniej. Ściany namiotu wygięły się pod ciężarem świeżego śniegu. Około dziesiątej zmobilizowałam się do wyjścia ze śpiwora i ubrałam się. Musiałam odkopać namiot. Po śniadaniu poszłam do odległego o 1000 metrów obozu francuskiego, skąd przez radiotelefon przekazałam prośbę do Herrligkoffera o możliwości kontaktu z nim poza ustalonymi godzinami. Wiedziałam, że nie wytrzymam tego wszystkiego dłużej. Nie czułam się na siłach ani nie widziałam sensu pójścia z tymi ludźmi do góry. Wrogość, tak wyraźnie ujawniana, zabrałaby mi chęć do walki o górę, a może nawet chęć walki o życie.

O 14 udało mi się niepostrzeżenie zabrać radiotelefon z namiotu Sigiego i porozmawiać z Herrligkofferem. Powiedziałam:

– Mam dosyć – nie gór, nie wiatru, nie śnieżycy, tylko ludzi. Koniec z żartami! Nie mogę iść z wrogami na szczyt. Proponuję, by moim partnerem w ataku szczytowym był Szerpa Mingma.

Tymczasem mój problem rozwiązała pogoda. Prognoza na najbliższe trzy dni była zła. Po południu zarówno Francuzi, jak i Niemcy postanowili wycofać z obozów większość alpinistów i Szerpów. Rozpoczął się *exodus* do bazy. Prawie trzydziestu ludzi w obłąkanym tempie, walcząc ze śniegiem i wiatrem, mgłą i ciemnością, dotarło wieczorem do bazy. Nie wiem, czemu należy zawdzięczać, że obyło się bez wypadku. Nikt nie wpadł do szczeliny, choć prawie wszyscy biegli niezwiązani. Zaczęliśmy schodzić do bazy o piątej po południu. Zmrok zapadł po ósmej. Całą godzinę błądziliśmy po lodowcu bez latarek. Każdy biegł, myśląc tylko o sobie, nie oglądając się na innych. Czułam euforyczną radość, że biegnę równie szybko i że się nie boję.

W bazie powitał mnie Kurt i swoją obecnością wszystko odmienił. Już nie czułam się skrzywdzona przez innych, wszystko nabrało właściwych proporcji. A to tylko dzięki temu, że Kurt był po prostu życzliwy. I w tym momencie ucieszyłam się, że pogoda załamała się, że w górze pozostali ci wciąż mi niechętni – Sigi, Hubert, Sepp i Georg, a ja jestem wśród ludzi, z którymi znajduję wspólny język i będę wreszcie mogła zachowywać się normalnie.

– Kurt, jak to się dzieje? Przecież ci na górze to najmocniejsi. Tacy nie powinni odczuwać jakiegokolwiek zagrożenia z mojej strony. Znają swoją wartość i nie mająpoczucia niższości. Nie jestem dla nich konkurentką. Wydawało mi się, że tylko słabsi wspinacze, niepewni swych umiejętności, skłonni są widzieć w innych konkurentów, zwalczać ich i utrącać.

– Tu nie o to chodzi. Myślę, że na stosunku kolegów do ciebie zaważył fakt, że Herrligkoffer ustawił cię na stanowisku zastępcy kierownika. Nieważne, że drugiego.

Który z naszych kolegów, nawet ja, byłby zachwycony, gdyby w górach miała nim kierować kobieta?

2 PAŹDZIERNIKA. Baza. Cały dzień nic nie robię, wysuszyłam jedynie rzeczy. Odpoczywam. Uczucie ulgi, nastrój domu. Maleńki namiocik chroni przed nieprzyjaznym światem. Czytam, słucham Beethovena z taśmy magnetofonowej i zapominam, gdzie jestem. Tylko niekiedy łoskot lawiny przywraca mi poczucie rzeczywistości.

Tego samego dnia z bazy wyruszył do ataku szczytowego pierwszy zespół, w którym są Pierre Mazeaud, Hubert Hillmaier i Kurt Diemberger.

Wieczorem odwiedziłam Anglików. Jakże są inni od Niemców!

3 PAŹDZIERNIKA. Wciąż baza. Pogoda wspaniała. Robię wielkie pranie, myję głowę, polewając wodą z menażki. Bieliznę i włosy suszę na słońcu.

Prawie cały dzień trwały z Herrligkofferem dyskusje na temat Lhotse. Chciał, by jakiś zespół wchodził równolegle na ten szczyt. Zaproponował nawet skład tego zespołu: Willy, Bernd, Robert i ja. Żadne z nas nie chciało zgodzić się na ten plan. Zgoda oznaczałaby rezygnację z Mount Everestu. Karl, gdyby mógł, zmusiłby nas do tego, ale podpisaliśmy umowę uczestnictwa w wyprawie na Mount Everest, a nie na Lhotse. Kierownik wyprawy być może ma rację, chcąc wykorzystać szansę zdobycia w jednej wyprawie dwóch szczytów ośmiotysięcznych. Jednak dla nas Lhotse to za mało. Wolimy najpierw spróbować z Everestem, dopiero później pomyśleć ewentualnie o Lhotse.

Karl decyduje się wyznaczyć pierwszy zespół do ataku szczytowego na Everest. Jest w nim oczywiście Sepp Mack, Hans Engl, Sigi Hupfauer i Georg Ritter.

Na temat udziału Roberta Allenbacha w pierwszym zespole szczytowym Karl niezbyt jasno się wypowiada. Toteż Robert nie bardzo wie, czy dochodzić do grupy czekającej w obozie II, czy pozostać w bazie.

Willy Klimek, który 28 września wraz z Sigim wszedł na Przełęcz Południową, był pewnym punktem pierwszego zespołu, ale w bazie zmogła go choroba i gorączkuje.

Czuję, że w obozie II będą podejmowane decyzje dotyczące ataku szczytowego. Chcemy w tym uczestniczyć, ale nie mamy z nimi kontaktu. Nie wiemy, na co się zdecydują – w zależności od pogody i swych możliwości. Z Robertem i Bemdem usiłuję szkicować plan akcji. Ale jak w obecnej sytuacji można zaplanować ataki kolejnych zespołów szczytowych oraz ruchy zespołów zaopatrujących Przełęcz Południową i obóz III w tlen? Rysuję wykresy kilku wariantów akcji, które pokazuję kolegom. Robert prosi, by dać mu taki wykres, zabierze go ze sobą do góry. Postanawia bowiem wyjść z Walterami do obozu I, a następnie dołączyć do pierwszego zespołu szczytowego.

– Martin, znów przygotowałam „czerwoną płachtę”! Właśnie wysłałam plan akcji Sigiemu do obozu II. Może to podziałać bardziej drażniąco niż to wszystko, co działo się dotychczas.

– Nie przejmuj się! Byki są zmęczone. Jak widziałaś – te w bazie jakoś nie reagowały.

Siedzieliśmy przy ognisku, długo rozmawiając o wszystkim i o niczym, wpatrzeni w ogień. Ognisko w bazie jest czymś najwspanialszym, bo przypomina mi chwile

spędzone w Skałkach. Zapominam, że jestem w bazie pod Everestem, choć nie zapominam, że Everest jeszcze przed nami…

4 PAŹDZIERNIKA. Robert z Walterami wychodzi do góry. Chcę wyjść po nich następnego dnia. Pobyt w bazie dłuższy niż trzy dni to za wiele. Trzy dni to niezbędne minimum, by wypocząć. Pogoda znów pogarsza się, pada śnieg. Moje rzeczy rozwieszone są na linach między namiotami, więc na pewno nie wyschną. Jestem niewyspana, gdyż do trzeciej nad ranem kreśliłam plany różnych ataków szczytowych i ruchów poszczególnych zespołów. Mimo że pogoda załamuje się również w górze, pierwszy zespół szczytowy wychodzi z obozu II do III. Niebo jest całkowicie zachmurzone, ale Hubert sądzi, że to chwilowe.

Noc z 4 na 5 października wyjaśnia sytuację. Całą noc sypie śnieg, napadało go aż metr. W tej sytuacji przejście z obozu III – trawersem przez flankę Lhotse w stronę Żebra Genewczyków – stało się niemożliwe. Zbyt duże jest niebezpieczeństwo lawin. Postanawiają zejść z powrotem do obozu II.

5 PAŹDZIERNIKA. Tym razem – brodząc po pas w śniegu – schodzą 7 godzin. W dalszym ciągu pozostaję w bazie. Niepogoda pracuje dla mnie, odpoczywam psychicznie i nabieram sił. Niepokoję się tylko o tych, którzy są powyżej bazy. Śnieg odciął zespoły w obozach. Ci, którzy zeszli z obozu III, siedzą w obozie II bez możliwości pójścia w górę lub w dół. Nawet przejście z obozu I do II jest niemożliwe. Karl zanotował, że w bazie spadło 80 cm, a w obozie I, Kotle Zachodnim i w obozie II – ponad metr śniegu.

Wiadomości o sytuacji na górze są przekazywane przez radiotelefon, ale w tych warunkach trudno uzyskać łączność. Na górze brak masek, trzeba je posłać możliwie najszybciej. Muszą być do dyspozycji, gdy tylko poprawi się pogoda. W górze, oprócz pierwszego zespołu szturmowego, są również Walterowie i Robert. Trójka ta postanawia przetorować drogę między obozem II i I. Sepp zjeżdża na nartach. Bez przeszkód docierają do obozu I, nazajutrz mają zejść do bazy. Chcąc ułatwić im przejście, przynajmniej ostatniego odcinka, i pomóc znaleźć bazę, wyruszają naprzeciw: Willy Klimek, Bernd Kullmann, Hubert Wehrs, Helmut Daum, Martin Ring i ja. Mimo naszych najlepszych chęci nie spotykamy się. Dochodzimy do miejsca, w którym przedtem była drabina. Nie ma po niej śladu, widocznie wpadła do szczeliny, która nagle się rozwarła. Jest tylko poręczówka, łącząca dwa brzegi szczeliny. Nie szukamy już obejść. Czekamy jakiś czas, ale nie widać schodzących. Sądzimy, że zrezygnowali, gdyż zbliża się wieczór. Po własnych śladach wracamy do bazy. Tamci jednak obejściem przez dość niebezpieczny teren znajdują dojście do przetorowanej przez nas ścieżki i wieczorem docierają do bazy.

8 PAŹDZIERNIKA. Zaświeciło słońce, ale jest zimno. Na górze wieje silny wiatr. Wczesnym rankiem Sepp Mack wychodzi do góry z maskami, towarzyszyć mu będzie Sepp Walter, który obawia się o żonę pozostawioną w obozie I. Śmieszy mnie ta troskliwość i choć nie zamieniłabym się z Marianne nigdy w życiu, jednak trochę jej zazdroszczę. Marianne na tej wyprawie nie podjęła żadnej inicjatywy, nie zabrała głosu w dyskusjach. Robił to za nią mąż. I pewnie dlatego jej obecność była pobłażliwie to-

lerowana przez kolegów. Ponieważ nie była zdolna do samodzielnego poruszania się nawet na lodowcu, nie była dla nich rywalką.

W ten dzień pogody, kiedy silnie wiejący wiatr sprasował śnieg na zboczach Lhotse, niezmordowani Pierre, Kurt i Hubert wyruszają z obozu II do III. Podejmują drugi atak szczytowy. Wprost z obozu III zamierzają iść na Przełęcz Południową, a z niej, po biwaku, na szczyt.

W dalszym ciągu jestem w bazie. Przygotowuję się do wyjścia następnego dnia z Berndem, Robertem i Willym. Projekty Karla dotyczące Lhotse upadają. Powstaje natomiast inny plan: pierwszy niemiecki zespół czteroosobowy będzie atakował Mount Everest, drugi zaś, siedmioosobowy, wesprze ich. W skład drugiego zespołu wchodzi nasza czwórka oraz Walterowie i Helmut Daum. Od razu mamy zastrzeżenia do ostatniej trójki, gdyż ich umiejętności odbiegają od naszych.

Trwają rozmowy między obozem II a bazą. Co znajduje się w obozie IV na Przełęczy Południowej? Obóz ten jest decydujący dla wyprawy. Od liczby butli tlenowych i namiotów znajdujących się tam zależy bowiem liczba osób mogących wejść na szczyt. Początkowo Karl przewiduje cztery butle na osobę, potem okazało się, że wystarczą trzy, łącznie z tlenem do spania w czasie nocy.

Nieustannie utrzymujemy kontakt z górnym obozem i próbujemy przymierzyć się do ich sytuacji, wyliczyć, w jaki sposób i jakimi siłami uda się zapewnić tlen dla każdego, kto będzie zdobywał szczyt. Liczba pretendentów do szczytu zmalała o trzy osoby. Pierwszy opuścił wyprawę Günter Härter, z nim jego przyjaciel Hans Kirchberger, a następnie Jörg F. Daum, który obraził się o głupstwo i wyjechał. Pozostała więc dwunastka.

Powoli nawiązuję kontakt z tymi, którzy pozostali w bazie. Epicentrum niechęci znajduje się gdzie indziej. Nie „poszturchiwana psychicznie” potrafię zainteresować się innymi: troszczę się o chorego Willy ego, zauważam cierpienie Karla, którego migrena dopada kilka razy dziennie, zaczynam dostrzegać problemy kolegów. Jest to możliwe tylko wówczas, kiedy nie muszę bronić się przed ich agresją.

9 PAŹDZIERNIKA. Wyruszamy z bazy do obozu I. Pogoda dobra, świeci słońce. Nasza czwórka miała wyruszyć z Helmutem Daumem, aby później z Walterami, koczującymi w obozie II, iść w stronę szczytu. Rano okazało się, że Helmut rezygnuje – jest zmęczony źle przespaną nocą. Tak więc zostajemy we czwórkę: Robert, Bernd, Willy i ja. Po raz pierwszy czeka nas wspólne podejście.

Tylko na początku wyprawy chodziliśmy po lodowcu związani liną, potem jak kto chciał i kiedy chciał. Jedynie Kurt zachowywał rozsądek. Bo właśnie na uskoku lodowca Khumbu wydarzyła się większość wypadków pod Everestem. Ruchomy, uszczeliniony lodowiec pochłonął wiele ofiar. Ale nas rozzuchwaliło szczęście, podczas naszej działalności nie zdarzył się żaden wypadek na lodowcu. I tym razem nie byliśmy związani, ale uważaliśmy na siebie. W pewnym momencie wpadłam jedną nogą w szczelinę. Bernd, będący najbliżej, podał mi natychmiast kijek narciarski i pomógł wydostać się. Nie byłam już sama, czułam przynależność do akceptującej mnie grupy. Nie związaliśmy się nawet wówczas, gdy okazało się, że nie ma dalej szlaku. Ślad obu Seppów – Macka i Waltera – kończył się w olbrzymim rumowisku lodu,

a nasza droga, przecięta szczeliną dziesięciometrowej szerokości z przerzuconą przez nią drabiną, przestała istnieć. Drabina zwisała w absurdalnym miejscu, na brzegu szczeliny. Rumowisko minęliśmy obojętnie, jakby było całkowicie bezpieczne. Wyjście z niego okazało się jednak ryzykowne, na drugą stronę bowiem można było przedostać się tylko przez niepewnie wyglądający most śnieżny. Byliśmy niepoprawni, nie wyciągnęliśmy liny z plecaka. Chyba jednak zobojętnieliśmy na niebezpieczeństwo. Lodowiec oglądaliśmy już sześć tygodni i przestał nas straszyć, choć nadal był niebezpieczny.

Tego dnia między obozem III a Przełęczą Południową mają miejsce dramatyczne wydarzenia. Pierre, Kurt i Hubert idą na Przełęcz wraz z Szerpami, niosącymi butle tlenowe, namiot, jedzenie i paliwo. Muszą od nowa torować szlak. Przed Przełęczą Szerpowie zastrajkowali:

– Za dużo wiatru, *sahib*!

Nie pomagają namowy i obietnice dodatkowych pieniędzy – Szerpowie nie chcą iść dalej. Ale pierwszy zespół szturmowy, mimo wszystko, postanawia dotrzeć na Przełęcz, choć wiadomo, że w tych warunkach bardzo trudno będzie rozstawić namiot. Im wyżej, tym wiatr silniejszy.

Na Przełęczy Południowej szaleje huraganowy wiatr. W tumanach śnieżnego pyłu nie mogą znaleźć depozytu pozostawionego wcześniej przez Szerpów, nie mają śpiworów i jedzenia. Próbują rozstawić namiot w pobliżu ogromnego kamienia – na samej krawędzi Przełęczy. Udaje im się to dopiero po dwóch godzinach szarpaniny. Wiatr wzmaga się. O siedemnastej decydują się zejść do obozu III. Jest on przepełniony, tego dnia bowiem doszli tu Sigi, Sepp, Hans i Georg – pierwszy niemiecki zespół szczytowy, oraz Szerpowie niosący 22 butle tlenowe na Przełęcz. Namiotów jest tylko cztery, toteż wszyscy spędzają fatalną noc.

10 PAŹDZIERNIKA. Bernd, Robert, Willy i ja idziemy z obozu I do II. Obawialiśmy się głębokiego śniegu, jednak wiatr i słońce tak go sprasowały, że prawie nie zapadamy się. Mijamy obóz Anglików. Od strony Nuptse zmierzają ku nam trzy postacie. Domyślamy się, że to wraca zespół angielski, rezygnując z poprowadzenia nowej drogi filarem Nuptse. Zatrzymujemy się. Mamy dla nich pocztę. Utytłani w śniegu, wyczerpani, siądą potem w słońcu i niecierpliwie rozerwą koperty przynoszące wiadomości z domu.

Dochodzimy do namiotów francuskich, przed którymi siedzą Kurt i Pierre. Są nie do poznania. Pierre, prawie nieruchomy, wystawia ku słońcu twarz wysmarowaną białą, ochronną maścią.

Z trudnością odpowiada na nasze powitanie. Ma ściągniętą odmrożeniami i oparzeniami skórę, popękane usta. Zszedł dopiero co z obozu III, jest wyczerpany walką o Przełęcz Południową. W tej chwili rozważa szansę wyprawy, chyba nikłe z przyczyny szalejącego wiatru. Słońce i spokój w obozie nie poprawiają jednak naszego nastroju.

W obozie II czeka mnie niemiła niespodzianka. Spotykamy pierwszy zespół szczytowy, który zszedł z obozu III. Razem jest nas w Dwójce już 14 osób. W tym kilka, których ze względu na swój psychiczny komfort wolałabym tu nie spotkać. W obozie

panuje chaos. Z gotowaniem są kłopoty, gdyż kucharz Mingma – specjalnie wyekspediowany do tego obozu – źle znosi wysokość i nie podejmuje się gotowania.

W moim namiocie drzemie Kurt – przemarznięty, przewiany wiatrem, zmęczony. Ja również drzemię do osiemnastej, gdyż nie bardzo chce mi się siedzieć w „Manszaftcelcie", czyli namiocie jadalnym. Dopiero głód zmusił mnie do działania. Koledzy dawno już zjedli kolację. Dobrałam się więc do jakiejś miski z suchymi płatkami. I wtedy Sigi ze złością powiedział:

– Zapytaj najpierw, czyje to, a nie bierz sama!

Jestem już trochę uodporniona, więc się nie przejmuję jego słowami. W końcu ugotowałam coś dla siebie i Kurta.

11 PAŹDZIERNIKA. Zupełnie przez przypadek nasza grupa, wypoczęta i gotowa do wymarszu, staje się pierwszą grupą szczytową. Wyruszamy do obozu III, gdzie mamy rozstawić nowy namiot. Te, które tam są, zostały zasypane śniegiem i nie wszystkie nadają się do użytku.

Podchodziłam prawie cztery i półgodziny. Znów mam trudności z oddychaniem na ostatnich metrach. Niedobrze. Wciąż za wolno idę. Odkopywanie namiotów ze śniegu i rozstawianie nowych zajęło nam całe popołudnie. Później przywlekli się Walterowie, którzy mieli spać w nowym namiocie. W nocy zerwała się wichura i moją „Turnię II" zasypała śniegiem aż po kalenicę. Rano Walterowie mieli dosyć. Marianne, mimo środków nasennych, nie spała całą noc. Postanawiają zejść niżej. Schodzi również Robert, przekonany, że to już koniec wyprawy.

W tamtych dniach obóz III wydawał się jeszcze bardziej przywarty do ściany Lhotse. Przebywaliśmy oddzielnie w swoich namiotach, prawie nie kontaktując się ze sobą. Widywaliśmy się tylko w ciągu dnia przy pracy, bo posiłki również jadaliśmy osobno. Choć namioty były od siebie oddalone o kilka metrów, podczas zadymki stawały się niewidoczne.

12 PAŹDZIERNIKA. Dzień wydarzeń brzemiennych w skutki. Willy, Bernd i ja przebywamy nadal w obozie III. Tego dnia, zgodnie z planem, wszyscy Szerpowie z obozu II mieli podejść do obozu III i iść dalej na Przełęcz Południową, wynosząc brakujące butle tlenowe i wyposażenie obozu IV. Między nimi miała iść trójka – Mingma, Ang Dorje i Ang Cami – która miała wnieść na Przełęcz osobiste wyposażenie wspinaczkowe i ubezpieczać nasz atak szczytowy.

Czekamy więc na nich. Kiedy się pojawili, z rozmowy w kiepskim angielskim zrozumiałam, że nie mają zamiaru iść na Przełęcz, ponieważ pogoda nie rokuje nadziei na wejście. Natomiast Willy, jak się później okazało, był przekonany, że trójka najsilniejszych Szerpów, mimo złej pogody, pójdzie na Przełęcz, gdy tylko do swego prywatnego wyposażenia dopakują trochę jedzenia i paliwa, nie biorąc jednak namiotu. Niestety, nie skonfrontowaliśmy naszych informacji i rozeszliśmy się do namiotów.

Tego dnia w obozie II Hubert Hillmaier otrzymał przez radiotelefon wiadomość: Szerpowie dotarli na Przełęcz, rozstawili namioty i będą nocować. Herrligkoffer z kolei dowiedział się, że Szerpowie z własnej inicjatywy weszli na Przełęcz. Wiadomości te podziałały mobilizująco na pierwsze zespoły szczytowe, czekające w obozie II. Na mnie nie, bo nic o tym wszystkim nie wiedziałam. Radiotelefon jest w namiocie Willy

ego i z bazą rozmawia wyłącznie on. Dopiero później dowiedziałam się, że Szerpowie doszli jednak na Przełęcz. Przez dwie godziny rozstawiali namiot, w którym zamierzali spędzić noc.

W bazie Herrligkoffer otrzymuje radiowy komunikat o przewidywanej poprawie pogody na najbliższe kilka dni. Prędkość wiatru nie przekroczy 80 km na godzinę. Po tym krótkim rozpogodzeniu nadejdzie zima, a z nią zawieje i burze śnieżne. Wiadomość o poprawie pogody Karl przekazuje do obozu II i decyduje się wysłać z niego najsilniejszy zespół – Hansa i Seppa – do ataku szczytowego. W tym samym czasie Hubert wraz z Pierre em i Kurtem również zamierzają wyruszyć.

Herrligkoffer, stawiając na pierwszą dwójkę, postanawia odwołać nas z obozu III do II. Ale decyzję tę przekazuje nie nam bezpośrednio, a przez kolegów z obozu II. Karl uważa, że nie wykorzystaliśmy z Willym swojej szansy, pozostając w obozie, podczas gdy Szerpowie zdecydowali się pójść na Przełęcz.

I tak zaczęło się coś dziać poza mną. Na tej wyprawie bardzo często nie wiedziałam, co zostało postanowione lub co się będzie działo, czy to z racji trudności językowych, czy też dlatego, że znalazłam się poza obiegiem informacji. Tak było i teraz. Nie wiedziałam, że Szerpowie osiągnęli Przełęcz, że prognoza na najbliższe dni jest dobra, że decyzją Herrligkoffera zostaliśmy z Willym wycofani, a do góry zostali wysłani Hans i Sepp. Spałam więc spokojnie w namiocie, który łopotał i zrywał się z uwięzi, nim nad ranem nie uspokoił się pod ciężarem zasypującego go śniegu.

13 PAŹDZIERNIKA. Rano wyglądamy Szerpów mających iść z ładunkami na Przełęcz. Przychodzą, tyle że w niespodziewanym towarzystwie – są z nimi Sepp i Hans oraz Pierre, Kurt i Hubert. Sepp przekazuje polecenie Karla:

– Z powodu niepewnej pogody cała wyprawa pracuje teraz na nas, wy natomiast musicie zejść na dół.

Jest to dla mnie i Willy ego kompletne zaskoczenie. Do tego jeszcze decyzja Karla przekazana przez Seppa – mojego antagonistę – jest dla mnie podwójnie nieprzyjemna.

Willy szybko pakuje swoje rzeczy. Wyraźnie widać, że jest wytrącony z równowagi. W zwykłych warunkach jest spokojny, łagodny, podporządkowujący się wszelkim poleceniom, „dobra dusza” wyprawy. Jeszcze trochę go buntuję: ponieważ na Przełęcz idzie wielu Szerpów, powinien dołączyć do dwójki szturmowej. Willy waha się, w końcu jednak poddaje się i schodzi. Ja rezygnuję od razu. Nie chcę wchodzić na szczyt z ludźmi niechętnymi i wrogimi. Z żalem patrzę na grupę podchodzącą na Przełęcz.

Kurt, Hubert i Sepp idą, używając tlenu. Tego dnia muszą zrobić 1500 metrów podejścia, więc chcą oszczędzić siły na następny dzień. Zazdroszczę im, a ponieważ nic nie wiem o przewidywanej poprawie pogody, moja zazdrość jest połączona z niepokojem i niepewnością o ich los. Co przyniesie kolejny atak? Jestem przekonana, że podjęli ryzykancką próbę, zdeterminowani dotychczasowymi niepowodzeniami. Czuję się trochę oszukana, tym bardziej że nie mam pewności, czy jest to rzeczywiście decyzja Karla, czy moich kolegów z obozu II.

Im tymczasem wcale nie jest łatwo. Hubert dzień trzeciej już próby ataku szczytowego tak wspomina:

Był 13 października i na domiar wszystkiego – piątek. Wprawdzie zdecydowałem się iść, ale byłem pełen złych przeczuć. Podczas podejścia do obozu IV wciąż oczekiwałem czegoś niedobrego. Na wysokości 7600 metrów następuje to oczekiwane. Spotykam Szerpów schodzących z Przełęczy. Przemarznięci, ledwo mówią. W górze huraganowy północny wiatr porwał jeden namiot. Wyprawa może się już poddać. Według nich na szczyt nie wejdziemy. Ta hiobowa wieść mnie nie zdziwiła, podświadomie obawiałem się tego cały czas. Ale próbuję dogadać się z Szerpami, by poszli z nami na Przełęcz. Daremnie, w dodatku pięciu naszych Szerpów w czasie tego spotkania również podejmuje decyzję powrotu. Zostawiają wszystkie ładunki i żadne próby zatrzymania ich nie skutkują. Pozostaje z nami tylko jeden Szerpa, zwany Hilton Boy, który przyjaźni się z Pierre'em…

Alpiniści pakują do swych plecaków pozostawione przez Szerpów ładunki, gdyż nie są pewni, czy na Przełęczy zastaną złożony wcześniej depozyt. Hubert dobrze pamięta, że podczas drugiego ataku szczytowego nie mogli go odnaleźć. Dochodzą na Przełęcz. Hubert i Sepp naprawiają podarty namiot, a po przyjściu całej grupy gotują herbatę. Huragan przybiera na sile. W międzyczasie rozstawili drugi namiot. Zajęło im to dwie godziny. Lokują się w namiotach: w jednym – Kurt, Pierre, Hubert i Hilton Boy, w drugim – Hans i Sepp. Namioty łopoczą niczym żagle na wietrze. Tej nocy nikt nie będzie mógł spać.

Tymczasem jestem z Willym w obozie II. Wciąż nic nie wiemy o spodziewanej poprawie pogody. Mówię do Willy ego, że nie mam ochoty rezygnować tak szybko. W obozie panuje nastrój rezygnacji i odwrotu. Złości mnie to trochę. Przecież w górze jest już jeden zespół, nie można więc tak łatwo się poddawać. Rozważam możliwość wejścia na Lhotse – na zboczach i wkuluarze nie powinno tak wiać, jak na grani Everestu. Willy zgadza się pójść ze mną. Jeszcze tego dnia próbujemy ustalić, co będzie nam potrzebne. Jeden Szerpa pójdzie z nami do szczytu, drugi weźmie dodatkowe ładunki. Rezygnujemy z zakładania lin poręczowych powyżej obozu III i zabieramy tylko lekki namiot, pożyczony od Walterów, którzy ostatecznie postanowili wycofać się z dalszej akcji i zejść do bazy.

Sigi patrzy na nasze przygotowania niechętnie. Jakby chcąc nas zdemobilizować, oświadcza, że on zdecydował się wycofać. Twierdzi, że chce tylko zaczekać na wiadomość z Przełęczy Południowej, a potem zejdzie do bazy. Nie dziwi mnie to – prawie dwa tygodnie działa bez odpoczynku. Po przedstawieniu mu naszych planów w pierwszej chwili powiedział, że nie ma mowy o Lhotse. Dopiero rozmowa radiotelefoniczna z Karlem zmusiła go do akceptacji naszego projektu.

14 PAŹDZIERNIKA. Pogoda słoneczna i wiatr stał się jakby słabszy. Nie widać białego pióropusza śniegu na grani. Przygotowania do wyjścia na Lhotse są krótkie. Pakujemy niezbędne rzeczy. Mimo że poprzedniego dnia zeszliśmy z obozu III, postanawiamy jeszcze dzisiaj wrócić do niego, by następnego dnia nie dzieliła nas zbyt duża różnica wysokości. Nie chcę podchodzić jednego dnia więcej niż 1000 metrów,

zwłaszcza że powyżej obozu III trzeba będzie torować szlak w głębokim śniegu. W takich warunkach nawet tlen niewiele pomoże.

Do podnóża kuluaru Lhotse wyruszymy następnego dnia już „na ciężko". Będziemy nieść po jednej butli tlenowej i osobisty sprzęt. Biwak założymy możliwie blisko kuluaru. Nasi Szerpowie, jak ustaliliśmy, wyruszą z obozu III nazajutrz i dogonią nas między obozem III a biwakiem.

Ponieważ na tym odcinku zamierzamy już iść z tlenem, potrzebne są nam maski. Szukam ich z Willym. Okazuje się jednak, że wszystkie zostały zabrane przez pierwszy zespół, w obozie zaś pozostały tylko trzy maski Szerpów. Na szczęście nie zamierzają oni korzystać z nich przy podejściu na Przełęcz, a po dojściu na nią wykorzystają te, które tam są. Dostaję więc od *sirdara* dwie maski.

Nagle następuje kolejne spięcie z Sigim. Okazuje się, że wcale nie zamierza schodzić do bazy. Pieniąc się ze złości, wymyśla nam, że zabieramy maski, myśląc tylko o sobie, a tymczasem on z Robertem zamierza następnego dnia wyjść na Przełęcz w ślad za pierwszą dwójką szczytową! Jestem tym oświadczeniem zdumiona. Podczas ostrej wymiany zdań sytuacja się wyjaśnia. Są maski dla wszystkich. Dyskusja okazała się niepotrzebna, ale raz jeszcze ujawniła całą niechęć, bliską nienawiści, jaką Sigi żywi wobec mnie. Używa takich argumentów, które według niego powinny mnie najbardziej dotknąć.

– To są polskie metody! – krzyczy.

Nie sądziłam, że potrafię czuć pogardę dla drugiego człowieka, a jednak nie uniknęłam tego. Pogarda stanowi dla mnie słaby szaniec, nie czuję się za nim bezpieczna.

Około piętnastej z ulgą opuszczam z Willym obóz. Niespodziewanie dobrze mi się podchodzi. Nareszcie „złapałam" aklimatyzację. Po trzech godzinach jesteśmy w obozie III. Pogoda wspaniała, wiatr przy podejściu ustał całkowicie. Po raz pierwszy widzę południową ścianę Everestu – oświetloną słońcem, pozbawioną śniegu, grającą wszystkimi odcieniami brązu, od ciemnego do jasnozłotego z połyskiem czerwieni.

Przy podchodzeniu do obozu III spotykamy zbiegającego z góry Szerpę. Nie bardzo możemy się z nim dogadać, ale chyba mówi, że Mount Everest został zdobyty! W obozie III jest radiotelefon, jednak nie udaje nam się nawiązać kontaktu z Przełęczą. Zespół, który osiągnął szczyt, nie zszedł jeszcze na Przełęcz Południową. A tego dnia wyprawa rzeczywiście odnosi pierwszy sukces.

Z późniejszych relacji dowiedzieliśmy się, że nikt z tych, którzy spali na Przełęczy poprzedniej nocy, nie spodziewał się, że następnego dnia będą zdobywcami. Nad ranem dociera do ich świadomości, że są pod szczytem Everestu, a wiatr nareszcie się uspokoił. Trzeba wstać, gotować śniadanie. Każdy z nich powtarza: „Tak, tak, trzeba wstać!" Ale nikt się nie rusza. Dopiero po pewnym czasie mobilizują się, jednak do wyjścia przygotowani są dopiero około dziewiątej trzydzieści. Tylko Sepp i Hans są gotowi wcześniej. Sepp ładuje do plecaka trzy butle tlenowe, Hans nie bierze żadnej. Jest w tak dobrej kondycji, że próbuje wchodzić na szczyt bez tlenu. Hubert zamierza iść z dwiema butlami, podobnie Pierre i Kurt, natomiast Hilton Boy rusza z jedną butlą, którą w połowie drogi do szczytu przekaże Pierre owi.

Pół godziny później Pierre zmaga się ze swoją maską. Hubert sprawdza zawartość tlenu w jego butli i okazuje się, że jest prawie pusta. Wówczas każe Hiltonowi zostawić niesioną przez niego butlę i zejść z powrotem na Przełęcz po dwie nowe. Przez następne pół godziny Hubert znacznie oddala się od Pierre a i Kurta, widząc jednocześnie, że dystans między nim a Seppem i Hansem również się zwiększa. Musi więc dokonać wyboru. Układem partnerskim jest związany z Pierre em i Kurtem, ponieważ cały czas był w ich zespole, ale wie już, że z nimi nie ma szans na osiągnięcie szczytu. Idą zbyt wolno. Pozostawia więc ich i goni dwójkę znajdującą się wyżej. Pierre i Kurt po dojściu do wysokości 8400 metrów rezygnują z dalszego podchodzenia i wracają na Przełęcz.

Trójka Niemców pnie się do szczytu. Hubert, który niósł dwie butle, wpadł na znakomity pomysł: tę, którą wykorzystywał dotychczas, zostawia na wysokości 8600 metrów. Butla ta przyda mu się przy zejściu. Na pozostałe do szczytu 250 metrów zabiera tylko jedną, ale za to pełną. Dzięki temu z ważącego około 18 kilogramów plecaka ubywa 7. Pomysł ten później i my wykorzystamy.

Z mniejszym obciążeniem Hubert szybko dochodzi do Hansa, a potem do Seppa, który szedł wciąż pierwszy, torując ślad.

Z Przełęczy Sepp zabrał trzy butle, żeby oddychać „pełną piersią”, ale trzy butle ważą razem 21 kilogramów. Można się zastanawiać, czy lepiej iść z dwiema butlami o mniejszym przepływie tlenu i mniejszym ciężarze, czy z trzema butlami o przepływie 4 litrów na minutę, ale ważącymi tak wiele.

Wejście na Wierzchołek Południowy jest „tylko” trudne – wymaga już wspinaczki, natomiast odcinek z Wierzchołka Południowego do głównego szczytu Mount Everestu był uważany przez wszystkich za bardzo niebezpieczny. Każdy bał się tego miejsca.

Sepp podszedł pod kolejny uskok, zwany Hillary Step, próbując go sforsować. Bez powodzenia. Postanowił zaczekać na Huberta, który miał w plecaku poręczówkę.

O godzinie 16.45 na wierzchołku Mount Everestu stanął Sepp, 15 minut później Hubert, a 30 minut po Seppie idący bez tlenu Hans. Słońce zniżało się ku zachodowi, nie mogli więc długo pozostawać na szczycie.

Zejście tej trójki miało momenty dramatyczne. Pierwszy schodził Hubert, któremu starczyło tlenu na zejście. Po nim szedł Sepp, a na końcu Hans bez tlenu. Sepp nie mógł znaleźć butli pozostawionej przy podchodzeniu. Zmęczony i bez tlenu schodził niepewnie. I kiedy Hans, straciwszy równowagę, wpadł na niego, upadł również i obaj zaczęli staczać się po zboczu. Ledwo udało im się wyhamować upadek. Sepp całkowicie załamał się 50 metrów przed namiotami na Przełęczy. Hubert doszedł do obozu i ugotował herbatę, potem zaniósł ją Seppowi, namawiając go na ostatni wysiłek – dojście do namiotów. Po kilkunastu minutach cała trójka znalazła się na Przełęczy. Była godzina 22.

Następnego dnia, 15 października, szczęśliwi schodzą wprost do obozu II. Po drodze miną się z nami.

Zanim jednak do tego spotkania doszło, tego samego dnia przeżyliśmy z Willym mocne chwile w obozie III. O godzinie siódmej rano Karl, rozmawiając z Willym, nie

wiedzieć czemu odniósł wrażenie, że jesteśmy pasywni i kiepsko przygotowaliśmy sobie wejście na Lhotse. Willy tłumaczył mu, że czekamy na Szerpów, czego Karl nie mógł zrozumieć. Nie docierało też do niego, że nie jesteśmy pewni Sigiego, czy czegoś nie zmieni, oraz Szerpów, że przyjdą. Nie możemy pójść bez namiotu i zaplecza, które mieli donieść. Szerpowie nie palą się zbytnio do Lhotse, bowiem tak jak dla nas, alpinistów, tak i dla nich Everest jest bardziej atrakcyjny. Mogą więc nie dojść do obozu III, tylko pójść z Sigim na Przełęcz. O ósmej Willy łączy się z Przełęczą Południową i dowiaduje się, że pierwszy zespół był na szczycie! Hubert przez radiotelefon zachęca pozostałych uczestników wyprawy do wchodzenia na Everest. Ładny gest – zdobywcy szczytu nie chcą go zatrzymać wyłącznie dla siebie.

Jesteśmy podekscytowani, zmobilizowani do działania. Bez żalu rezygnujemy z Lhotse. Jesteśmy gotowi do pójścia na Everest, zaczekamy tylko na Szerpów i schodzących kolegów. Wtedy dopiero uzgodnimy nasze dalsze poczynania.

Około dziewiątej pojawiają się w obozie III Szerpowie, a z nimi Sigi i Robert z obozu II. Idą na Przełęcz Południową, a następnego dnia też chcą wchodzić na szczyt. Póki co, wszyscy czekamy przed namiotem na zdobywców. Już ich widać na zboczach Lhotse, a po niedługim czasie są na trawersie, na poręczówkach rozpiętych między Żółtą Barierą a naszym obozem. Dwie postacie poruszają się sprawnie, trzecia zaś wyraźnie pozostaje w tyle, przysiadając co kilkanaście metrów. To osłabiony Sepp.

Nareszcie dochodzą! Gratulujemy im serdecznie. To nie tylko ich własny sukces, ale i wyprawy. Zielone światło dla nas. Wiemy już, że w górze warunki są dobre. Jak twierdzi Hubert, do szczytu możemy iść bez liny. Jeszcze w nim trwa euforia z poprzedniego dnia, pragnie, by na górze jeszcze coś się działo. Powtarza kilkakrotnie, że dopóki jest pogoda, jak najwięcej uczestników wyprawy powinno iść na szczyt. Podaję radiotelefon, by Hubert i Hans powiedzieli kilka słów do bazy. Herrligkoffer od nas dowiedział się o sukcesie, jako że nie było łączności bezpośredniej między bazą a Przełęczą Południową. Karl cieszy się ogromnie.

Korzystamy z Willym z okazji, by przedstawić Karlowi nasz plan, a raczej zmianę planu. Wyraża zgodę pod warunkiem, że wystarczy butli. O to nie obawiamy się, butli jest dużo w obozie III, w drodze między obozem i Przełęczą, jak też na samej Przełęczy.

Koło południa ruszamy pod Przełęcz. Pogoda niewiarygodna – cały czas słońce i prawie bezwietrznie. Ubrani jesteśmy bardzo lekko, w pojedynczych swetrach i wełnianych podkoszulkach.

W plecakach butle tlenowe. Koniecznie chcę wypróbować podchodzenie z tlenem, nigdy bowiem nie korzystałam z maski, reduktora i butli. Boję się awarii sprzętu, która może zdarzyć się w tym najważniejszym dniu. Willy zamierza zabrać jedną z butli, które są rozsiane po drodze poniżej Przełęczy. Sprawdzam przepływ tlenu – mieści się w granicach 1 do 4,5 litra na minutę. Z tlenem idę z taką szybkością i wysiłkiem, jakbym poruszała się na wysokości 6000 metrów.

Początkowo ani Willy, ani ja nie zamierzaliśmy podchodzić na Przełęcz z tlenem. Ale przecież tlenu jest bardzo dużo, pomyślałam więc, że należy oszczędzać siły na

dzień następny. Bywałam już bez tlenu na wysokości bliskiej 8000 metrów, ale jutro miałam iść jeszcze wyżej.

Cała droga na Przełęcz jest zaporęczowana. Prowadzi nachylonymi pod kątem 45-50° śnieżnymi stokami, w kilku miejscach poprzecinanych pasmem skał. Pierwsza przeszkoda to Żółta Bariera – pas skał przecinających poziomo flankę Lhotse. Poręczówki wiodą do Żółtej Bariery skośnie w lewo, przechodzą przez nią i wprowadzają na Żebro Genewczyków. Dopiero na szczycie Żebra liny poręczowe wyprowadzają nas skośnym, stromym trawersem w lewo, na równię Przełęczy Południowej. Poręczówek jest ponad 800 metrów.

Idziemy, wykorzystując jumary, zwłaszcza na stromych odcinkach. Z uznaniem myślę o tych, którzy pierwsi przeprowadzili drogę przez Żółtą Barierę. Jest nieprzyjemna, mało na niej śniegu, dużo skały i lodu. Powyżej Żółtej Bariery idziemy razem równym, stosunkowo wolnym tempem. Idę pierwsza, rozmyślając trochę chaotycznie. Mimo radości spotkanie z trójką zdobywców zostawiło jakiś osad – Teraz przypominam sobie dokładnie słowa Seppa:

– Nie masz co marzyć o wejściu na Everest! Nie dasz rady. Nawet nie powinnaś próbować, bo będziesz zagrożeniem dla innych.

Przetrawiam jego słowa podczas podejścia. A skurczybyk! – myślę. Tego typu opinie nigdy mnie nie załamywały. W tej chwili mam dobrą kondycję, nareszcie zdobyłam aklimatyzację, na którą tak długo czekałam. Mimo to z przykrością uświadamiam sobie, że słowa Huberta, zachęcające do wejścia, mnie prawdopodobnie nie dotyczyły. W grupie jego przyjaciół i kolegów byłam kimś obcym.

Dobrze, że wysiłek podejścia eliminuje jakiekolwiek przykre doznania związane z tym odkryciem.

Staję się maszyną do podchodzenia – co sekunda krok wyżej. Nie potrzebuję już żadnych podniet mobilizujących – ani przekory, ani zawziętości. Muszę wejść na Everest! To, co teraz robię, robiłam już dziesiątki, a może setki razy. Przy żmudnym podchodzeniu zapomina się niekiedy, na jaką górę się wchodzi. Wszędzie śnieg, lód i skały są takie same.

Co jakiś czas odpoczywam. Przysiadamy wtedy na stopniach wyrąbanych w śniegu na stromym stoku i spoglądamy na pozostający pod nami szczyt Nuptse oraz na Cho Oyu wyłaniający się spoza Pumori. Potem znów ruszamy. Do znudzenia powtarzamy te same ruchy, przesuwamy jumar, stawiamy stopę, obciążamy ją, robimy krok wyżej, przesuwamy jumar na linie, krok wyżej… I tak bez zmian, jak automaty.

Mijamy francuski obóz IV, założony na zboczach Lhotse na wysokości 7500 metrów, powyżej Żółtej Bariery. Obóz ten nigdy nie był wykorzystywany przez Francuzów, w końcu zasypała go lawina.

Na Przełęcz Południową wychodzimy o siedemnastej, po pięciu godzinach podejścia. Już na trawersie czujemy silne podmuchy wiatru, wzmagające się na równi Przełęczy. Niemal uginamy się pod jego naporem. Jesteśmy zaniepokojeni – przecież Hubert zapewniał, że na zboczach Everestu jest zupełnie cicho! Dochodząc do obozu, widzimy trzepocące trzy namioty. Kręcą się przy nich ludzie. To nasi Szerpowie oraz Sigi i Robert. Są też schodzący z Everestu Francuzi i Kurt.

15 PAŹDZIERNIKA był dniem francuskim. Kurt Diemberger i Pierre Mazeaud, którzy poprzedniego dnia wycofali się, ponowili atak. Wraz z nimi poszli Jean Afanassieff i Nicolas Jaeger – młodzi, fantastyczni wspinacze, należący do ścisłej czołówki alpinizmu francuskiego. Doszli na Przełęcz tego dnia, w którym z Willym podchodziłam do obozu III.

Kurt, doświadczony alpinista, filmuje cały przebieg wspinaczki. Filmuje również na szczycie Everestu. Zespół francuski ma radiotelefon, za jego pośrednictwem Pierre Mazeaud przekazuje wprost do bazy wiadomość o zdobyciu przez nich szczytu. Jego wypowiedź od razu jest transmitowana przez nadajnik w bazie i satelitę do radia francuskiego. Złośliwi twierdzili później, że Pierre podczas wyprawy współpracował nie z Francuzami, a z Kurtem i Hubertem tylko dlatego, by być pierwszym Francuzem na szczycie Everestu…

Kiedy dochodzimy z Willym na Przełęcz, właśnie zbliżają się schodzący ze szczytu Jean i Nicolas; dwójka „dziadków", czyli Pierre i Kurt, dochodzi nieco później. Cieszę się z sukcesu Kurta – Everest jest jego czwartym ośmiotysięcznikiem.

Nie sposób być długo na zewnątrz, wiatr ma prędkość huraganu, ale Kurt pociesza nas, że na zboczach Everestu było spokojnie.

Zabieramy się z Willym do rozstawiania namiotu. Mały namiocik Walterów jest rewelacyjny, ale wymaga włożenia masztów i ustawienia go przed przymocowaniem do lodu. Zanim więc to nastąpi, musimy mocno trzymać wyrywający się na wietrze namiot. Rozglądam się za śpiworem. Nie ma wolnego! Stoję trochę ogłupiała, żałując teraz, że nie wzięłam go z obozu III. Pytam we wszystkich namiotach, czy nie mają zbywającego śpiwora. Niestety, nie mają. Perspektywa spania bez śpiwora w noc poprzedzającą atak szczytowy jest przerażająca. Temperatura na zewnątrz poniżej minus 30° C. Z opresji ratuje mnie wspaniały gest Kurta. Oddaje mi swój śpiwór, mówiąc:

– Ja już byłem na szczycie, ciebie czeka to jutro. Musisz być wyspana i wypoczęta. Poradzę sobie jakoś…

Zaprosiliśmy go na noc do naszego namiociku. Kurt naciągnął na siebie puchowe spodnie i kurtkę. Wzięliśmy go z Willym między siebie, osłaniając od zimna i ogrzewając śpiworami. Rano twierdził, że spędził nienajgorszą noc.

Przed snem jeszcze gotujemy w namiocie Szerpów. Sprawdzam butle tlenowe i ich wyposażenie, zbieram wszystkie drobiazgi, które jutro mogą się okazać potrzebne.

Do śpiworów wchodzimy, nie rozbierając się. Jestem w kilku warstwach ciepłej bielizny, wełnianych i puchowych spodniach, kilku swetrach i kurtce puchowej. Zdejmuję tylko zewnętrzne buty i wkładam je do śpiwora. Gdyby na noc zostały na zewnątrz – zamarzłyby i rano byłyby nie do włożenia. Dopasowujemy maski do spania. Są to plastykowe przykrywki obejmujące usta i nos. Podłączam się do reduktora bardzo oszczędnie, nastawiając przepływ tlenu na pół litra na minutę. Chcę, by ta sama butla wystarczyła mi na noc po zejściu ze szczytu. Tlen sprawia, że nawet przy furkoczącej ścianie namiotu, wyciągnięta jak struna, mogę jednak trochę zasnąć. Podwójne ściany namiotu przy huraganowym wietrze uderzają o siebie z ogłuszającym łoskotem, przy tym z wewnętrznej ściany sypie się szron powstały z zamarzniętej pary oddechów. Od czasu do czasu budzę się pełna obawy, by potrzeba fizjologiczna nie

zmusiła mnie do wyjścia z namiotu. Prawie się modlę, by to się nie przydarzyło. Teraz to brzmi śmiesznie, ale tam, w górze, nie było wcale śmieszne.

Kiedy nie śpię – rozmyślam. Chwilami wracają do mnie słowa Kurta, który przed zaśnięciem opowiadał o swoim wejściu. Poradził nam, by butli tlenowych na zamianę nie zostawiać w miejscu przeznaczonym na skład rzeczy na wysokości 8400 metrów, tylko 100 metrów wyżej – u podnóża kopuły szczytowej Wierzchołka Południowego. Był zdziwiony pomysłem pójścia bez liny. On na pewnym odcinku grani, między Wierzchołkiem Południowym a Głównym, po prostu bał się.

Nastrój nocy przed wejściem na szczyt jest uroczysty. Jutro nastąpi dzień wielkiej próby, chyba największej dla alpinisty. Już nie mam obaw i wątpliwości, czy starczy mi sił, czy podołam. Nie myślę nawet ani nie zastanawiam się nad tym. Z góry bowiem założyłam, że dam radę i mam podstawy, by tak sądzić. Od podejścia z obozu II bardzo dobrze się czułam. Mobilizuję siły fizyczne i psychiczne, aby uodpornić się na niespodziewane. W środku niebezpieczeństwa czuję się bezpiecznie. Czy to tylko moja umiejętność, czy ktoś mi w tym pomaga? Czuję się chroniona – czyżby to były myśli i modlitwy Mamy i bliskich? Jestem zdeterminowana i daje mi to poczucie wolności. Uwolniona od wszystkiego, co nie jest Górą i mną, wolna od strachu i obaw – bo nie mam już wyboru. Czekająca mnie akcja likwiduje strach. Lubię to uczucie. Myślę, że jest to jeden z powodów, dla których się wspinam.

O czwartej zaczynamy przygotowania do wyjścia. Wiatr na Przełęczy nie ucichł. Dopóki nie przestanie wiać, nie zamierzamy wychodzić z namiotu. Dużo czasu zajmuje sznurowanie butów i pakowanie plecaków. Trzeba zdjąć maskę tlenową i wszystkie czynności wykonywać bez tlenu, co na wysokości 8000 metrów nie jest łatwe. Ruchy mamy spowolnione, szybko się męczymy.

Pierwszy wychodzi Willy, idzie do namiotu Szerpów pomóc im w gotowaniu śniadania. Około siódmej mamy menażkę kawy i płatki owsiane. Pół godziny później na Przełęczy pojawia się słońce. Przed nami południowo-wschodnia ściana Everestu, ostatnie 850 metrów do szczytu. Dotychczas przeszło tędy prawie 80 alpinistów, tych co dotarli do szczytu. To dodaje mi otuchy.

Nastawiam przepływ tlenu na 2 litry na minutę. Podchodzimy początkowo niezbyt stromym, oświetlonym zboczem. Idzie nas ośmioro – Sigi, Robert, Willy i ja oraz czterech Szerpów. Najsilniejsi z nich, Mingma i Ang Dorje, idą bez tlenu. Niosą po jednej butli dla nas, które potem zostawią na wysokości 8400 metrów. Każde z nas ma w plecaku po jednej butli, rzeczy osobiste, aparaty fotograficzne, a ja dodatkowo jeszcze kamerę filmową i kasety.

Odległości pomiędzy nami powoli zwiększają się. Specjalnie idę wolno, gdyż nie chcę narzucać sobie zbyt ostrego tempa na samym początku. W decydującej chwili, na ostatnich metrach, muszę mieć dużą rezerwę sił. Kolegów doganiam na wysokości 8400 metrów, gdzie zatrzymują się na krótki odpoczynek. Zgodnie z umową do tego miejsca Szerpowie mieli wynieść butle, ale za radą Kurta postanawiamy je przenieść 100 metrów wyżej. Sigi decyduje, że każdy z nas, a nie Szerpowie, zabierze dodatkowo po jednej butli i przeniesie je wyżej. Zaprotestowałam. Przecież mam filmować wejście i niosę kamerę! Zaproponowałam więc jednemu z Szerpów, aby moją butlę

wniósł za dodatkową opłatą. Wówczas Sigi napadł na mnie z taką złością, jakby wyzwoliła się z niego długo tłumiona nienawiść:

– Chcesz wejść mniejszym kosztem niż my! – krzyczał.

– Ale przecież mam was filmować, muszę mieć kamerę! – już i ja krzyczałam. Kolana uginały się pode mną, ręce drżały, w uszach szumiało…

Niesprawiedliwość tego ataku spowodowała, że najpierw poczułam bezradne osłupienie, potem przyszła obojętność i zniechęcenie. Czy to ma sens – nienawiść na najwyższym szczycie Ziemi? Czy warto żyć, walczyć, wchodzić na szczyty, jeśli nie można uwolnić się od niej?

Willy ego już nie było, podchodził na Wierzchołek Południowy z dwiema butlami, Robert manipulował przy swojej i nie zwracał na nas uwagi. Powoli ogarniała mnie złość. I mimo że miałam najszczerszą ochotę wyrzucić z plecaka kamerę, zawzięłam się:

Dobrze, s., dam sobie radę i z kamerą, i z butlą! – pomyślałam.

Zaczęłam sprawdzać ciśnienie w leżących wokół butlach. Nie mogłam jednak znaleźć swojej, pełnej. Mierzyłam po kolei – były puste albo zawierały zaledwie kilkadziesiąt atmosfer zamiast 200. Poczułam nagle paniczny strach przed porażką z tak głupiego powodu jak brak butli pełnej tlenu. Przecież przygotowałam ją sobie na Przełęczy i własnoręcznie sprawdziłam! Czyżby Sigi?!… Robert i Szerpowie podchodzili już na Wierzchołek Południowy.

– Gdzie moja butla?! – krzyknęłam za oddalającymi się.

Z trudem zrozumiałam w odpowiedzi, że Mingma z własnej inicjatywy zabrał ją do góry. Ruszyłam więc i ja. Dogoniłam zespół w chwili, kiedy po 100 metrach zmieniali butle. Od tego miejsca zaczynało się strome podejście. Zostawiam butlę, w której jest już zaledwie 80 atmosfer, i zakładam nową. Wszyscy jesteśmy gotowi do dalszego podchodzenia.

Dotychczas szliśmy własnym tempem, w dość znacznych od siebie odległościach. Teraz zaczyna się wspinanie. Idziemy blisko siebie, zmieniając się wprowadzeniu. Z trudem odnajdujemy ślady Francuzów i Kurta – są zasypane śniegiem. Raki zgrzytają o skałę. Żeby zrobić krok, trzeba przytrzymać się rękoma. Teren jest bardzo kruchy, nie ma więc pewności, czy raki utrzymają nas na tej powierzchni. Poruszamy się jednak dość szybko. Odkręcam trochę reduktory – nastawiam dopływ tlenu na 4 litry na minutę. Dzięki temu znacznie mniej dotkliwie odczuwam wysokość i trudności wspinaczki.

Osiągamy Wierzchołek Południowy. Kolejny odpoczynek. Odłączamy tlen, oszczędzając go na podchodzenie. Idę ubrana bardzo lekko – puchowe spodnie i kurtkę niosę w plecaku. Na wschodniej ścianie, rozgrzanej słońcem i osłonię – tej od wiatru, było mi wręcz gorąco. Ale na grani jest minus 25° C i wiatr przewiewa na wskroś. Nie chcę jednak zatrzymywać się, tracić czasu i energii na wypakowanie z plecaka ciepłych rzeczy i ubieranie się.

Przed nami bardzo trudna grań; to właśnie ten odcinek, o którym opowiadał Kurt. Ostro i stromo, przy silnym wietrze idzie się jak po wąskiej równoważni. Wspinamy się bez liny. Jeżeli ktoś z nas popełni błąd, to na własny rachunek. Nieostrożny krok to

nieuchronny upadek z kilku tysięcy metrów! Staram się uruchomić całą zdolność koncentracji, kolejne kroki stawiam niezwykle ostrożnie. Byle noga nie zapadła się w śnieg, bo wtedy stracę równowagę!

Po kilkunastu metrach ostra grań skończyła się. Można było chwilę odetchnąć i przyjrzeć się kolejnemu trudnemu uskokowi. To Hillary Step – kilkunastometrowy odcinek śnieżno-skalny, wymagający wspinaczki, ale ubezpieczony liną poręczową założoną przez Huberta. Bardzo efektowne miejsce do filmowania. Wyjmuję więc sprzęt i po kolei filmuję kolegów pokonujących eksponowany odcinek. Ostatni za uskokiem zniknął Willy. Pozostałam sama i choć obecność drugiego człowieka niewiele mogła tu pomóc, krzyknęłam za Willym:

– Poczekaj, niech przejdę uskok!

Kilkanaście metrów ostrego wspinania. Lina poręczowa ułatwia zachowanie równowagi, ale nie obciążam jej mocno, gdyż nie mam pewności, czy jest dobrze umocowana do wbitego gdzieś wyżej czekana. Uskok pozostał za mną. Odetchnęłam. Podziękowałam Willy emu, że zaczekał.

Ruszyliśmy znów swoim tempem – ja pierwsza, Willy za mną. Grań nie była już tak stroma. Idziemy po sprasowanym wiatrem śnieżnym zboczu, nachylonym pod kątem około 40° w stronę Nepalu. Kiedy szczyt? Kilkakrotnie wydaje się, że za chwilę na nim staniemy. Ale to tylko kolejne spiętrzenie grani zasłaniające dalszą drogę. Wciąż idziemy stroną nepalską. Po przeciwległej, tybetańskiej, są wywieszone śnieżne nawisy. Wyraźnie czuję, że to już ostatnie metry. Chyba euforia powoduje, że jak na tę wysokość idę szybko. Willy zostaje za mną. Z pewną obojętnością, jakby nie mnie to dotyczyło, zauważam, że śnieg sprasowany na zboczu może być niebezpieczny. Niekiedy po postawieniu stopy wysuwa się spod niej niewielka, śnieżna deska.

Kolejne wzniesienie grani. Duszę się! Niedobrze z moją maską albo z budą. Przypominam sobie Kurta, który mówił:

– Wiatr wiejący stale od Nepalu mroził mi wlot powietrza do maski znajdujący się właśnie z lewej strony. Miałem spore z tym kłopoty.

Domyślam się więc, że mnie przytrafiło się to samo – przecież tlenu mam jeszcze sporo! Jedyne, co mogę zrobić, to zdjąć maskę i iść bez tlenu. Szczyt blisko, nie dalej niż na odległość 50 metrów. Tylko 50 metrów! Wydaje mi się, że idę tak samo, jak poprzednio z tlenem. Nie mam już wątpliwości, że dojdę mimo braku tlenu.

Po 6 godzinach i 15 minutach podchodzenia z Przełęczy Południowej, po pokonaniu 850 metrów różnicy wysokości staję na wierzchołku Mount Everestu! JEST GODZINA 13.45, NIEDZIELA, 16 PAŹDZIERNIKA 1978 ROKU. Nasz czas wejścia jest drugim czasem w dotychczasowej historii zdobywania tego szczytu.

Koledzy już zrobili sobie nawzajem zdjęcia z flagami swoich krajów. Żartujemy, że jesteśmy wyżej niż inni zdobywcy Everestu, bo nie widzimy przysypanego wielometrową warstwą śniegu chińskiego trianguł u. Zdejmuję plecak, zapominając, że mam w nim butlę połączoną przewodem z maską. Maska spada – i tak nie na wiele przydatna, gdyż jest oblodzona. Wtedy mówię kolegom, że szłam bez tlenu, bo mam zalodzoną maskę. I tu niespodziewany gest Sigiego – wziął maskę i własnym oddechem odmroził ją. Zakładam maskę i zaczynam grzebać w plecaku, chcąc wyciągnąć ciepłe

rzeczy, ale jestem tak zmarznięta, że nie mogę swobodnie poruszać się. Zdejmuję rękawice, by szybciej dobrać się do plecaka. Udało się. Z ulgą naciągam puchowe spodnie i kurtkę.

I kiedy zrobiło mi się cieplej, nareszcie uprzytamniam sobie…

Jestem na najwyższym szczycie Ziemi, a obok stoją moi partnerzy. Dopiero teraz przychodzi radość. Najpierw gratuluję Mingmie i Ang Dorje – obydwaj weszli na szczyt bez tlenu. Potem całujemy się z Willym, a że zapomnieliśmy zdjąć maski, więc tylko śmiesznie potrącamy się nimi, usiłując objąć się w naszych puchach. Nie poznaję Sigiego, który nagle mówi:

– Wprawdzie kłóciliśmy się, ale tutaj nie ma to znaczenia…

Pewnie odczuwa tę samą radość zwycięstwa, co i my. Robert chce się ze mną sfotografować. Polka i Szwajcar w zespole niemieckim. Wyciągam z plecaka biało-czerwony proporczyk, ale wiatr porywa go na stronę chińską. Na szczęście mam jeszcze proporczyki Polskiego Związku Alpinizmu i Polskich Linii Lotniczych LOT.

Każdy z nas coś pozostawia na szczycie – tak robili wszyscy zdobywcy. Góra jest cierpliwa i przyjmuje wszystko. Tenzing na szczycie zagrzebał herbatniki i suszone owoce jako ofiarę dla swoich bogów, Hillary – krzyżyk, Hans Engl zostawił tu obrazek namalowany przez swoją córeczkę, teraz Sigi – fotografię żony. Ja zostawiam kamyk od Ireny – symbol przyjaźni. Długą przebył drogę – od Skałek, w których stawiałam pierwsze kroki, aż do najwyższego szczytu Ziemi.

Moja radość nie jest butna, nie podnoszę rąk do góry gestem brania świata w posiadanie. Jest skierowana do wewnątrz, pełna pokory i wdzięczności. Górę traktowałam jak przeciwnika, bez ciepłych uczuć dla jej piękna i potęgi. Pozwoliła mi zwyciężyć i nie mogę chełpić się zwycięstwem. To tak, jakbym chełpiła się jej łaskawością. Myślę o moich bliskich, o innych ludziach, którzy z tej odległości są mi również bliscy. Podobnie muszą chyba myśleć kosmonauci – Ziemia wydaje się ich rodzinnym domem, a ludzie jedną rodziną. Codzienność pozostawiona na dole z tej perspektywy wydaje mi się bardzo droga.

Jak najdokładniej staram się zapamiętać to, co widzę ze szczytu. Strona tybetańska jest mniej ośnieżona i dlatego wydaje się bardziej przystępna, swojska. Strona południowa, nepalska, to morze ośnieżonych gór, dzikich i groźnych. Na pierwszym planie postrzępiona grań Nuptse. Do dziś nie opuszcza mnie wspomnienie świetlistości otaczającego krajobrazu. Nie znam jego prawdziwych kolorów, ponieważ na tych wysokościach nie można zdjąć ciemnych okularów, nawet na chwilę, do pamiątkowej fotografii. Zdejmuję tylko maskę i uśmiecham się do aparatu, zapominając, że twarz mam całkowicie zasłoniętą wełnianą czapką kominiarką. Na fotografii jestem nierozpoznawalna jak prawie każdy z 80 zdobywców Everestu…

Na szczycie przebywamy około pół godziny. Czas schodzić. Znów balansuję na ostrej grani. Willy podaje mi kijek narciarski:

– Weź, będzie ci łatwiej niż z czekanem.

Przyjacielski, troskliwy gest. Tlenu starczyło mi akurat do miejsca, gdzie zostawiliśmy butle. Zakładam nową i rozrzutnie nastawiam przepływ na 4 litry na minutę. Mogę szaleć, wystarczy mi tlenu do Przełęczy Południowej.

Podczas schodzenia nie przytrafiło mi się nic szczególnego. Może dzięki temu, że ani na chwilę nie przestałam uważać. Prawie każdy ze zdobywców na naszej wyprawie miał jakiś wypadek podczas schodzenia. Na przykład Sigi traci równowagę i osuwa się parę metrów, ale udaje mu się wbić czekan i wyhamować.

Po 200 metrach zejście nie jest już trudne. Nawet gdybym obsunęła się na zboczu, to spadnę na śnieg Przełęczy. Im niżej, tym szczęśliwiej, ale i zwyczajniej.

Tuż nad Przełęczą schodziliśmy z Willym zalaną słońcem płaszczyzną śnieżną. Szliśmy zupełnie niezależnie, wybierając własne warianty zejścia. W pobliżu obozu Willy zaczekał na mnie. Przysiadłam na śniegu obok niego. Za chwilę wejdziemy w piekło Przełęczy, w wiatr targający namiotami. Jeszcze raz przeżywamy szczyt Everestu, staramy się zapamiętać z mijającego dnia jak najwięcej…

W namiotach są Bernd i Georg, którzy wieczorem podeszli do obozu IV. Jutro będą podchodzić na szczyt. Jestem pełna podziwu dla Georga. Złamany chorobą żołądka właściwie zrezygnował już z udziału w wejściu szczytowym i zszedł do bazy. Na wiadomość, że są dobre warunki, zrywa się i starcza mu sił na podejście w ciągu jednego dnia z bazy do obozu II, a następnego dnia wprost na Przełęcz Południową, by nazajutrz, 17 października, razem z Bemdem osiągnąć szczyt. Jest w tak dobrej kondycji, że próbuje podchodzić bez tlenu, ale ostatecznie korzysta z niego.

Kiedy Bernd i Georg zmagają się z górą, Kurt, Willy i ja schodzimy w dół. Sigi i Robert zeszli wcześniej. Na Przełęczy pozostali Mingma i Ang Dorje – będą czekać na powrót Bernda i Georga. Zwijamy namiot i pakujemy plecaki. Wiatr wciąż silny. Mamy nadzieję, że uda nam się szybko schować za załomem Przełęczy. Nic z tego, wiatr i tam nas dopada. Idziemy targani nim aż do Żebra Genewczyków. I znów nadzieja, że za nim będzie spokojniej. Trawers w stronę Żebra pokonuję z dużym wysiłkiem. Lodowaty wiatr mrozi ręce i nogi. Po raz pierwszy na tej wyprawie nie mogę sobie z nimi poradzić, czuję, jak powoli mi drętwieją kończyny. Po energicznych ruchach palców rąk i nóg wraz z bólem powraca czucie. Potem znów nic nie czuję. Nie ma co siadać, masować, rozcierać, trzeba jak najszybciej uciekać od wiatru i mrozu. Idę bardzo szybko, przytrzymując się liny poręczowej. Wiatr wywiał śnieg, idziemy po bardzo stromym zboczu, z trudem utrzymując równowagę. Wreszcie dochodzę do Żebra Genewczyków i schodzę na ścianę Lhotse. Tam już widzę Willy’ego. Przysiadam i czekam na Kurta, idącego bardzo wolno. Cztery noce spędzone na Przełęczy dają o sobie znać. Idzie w ciężkim ubraniu, obładowany sprzętem filmowym. Później opowiadał, że na wyprawie stracił 15 kilogramów.

W ścianie Lhotse jest już spokojniej. Im niżej, tym mniej wiatru. Przed Żółtą Barierą wyjmuję kamerę i proszę Willey go, by pozował do zdjęć. Nareszcie zdjęcia z prawdziwej, efektownej wspinaczki, a nie tylko obraz mozolnego, monotonnego podchodzenia i schodzenia stokiem śnieżnym!

W obozie III nasz odpoczynek przedłuża się do dwóch godzin. Postanawiamy coś ugotować, nasze osłabienie jest spowodowane również głodem. Po posiłku pakujemy plecaki, zabierając najważniejsze rzeczy z namiotów, resztę zniosą Szerpowie.

Przyłapuję się na tym, że tak jak Kurt rozglądam się bardzo uważnie dookoła, chcąc zachować w pamięci jak najwięcej. Zbocze Lhotse, grań Everestu, dziś powie-

wającą śnieżnymi chorągwiami. Bernd i Georg mają trudniejsze warunki niż my. W dole widzę czarne punkciki namiotów obozu II, przełamanie lodowca Khumbu; samego uskoku nie widać. Daleko, bardzo daleko, gdzie wydaje mi się, że widzę pomarańczowe punkciki, muszą stać namioty bazy. Nad nimi wspaniały masyw Cho Oyu, wznoszący się nad Pumori. Dolatują do nas ptaki, podobne do pamirskich czarnych wrończyków. Żywią się odpadkami pozostawianymi przez wyprawy. W dniu, kiedy dochodziłam do Przełęczy, widziałam dwa z nich przelatujące nad Przełęczą – z Tybetu do Nepalu. Wydawało mi się, że jeden był czarny, drugi biały. Potraktowałam je wtedy jako dobrą wróżbę na dzień następny, dzień ataku szczytowego.

18 PAŹDZIERNIKA. Dzień zejścia do bazy. Plecaki uzupełniane ładunkami z kolejnych obozów są coraz cięższe. Mój waży chyba ponad 25 kilogramów. Kurt mówi, że obawia się uskoku lodowca Khumbu. Rzeczywiście, uskok jest nie do poznania. Z trudnością odnajduję drogę. Gdyby nie chorągiewki i liny, nie potrafiłabym znaleźć przejścia. Lodowiec natomiast, pozbawiony świeżego śniegu, ma znacznie więcej niewidocznych szczelin niż poprzednio.

Przed dojściem do obozu I widzę kogoś idącego bardzo powoli i co chwila przysiadającego. Wydaje się potwornie obładowany. To Jeff, czyli Jean François Mazeaud – kuzyn Pierre a, lekarz i sympatyczny żartowniś wyprawy francuskiej. Załadował mnóstwo rzeczy nie starając się nawet dobrze wyważyć plecaka, z którego zwisają dopakowane w ostatniej chwili bliżej nieokreślone przedmioty. Jeff idzie jak łamaga, jest nareszcie rozluźniony po prawie dwóch miesiącach pobytu w górach. Mnie również ciężar plecaka zaczyna dokuczać, więc idę z Jeffem jego tempem. Rozmawiamy, przysiadamy co chwila. Pełny luz i swoboda. Jednak przez lodowiec Khumbu przechodzimy bardzo ostrożnie. Boimy się tego cholernego uskoku.

Do bazy dochodzimy po południu. Nareszcie koniec! Ale jeszcze daleko do radosnych powitań, bram triumfalnych i kwiatów. Przystanęłam koło jadalni, w której siedzieli koledzy. Znów usłyszałam jakąś zgryźliwą uwagę Sigiego. No cóż, radość wspólnie przeżyta na szczycie na dole nie zmieniła niczego. Kucharz Mingma i kuchcik powitali mnie serdecznie, gratulowali wejścia, podali kubek gorącej herbaty. Prawdę mówiąc, oprócz nich nie bardzo kto miał mi gratulować – zwycięzców było zbyt wielu.

Karla Herrligkoffera nie ma już w bazie. Rano odleciał helikopterem do Katmandu. Zostawił dla mnie krótki liścik, przewidywał bowiem, że wspólny powrót z kolegami wyprawowymi nie będzie moim największym marzeniem. Zaproponował więc powrót z Francuzami helikopterem lub wcześniejsze zejście z filmowcem, Horstem Schumannem i lekarzem, Horstem Laube, uczestnikami naszej wyprawy. Pozostali mieli czekać na powrót z góry wszystkich tragarzy. Jestem głęboko wdzięczna Karlowi, że pomyślał o mnie.

W trakcie całej wyprawy nie wyróżniał mnie i nie interweniował przy konfliktach z zespołem. O większości z nich zresztą nie informowałam go. To była sprawa pomiędzy mną a zespołem.

Wprawdzie nie bałam się już niczego, ale chciałam nareszcie odetchnąć od niechęci czy nienawiści kilku osób, której nie równoważyła serdeczność i przyjaźń innych.

Niechęć ma większą wagę w subiektywnym odbiorze, bardziej angażuje i porusza. Nie wiem, czy z czasem wygaśnie. Wiem natomiast, że nigdy już nie będziemy dla siebie obcy. I to nie ze względu na mało przyjacielskie uczucia, ale na fakt wspólnego tworzenia. Uczestniczyliśmy bowiem w zdobyciu szczytu, razem cierpiąc głód i pragnienie, upadając ze zmęczenia. Nie zapomnimy, mimo swarów, że to jest najważniejsze. Nawet gdyby nie udało się zdobyć Everestu, pozostalibyśmy twórcami. Na razie jednak nie chcę być z nimi ani dnia dłużej.

Wieczorem Francuzi zapraszają mnie na świętowanie swego sukcesu. Siedzimy przy ognisku w kuchni. Dym gryzie w oczy. Popijamy herbatę z brandy. Żarty i śmiechy przerywane są chwilami milczenia i zadumy. W zwycięskiej wyprawie są zwycięzcy i ci, którzy czują się przegrani. Wieczór kończy się wspólną zabawą w wielkim hangarze sprzętowym. Tańczą i śpiewają dziesiątki ludzi – Francuzi, Niemcy, Szerpowie, tragarze, którzy przyszli z wiosek leżących poniżej bazy. Tańczymy przy nepalskich pieśniach ludowych. Taniec nie jest skomplikowany – trzymamy się pod ręce i w określonych momentach robimy krok do przodu, do tyłu i w bok. Nie zawsze udaje mi się uchwycić właściwy rytm, ale nie przeszkadza to ani mnie, ani nikomu innemu. Późną nocą dochodzę do swego namiociku wąską ścieżynką wydeptaną w śniegu. Baza wygląda zupełnie inaczej, niż kiedy tu przyszliśmy. Śnieg sięga kolan, między namiotami wiją się wydeptane ścieżki.

19 PAŹDZIERNIKA. Pakowanie, czynności porządkowe, rozliczanie. Francuzi również są w trakcie likwidacji bazy, ale robią to zupełnie inaczej niż my. Nasze ładunki zniosą na plecach tragarze, oni zaś opuszczają bazę helikopterami, których warkot od trzech dni wciąż słychać w powietrzu. Godzina lotu kosztuje 800 dolarów, ale wyprawa francuska jest znacznie bogatsza niż nasza.

20 PAŹDZIERNIKA. Po przejściu kilkuset metrów raz jeszcze odwracam się w stronę bazy. Na pożegnanie Himalaje dostarczają mi jeszcze jednego niezwykłego widoku. Ze zboczy przełęczy Lho La w stronę bazy runęła olbrzymia pyłowa lawina świeżo spadłego śniegu. Powiększa się, jak grzyb po wybuchu termojądrowym, ale nie jest groźna. Wiatr nią wywołany wywróci zaledwie kilka namiotów i przysypie bazę cieniutką warstwą śniegu.

Jestem w świetnej kondycji, więc prawie zbiegam twardymi, kamienistymi ścieżkami. Pod górę podchodzę w takim samym tempie, jak schodzę. Nie sapię, nie dyszę, jak to było przed wyprawą. Nie przejmuję się wyrazem niechęci, który pojawia się na twarzach gorzej zaaklimatyzowanych kolegów, kiedy zostają w tyle. Za to pod koniec dnia ledwo idę. Kontuzja kolan. Z trudem dowlokłam się do Namche Bazar. Nie jestem w stanie iść dalej. Umawiam się z kolegami, że zostaję i będę czekać na samolocik hotelu „Mount Everest View”. Ten luksusowy hotel, położony nad Namche Bazar, zbudowali Japończycy. Nocleg w nim kosztuje około kilkudziesięciu dolarów, ale za to z okien można oglądać wierzchołek Everestu.

Niestety, noc spędzam w znacznie gorszych warunkach, bo za parę rupii w prymitywnych *lodge* obok pasa startowego. Na domiar złego nie spotkałam tragarza niosącego mój ciężki plecak, w którym oprócz osobistych rzeczy jest kamera i wszystkie filmy z wyprawy. Zostaję prawie bez pieniędzy. Oczekując na samolot, żywię się ry-

żem z jakimś zielskiem, naleśnikami, piję herbatę i *chang*, czyli piwo z ryżu. Czasem myślę z żalem, a jednocześnie z rozbawieniem, że tak blisko jest wspaniały hotel „Mount Everest", a ja – bądź co bądź zdobywczyni tego prawdziwego – mieszkam w chacie obok.

Wreszcie pogoda poprawia się na tyle, że samolot może wylądować. Nie mam jednak szans na zabranie się ani tym razem, ani następnym, ponieważ nie potrafię wywalczyć sobie miejsca, a chętnych jest zbyt wielu. I tylko przypadek sprawił, że wydostałam się z Namche Bazar.

Wśród oczekujących na samolot znajdował się francuski uczony z żoną. Rozmawialiśmy trochę, między innymi i o Evereście. Przy okazji powiedział o mnie dyrektorowi hotelu. Ten natychmiast zaprosił mnie, bym na koszt hotelu odpoczęła kilka dni.

Z prawdziwym żalem musiałam odmówić, ponieważ mój francuski znajomy odstąpił mi miejsce w samolocie. Dzięki niemu 21 października ląduję w Katmandu – wciąż bez bagażu. Na szczęście pamiętam numer telefonu polskiej ambasady.

Minister pełnomocny w Nepalu, Andrzej Wawrzyniak, wyjeżdża po mnie na lotnisko. Od tego powitania rozpoczął się okres, który wynagrodził mi wszystkie trudy, złe chwile i gorycz ostatnich miesięcy. Entuzjazm, serdeczność i ciepłe uczucia wielu ludzi, setki telegramów z gratulacjami, wspaniałe powitanie na lotnisku w Warszawie – takiego podziękowania za polski Mount Everest nie spodziewałam się. Potem było wiele spotkań, wywiadów; chociaż w ten sposób pragnęłam przekazać jak najwięcej z tego, co stało się moim udziałem. Ci, którzy chcieli mnie słuchać, porozmawiać ze mną, obejrzeć zdjęcia z wyprawy, nie mieli szans na przeżycie tego, co ja. Być może marzyli o jakichś własnych Everestach nie mniej niż ja o swoim, być może dzięki mnie – jednej z nich – uwierzyli, że ich marzenia i tęsknoty za czymś „naj" mogą się spełnić…